Piotr Lisiewicz
JAK ZAŁOŻYCIEL POLSKIEGO FUTBOLU DOSTAŁ 17 LAT ŁAGRU

Jakub Augustyn Maciejewski
CZYM NAPRAWDĘ JEST ANTEMURALE CHRISTIANITATIS?

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

PO CO NAM ŻYDZI?

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 14 330 indeks 211 060 #158 5/2019
ILUSTRACJA MARIUSZ TROLINSKI, FOT. FOTOLIA
ISSN 1895-4960
9 771895 496902 05
#158 5/2019

eprasa.pl 77bfbfce1f

TEMAT NUMERU ▼ 4–19

fot. Jakub Kamiński/PAP

Czy 300 tysięcy bohaterów to mało? / 4

IDEE ▼ 20–32

Czym naprawdę jest antemurale christianitatis? / 20

HISTORIA ▼ 34–68

Jak założyciel polskiego futbolu dostał 17 lat łagru / 34

ŚWIAT ▼ 72–98

fot. Kadr z teledysku Rammstein - Deutschland

Niemcy – moje serce w płomieniach / 72

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z Władysławem Teofilem Bartoszewskim rozmawia Katarzyna Gójska
Czy 300 tysięcy bohaterów to mało? /4

Dawid Wildstein
Po co nam Żydzi? /10

Ryszard Czarnecki
Widmo izraelosceptycyzmu krąży po Europie Zachodniej /13

Katarzyna Gójska
Do przyjaciół Żydów. Trzymajmy się prawdy historycznej /14

Piotr Lisiewicz
Precz z komuną, czyli pozdrowienia dla Izraela /17

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Czym naprawdę jest antemurale christianitatis? /20

Tomasz P. Terlikowski
Delegitymizacja Jana Pawła II /26

Małgorzata Matuszak
Gdzie ci nauczyciele... /30

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Jak założyciel polskiego futbolu dostał 17 lat łagru /34

Dariusz Jarosiński
Fason trzeba trzymać do końca /40

Magdalena Złotnicka
Perskie książątko w tweedowej marynarce /48

Agnieszka Kowalczyk
Z X Pawilonu do jurty jakuckiej /54

Ewa Polak-Pałkiewicz
Księżniczka, która nie bała się ludzi, psów i koni /60

Nahum Sokołów
Polska nie będzie dla nas Palestyną /66

ŚWIAT

Olga Doleśniak-Harczuk
Niemcy – moje serce w płomieniach /72

Antoni Rybczyński
Teoria wielokrotnego upadku. Tajemnicza śmierć „cara mediów” /78

Hanna Shen
Nowy cesarz, nowa era /83

Stefan Czerniecki
Yu tingim? Czy teraz już rozumiesz? /86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /94

oprac. Antoni Rybczyński
Cena niepodległości Gruzji /96

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Straszenie Żydami, słodkie słowa o Rosji
NA POCZĄTEK 3

Marcin Wolski
O czym marzą Europejczycy?
PAPKULTURA 33

Małgorzata Matuszak
Czym jest... gotycka katedra
KATECHIZM INTELIGENTA 47

Kamil Goral
Galopem do strefy euro? Nie tak prędko...
SŁOWEM O GOSPODARCE 69

Marek Kalinowski
Co łączy Góreckiego z trip hopem?
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 70

Ryszard Czarnecki
Notre Dame, Europa katedr, wojna cywilizacji...
CZARNECKO TO WIDZĘ 77

Olga Doleśniak-Harczuk
Po Matce łez Madonna uśmiechów
Z GLOBALNEGO TYGLA 92

Tomasz Sakiewicz
Kto to jest patriota
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
47124010531111001019991772

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 77bfbfce1f

Katarzyna Gójska

Straszenie Żydami, słodkie słowa o Rosji

O co chodzi w antyżydowskiej kampanii? Sednem sprawy jest element: niekorzystna Ameryka i dobra Rosja, z którą możemy się dogadać. Na naszych oczach, pierwszy raz tak poważnie od upadku Związku Sowieckiego, trwa kampania oswajania Polaków ze zbliżeniem z Rosją.

Relacje polsko-żydowskie stały się elementem trwającej kampanii wyborczej. Nie pierwszoplanowym, lecz dość istotnym z puli tych adresowanych do wyborców prawicowych lub niezdecydowanych. Widać to gołym okiem w aktywności kandydatów ruchu narodowego. W ich wizji świata Polska stoi właśnie przed groźbą żydowskiego ataku wspieranego przez Stany Zjednoczone. Mamy zostać ograbieni, opluci, poniżeni, podporządkowani. Ale w tej opowieści jest też pozytywny bohater. Do tej pory zapewne niesprawiedliwie oceniany. To Rosja. Ona ma nas uratować nie tyle przed samymi Żydami, ile przed Ameryką. Z przekazu polityków Konfederacji dowiadujemy się bowiem, że Rosja nie jest dla Polski zagrożeniem. Głodne kawałki o drapieżcy na Kremlu serwuje nam Biały Dom, który chce nas wepchnąć w wojnę ze spokojnym wschodnim sąsiadem. Ba! Tenże sąsiad jest na tyle nam życzliwy i odmieniony, że dziś może być wręcz naszym sojusznikiem, w miejsce USA. NATO? To w zasadzie przeżytek. Ogłośmy neutralność, jak Szwajcaria – podpowiadają ci wspaniali patrioci. Niektórzy dodają, iż w Pakcie możemy zostać, ale opierając swe bezpieczeństwo na innej niż amerykańska armii. Której? Odpowiedzi nie ma. No i w końcu ci Żydzi. Szczególnie w wersji amerykańskiej. Tylko dybią na nasz majątek i jeśli w porę nie oprzytomniejemy, tj. nie pokażemy Trumpowi środkowego palca, to po nas. Nasze pozostaną tylko ulice. Kuriozum? I owszem. Szaleństwo? Nie. To po prostu PR-owy zamysł, który ma określony cel. Bynajmniej nie jest nim ratowanie majątku Polaków. On nie jest zagrożony. To, że ktoś może i by coś chciał, nie oznacza, że ma jakiekolwiek szanse, by to otrzymać. Owszem, prezydent Donald Trump podpisał dokument znany w naszym kraju pod numerem 447, ale uczynił to przy sprzeciwie opozycji i społeczności żydowskiej. Właśnie tej „polakożerczej". Dlaczego? Bo ów akt nie ma takich możliwości sprawczych, jakich oni by oczekiwali. Nie jest dla naszego państwa takim problemem, z którym nie moglibyśmy sobie poradzić. Nie ulegajmy zatem straszeniu Żydami dybiącymi na nasz majątek. Uwierzmy w pozycję naszej ojczyzny, nie poddawajmy się opowieściom, że jesteśmy bezsilni. Zatem o co chodzi w tej antyżydowskiej kampanii? Sednem sprawy jest jej drugi – pozornie mniej istotny – element: niekorzystna Ameryka i dobra Rosja, z którą możemy się dogadać. Na naszych oczach, pierwszy raz tak poważnie od upadku Związku Sowieckiego, trwa kampania oswajania Polaków ze zbliżeniem z Rosją. Proces cywilizowania Moskwy w oczach prawicowej części społeczeństwa. Krok po kroku budowane jest zwątpienie w wagę strategicznego sojuszu polsko-amerykańskiego. W tym procesie – jako pożyteczni idioci – wykorzystywani są również bardzo przyzwoici ludzie, ale to nie zmienia faktu, iż cel jest dla naszego kraju jak najbardziej złowieszczy. I czas – on nie jest bez znaczenia. Kalendarz wyborczy odgrywa drugorzędną rolę. Dużo ważniejszy jest etap negocjacji polsko-amerykańskich w sprawie zwiększenia obecności wojsk USA w Polsce. Tych, które część polityków Konfederacji określa mianem „okupacyjnych". Decyzje, które będą zapadać w najbliższych tygodniach w Stanach, są kluczowe dla bezpieczeństwa naszego kraju. Jednocześnie mogą one potężnie naruszyć interes Rosji. I tak powinniśmy patrzeć dziś na nasz interes narodowy. Nie ma problemu Żydów, jest szansa na przypieczętowanie upadku Sowietów. ■

NIE ULEGAJMY STRASZENIU ŻYDAMI DYBIĄCYMI NA NASZ MAJĄTEK. UWIERZMY W POZYCJĘ NASZEJ OJCZYZNY, NIE PODDAWAJMY SIĘ OPOWIEŚCIOM, ŻE JESTEŚMY BEZSILNI.

eprasa.pl 77bfbfce1f

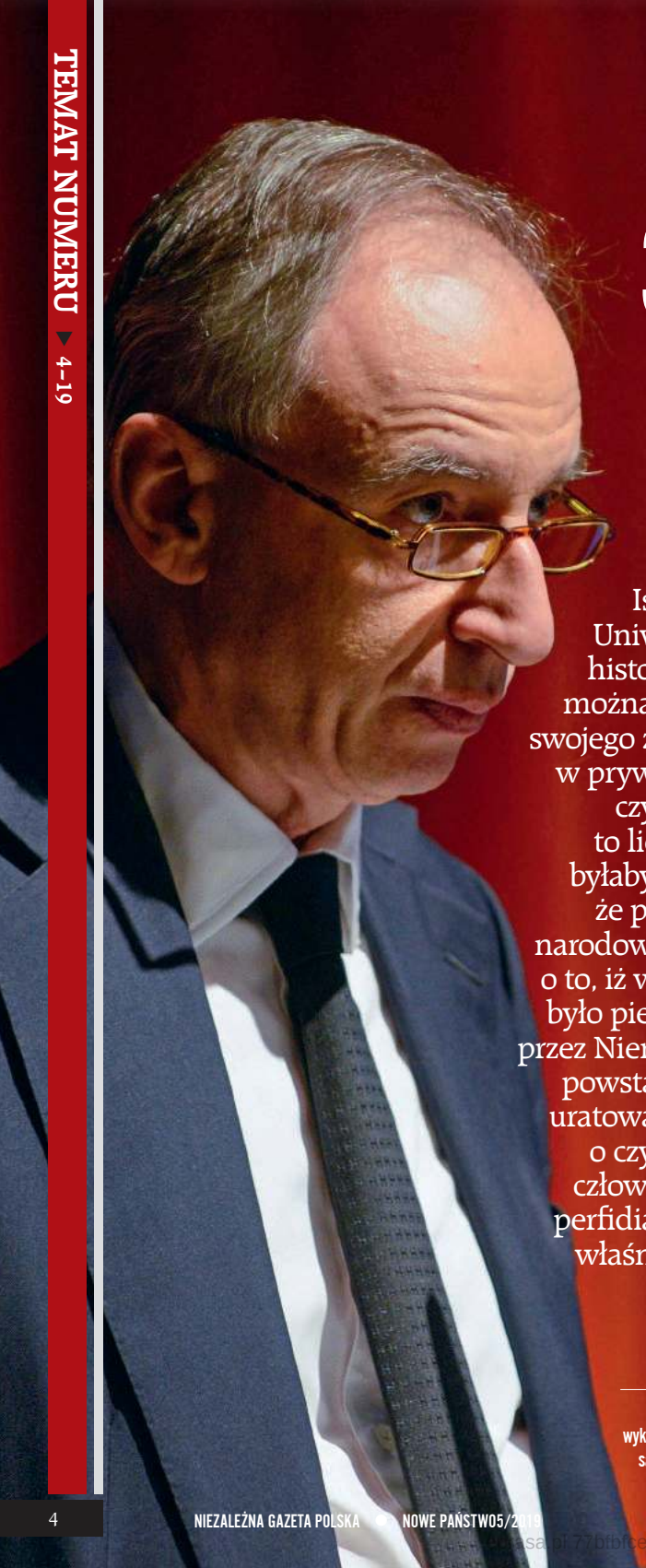

CZY 300 TYSIĘCY BOHATERÓW TO MAŁO?

Israel Gutman, wybitny profesor Uniwersytetu Hebrajskiego, główny historyk Yad Vashem, mówił, że nie można od ludzi oczekiwać, by za cenę swojego życia ratowali innych. Dodawał, w prywatnych rozmowach, że nie wie, czy gdyby sytuacja była odwrotna, to liczba Żydów ratujących Polaków byłaby równie duża. I nie chodzi o to, że postrzegał przedstawicieli swojej narodowości jako mniej wrażliwych, ale o to, iż wiedział, czym była wojna, czym było piekło zgotowane nam wszystkim przez Niemców. Profesor Gutman przeżył powstanie w getcie i Auschwitz, gdzie uratował go Polak. Naprawdę wiedział, o czym mówił. To był bardzo mądry człowiek. Wiedział, na czym polegała perfidia – nie tylko okrucieństwo – ale właśnie perfidia niemieckiego planu – z **Władysławem Teofilem Bartoszewskim** rozmawia **Katarzyna Gójska.**

Władysław Teofil Bartoszewski – historyk, antropolog, był wykładowcą na Uniwersytecie w Cambridge i Uniwersytecie Warwick oraz samodzielnym pracownikiem naukowym na Uniwersytecie Oksfordzkim.

cbpasa.pl 77bfbfce1f

▶ Ilu Żydów przeżyło wojnę dzięki pomocy Polaków? I ilu naprawdę było polskich Sprawiedliwych?

Szacunki są bardzo trudne. Przed wojną w Polsce mieszkało około 3,5 miliona Żydów. Mówimy o liczbie ustalonej osiem lat przed wrześniem 1939 roku. Następny cenzus już się nie odbył. Musimy pamiętać, iż część tej społeczności znalazła się pod okupacją niemiecką, a druga pod sowiecką. Była jeszcze grupa wygnana z Niemiec do Polski przed napaścią na nasz kraj. Po zakończeniu działań wojennych Centralny Komitet Żydowski rejestrował wszystkich, którzy przeżyli. Jego ustalenia nie są jednak bardzo miarodajne, bo nie wszyscy się zgłaszali. Wielu ocalałych po prostu wyjeżdżało z Polski, przechodziło przez zieloną granicę i stawało się uczestnikami potężnej fali migrantów powojennych. Na podstawie liczby zarejestrowanych w CKŻ i szacunków dokonanych po wojnie przyjmuje się, iż na terenach dzisiejszej Polski przeżyło około 200 tysięcy osób narodowości żydowskiej. To są ci, których Niemcy nie zdążyli zabić w swoich obozach zagłady, ci, którzy przetrwali w lasach, działając w jakiejś formie partyzantki – w wielu przypadkach nastawionej na przetrwanie, a niekoniecznie walkę. W latach 70. historyk żydowskiego pochodzenia Szymon Datner oszacował, iż na terenie GG dzięki pomocy Polaków przeżyło około 100 tysięcy Żydów. Ta liczba jest obecnie kwestionowana. Jest między historykami pewien consensus, że dzięki pomocy Polaków przeżyło między 40 a 60 tysięcy Żydów. Szwedzki badacz Gunnar Paulsson uznaje, iż w Warszawie – dzięki pomocy Polaków – przeżyło wojnę 10–11 tysięcy osób narodowości żydowskiej. Jednocześnie stawia tezę, że tych pomagających musiało być około 60–70 tysięcy. Konieczność ukrywania Żydów pojawiła się wraz z utworzeniem przez Niemców getta. Część zasymilowanych osób narodowości żydowskiej – takich w stolicy było około 120–130 tysięcy – nie przeniosła się do tej zamkniętej dzielnicy. Jednym słowem od początku 1940 roku do sierpnia 1944 roku ci ludzie, bądź tacy, którzy uciekli w jakimś momencie z getta, żyli skrywani przez polskich przyjaciół. Sytuacje, w których jeden Żyd przeżyłby dzięki pomocy jednego Polaka, były niemalże nierealne. Nie wykluczam, że mogły się zdarzyć, ale były wyjątkowym ewenementem. Normalnie ratowanie wymagało zaangażowania przynajmniej kilku osób, a bywało że i kilkunastu. Mój Ojciec, który nie miał skłonności do idealizowania naszego narodu, twierdził – na podstawie swojej wiedzy i obserwacji – że w czasie wojny w pomoc Żydom zaangażowanych było aktywnie 300–400 tysięcy Polaków.

▶ Ktoś powie: to mało. Ówczesna Polska liczyła około 20 milionów obywateli.

Ale suche liczby, w tym wypadku, niewiele nam mówią. Ważne są bowiem okoliczności, w których do tej pomocy dochodziło. Odwrócę tę sytuację i powiem: przyjmijmy konserwatywnie niższą liczbę – 300 tysięcy Polaków zdecydowało się zaryzykować swym życiem i życiem swych rodzin, by uratować Żydów. To nie jest mało. W jakim innym kraju europejskim 2–3 proc. ludzi dokonuje czynów bohaterskich? Pomaganie Żydom w czasie wojny nie było grzecznością czy uprzejmością. Było bohaterstwem. Przez niektórych dzisiejszych uczestników debaty publicznej – tak chętnie oceniających postawy społeczeństwa polskiego – przedstawiane jest jak normalne, standardowe zachowanie. Otóż nie było „normalnym" i „oczywistym", bo było zagrożone wyrokiem śmierci dla pomagającego i jego rodziny.

▶ Obok bohaterów byli i zdrajcy.

Tak, to prawda. Zawsze są. I tu też są jakieś szacunki. Wspomniany przeze mnie Paulsson przyjmuje, że w Warszawie było ich około 2,5 tysiąca. To zupełnie inna skala. 70 tysięcy bohaterów. Około 2–3 tysięcy zdrajców. Dla pierwszych było zagrożenie śmiercią, dla drugich jakaś forma nagrody od okupanta. A mimo to ludzie ryzykowali życie, a nie łaszczyli się na profity. Poza tym trzeba pamiętać, że by uratować jednego Żyda, potrzeba było współdziałania kilku osób. Wydanie było łatwiejsze – jeden szmalcownik mógł zadenuncjować wielu. Emanuel Ringelblum, który był przechowywany przez Polaków, został wydany przez jednego człowieka. Niemcy odkryli wówczas kryjówkę 32 osób. Kalkstein, jego kochanka i ich pomocnik wydali gestapo około ćwierć tysiąca członków AK i innych zaangażowanych w walkę z Niemcami osób. Jest oczywiste, okupanci byli głęboko zainteresowani popularyzowaniem szmalcownictwa – ale mimo sprzyjających temu procederowi okoliczności Polacy nie ulegli. Donosicielstwo było powszechne, bo bardzo wielu Żydów zetknęło się z tym zjawiskiem, szmalcownictwo, czyli szantażowanie Żydów, już mniej, ale w skali całego narodu jednak marginalne.

▶ Czy w szacunkach dotyczących skali pomocy Żydom uwzględniane są także te przypadki, w których pomoc okazała się nieskuteczna?

Dotykamy bardzo ważnego zjawiska. Mój Ojciec zawsze powtarzał – ratować, to nie zawsze znaczyło uratować. Wielu ludziom, którzy pomagali Żydom, nie udało się im pomóc, w tym sensie, że Niemcy odkryli ukrywanych. Szacunki na pewno w dostatecznym stopniu nie uwzględniają tego zjawiska. Bardzo często odwołujemy się do polskiej liczby Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. Jest rzeczywiście największa, pod względem na-

fot. Jakub Kamiński/PAP

eprasa.pl 77bfbfce1f

rodowym. Ale proszę pamiętać, że w zestawieniu w rzeczywistą liczbą pomagających Żydom Polaków jest śmiesznie niska. By zostać uznanym przez Yad Vashem, trzeba przedstawić poświadczenie dwóch żydowskich świadków. Ogromna część ratujących takich świadków nie miała. Nie mogła ich szukać. Po wojnie Polska była odcięta od Zachodu czy Ameryki, ludzie bali się nawiązywać kontakty międzynarodowe, a bywało, że i sami uratowani w wyniku traumy wojennej rezygnowali z kontaktu ze swoimi dobroczyńcami.

▶ Skąd wzięła się liczba 200 tysięcy Żydów zabitych przez Polaków? Sugerował ją ostatnio nawet dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego. Wcześniej prof. Grabowski, który potem temu zaprzeczał.

Antagonistyczne podejście zaczęło się od Grossa. Jego metodologię skrytykowałem po raz pierwszy w 1986 roku.

▶ Na czym ona polega?

Gross jest socjologiem, nie historykiem. W sposób nieuprawniony posługuje się generalizacjami – skoro w jakimś miejscu coś wyglądało tak i tak, to przyjmuje, że w innym wyglądało identycznie lub podobnie. A to po prostu nie prawda. Inne były relacje polsko-żydowskie w okolicach Jedwabnego czy szerzej w Łomżyńskiem, gdzie przed wojną były silne wpływy ONR, a inne w Krakowie, w Warszawie czy w innych częściach Polski. Główny udział z rozpropagowaniu tej niewytłumaczalnej i co ważne w żaden sposób nieudowodnionej liczby 200 tysięcy miał profesor Grabowski. Jedno jest pewne – w poważnej literaturze historycznej nie ma o tym mowy. Nie ma na to dowodów.

▶ Ale mimo wszystko w świecie rezonuje opowieść Grossa i Grabowskiego.

W przekazie popularnym tak. W przekazie naukowym nie. Ale to prawda, że poważne publikacje nie są tak rozpowszechnione jak te nastawione na sensację, agresywne w przekazie. A niestety mamy kilku takich agresywnych historyków czy kilka takich osób piszących o historii, które swą popularność budują na upowszechnianiu niezweryfikowanych danych albo wręcz danych nieweryfikowalnych.

▶ W jakim celu to robią? Nie budują tym relacji polsko-żydowskich.

Nie sądzę, by relacje polsko-żydowskie były w orbicie ich troski. W przypadku pana Grabowskiego powodem są też tragedie rodzinne. To trochę tak jak w przypadku byłego premiera Izraela – Szamira.

▶ Ale premier Szamir wycofał się ze swoich słów o Polakach.

To prawda, wycofał się. Gdy prezydent Wałęsa przyjechał z oficjalną wizytą do Izraela, to zaprosił go do wystąpienia w Knesecie, a w tym geście należy widzieć szczególne uhonorowanie Polski. Prezydent Wałęsa przeprosił Izraelczyków za wszystkie krzywdy doznane przez Żydów z rąk Polaków w czasie wojny. Premier Izraela odłożył na bok swoje przygotowane przez doradców przemówienie i w swoim wystąpieniu mówił o wielkiej roli marszałka Piłsudskiego dla relacji polsko-żydowskich. To nie był zatem człowiek owładnięty niechęcią do Polaków. Potrafił wznieść się poza swoje osobiste doświadczenia i ocenić sprawę obiektywnie. Ale niestety nie każdy to potrafi.

▶ Czytał Pan książkę „Dalej jest noc"?

Tak, czytałem. Poproszono mnie także o to, bym ją zrecenzował.

▶ Podjął się Pan tego?

Nie.

▶ Dlaczego?

Ta książka składa się z wielu różniących się od siebie – także pod względem metodologicznym – części. Każdy, kto zapozna się z tymi dwoma tomami, ma jasność, iż autorzy odmiennie podchodzą do źródeł. Niektórzy cytują je w sposób bardzo wybiórczy, selektywny. Wobec tego by wyrobić sobie zdanie o wartości ich pracy, należałoby weryfikować prawdziwość i rzetelność wszystkich źródeł. Mówiąc kolokwialnie – obyć taką drogę jak ci, którzy pisali tę książkę. Studiowałem antropologię. Często jeździłem na badania terenowe na wieś, by rozmawiać z ludźmi. Ale relacji świadków nie można traktować jako prawdy objawionej. To wie każdy, kto w swoim życiu miał choćby jakąś poważniejszą stłuczkę drogową. Policja przesłuchuje świadków, ale często oni przedstawiają inne wersje tego, co się wydarzyło. Dopiero skonfrontowanie ich wypowiedzi z danymi zebranymi z miejsca zdarzenia, krytyczne podejście to tych relacji pozwala ustalić prawdę. Tymczasem „Dalej jest noc" w sporej części oparta jest na bezkrytycznym przyjmowaniu ludzkich opowieści. Ktoś coś słyszał, ktoś komuś coś powiedział, mówiło się itp. To jeszcze trudniejsza sytuacja niż ta przykładowa drogowa kraksa. Bo świadkowie wypowiadają się nie o tym, co przed chwilą widzieli lub

eprasa.pl 77bfbfce1f

co przed chwilą słyszeli, a o zdarzeniach, opowieściach, opiniach sprzed kilkudziesięciu lat. Ludzka pamięć jest zawodna. Bardzo zawodna. Nie można tylko na niej budować przekazu historycznego, bo on po prostu nie będzie wiarygodny.

▶ Ludzie nie pamiętają, a czasami pamiętać nie chcą. Szczególnie gdy wspomnienia dotyczą sytuacji tak ekstremalnych jak II wojna światowa.

Dramat tych strasznych czasów dotknął wszystkich. Przede wszystkim Żydów, bo oni wszyscy byli skazani na śmierć. Po obu stronach są historie, których uczestnicy nie chcą pamiętać. Żydzi potrafili – z różnych powodów – brutalnie traktować innych Żydów. Z naszej perspektywy trudno tych ludzi oceniać. Jest więcej niż pewne, że nie robili tego z perfidii czy sadyzmu, a z przeświadczenia. Polacy robili to z najniższych pobudek; Żydzi myśląc, że współpraca z Niemcami może zwiększyć szanse na uratowanie życia. W tej piekielnej rzeczywistości ludzie przyjmowali różne strategie na przetrwanie. Zresztą zdrajcy byli w pierwszych latach państwa Izrael sądzeni. Jednym słowem – sama społeczność żydowska zdawała sobie sprawę z istnienia tego zjawiska i potrzeby napiętnowania go.

▶ Czy nie odnosi Pan wrażenia, że problemem dzisiejszej debaty na temat relacji polsko-żydowskich jest wyrwanie jej z kontekstu okoliczności, w których do zdarzeń czy to dobrych, czy złych dochodziło? Siedząc wygodnie w fotelu, mając poczucie bezpieczeństwa, łatwo powiedzieć: „za mało pomagali, przecież nie wszyscy byli zabijani za pomoc, niektórzy trafiali tylko do obozów koncentracyjnych”. Takie wypowiedzi padają dziś z ust uznanych profesorów.

One są po prostu kuriozalne. Trudno się nawet do nich odnosić. Trzeba mieć świadomość, że większości Żydów Polacy nie byli w stanie uratować. Taka jest prawda. Z cudem graniczyło skuteczne ukrycie ortodoksyjnego Żyda, który w ograniczonym stopniu posługiwał się językiem polskim, wyglądem wyróżniał się z otoczenia. Takie są fakty. Kto się uratował? Przede wszystkim ci, którzy mieli kontakty z Polakami, byli w dużej mierze zasymilowani, mieli znajomych wśród Polaków i po polsku mówili. To zresztą naturalne. Ludzie są skłonni podejmować ryzyko – a w przypadku udzielania pomocy Żydom ono było ogromne – przede wszystkim wobec tych, których znają, lubią, którym ufają, z którymi czują jakąś więź. Prawie wszyscy oglądali film „Pianista”. Szpilmana ratowali ci, którzy go znali, a przynajmniej kojarzyli. Z kolei mój Ojciec miał nauczyciela niemieckiego, przed wojną związanego z endecją, który czuł niechęć do Żydów. Ale w czasie wojny pomagał nauczycielom żydowskiego pochodzenia. I mówił otwarcie, iż nie mógł zostawić w potrzebie innego nauczyciela. Również wiara była silną motywacją do ratowania. Israel Gutman, wybitny profesor Uniwersytetu Hebrajskiego, główny historyk Yad Vashem, mówił, że nie można od ludzi oczekiwać, by za cenę swojego życia ratowali innych. Dodawał, w prywatnych rozmowach, że nie wie, czy gdyby sytuacja była odwrotna, to liczba Żydów ratujących Polaków byłaby równie duża. I nie chodzi o to, że postrzegał przedstawicieli swojej narodowości jako mniej wrażliwych, ale o to, iż wiedział, czym była wojna, czym było piekło zgotowane nam wszystkim przez Niemców. Profesor Gutman przeżył powstanie w getcie i Auschwitz, gdzie uratował go Polak. Naprawdę wiedział, o czym mówił. To był bardzo mądry człowiek. Wiedział, na czym polegała perfidia – nie tylko okrucieństwo – ale właśnie perfidia niemieckiego planu.

▶ Na szczuciu jednych przeciwko drugim, na obdzieraniu z człowieczeństwa i zobojętnianiu na cierpienie.

Na początku getta, nawet przed jego zamknięciem, terror szalał na tzw stronie aryjskiej. Były łapanki, przeszukiwania domów, rozstrzeliwania, wywózki do obozów. Mój Ojciec wyjechał drugim transportem do Auschwitz. Wówczas w tym obozie było 5 tysięcy Polaków i około 20 Żydów. Ci Żydzi trafili tam jako zaangażowani w polskie sprawy polityczne, jako liderzy społeczni, a nie jako przedstawiciele narodowości żydowskiej. Do czasu wejścia Niemców do getta w 1942 roku tam takiego zbrojnego terroru nie było. Oczywiście panowały koszmarne wręcz warunku życia. Poniżenie, głód, choroby, chłód, bieda. Zmarło 100 tysięcy osób. Zmarła jedna czwarta mieszkańców. Ale rozstrzeliwań masowych nie było – Niemcy strzelali niemal wyłącznie do tych, których nakryto na ucieczce. Znam świadectwa z getta z 1941 roku, w których piszący je oceniali, że umrą starcy, chorzy i dzieci ze względu na straszliwe warunki bytowe – ale reszta powinna się uratować, bo wojna się niebawem skończy. Nie wiem, na jakiej podstawie piszący te słowa przypuszczali, iż w 1941 roku kres III Rzeszy jest bliski. Ale tak myśleli i tak pisali. Mieli poczucie, iż większość ludności zamkniętej dzielnicy przetrwa, a poza nią panuje dziki terror.

▶ Czy wie Pan, że po takich słowach w Polsce można zostać nazwanym antysemitą i być bohaterem wystawy w Muzeum Polin – jako przykład mowy nienawiści?

eprasa.pl 77bfbfce1f

Przyznam szczerze, iż niespecjalnie robi to na mnie wrażenie. Ważna jest prawda, a nie taka czy inna – jednym słowem chwilowa – poprawność. Kiedyś w Oksfordzie podczas jednej z konferencji historycznej wypowiedziałem opinię, która bardzo nie spodobała się jednemu z uczestników. To był Żyd polskiego pochodzenia, działacz przedwojennej partii komunistycznej, który wyjechał do Palestyny, by budować tam ten „wspaniały ustrój" i wyzwalać masy pracujące. Sęk w tym, iż tamtejsi Żydzi nie byli szczególnie zainteresowani jego wizją polityczną. Człowiek się zniechęcił i przeniósł do Anglii. Podczas wspomnianej konferencji, po moim wystąpieniu zarzucił mi publicznie antysemityzm. Ale nie miał szczęścia, bo organizatorem wydarzenia był profesor Chone Szmeruk, wybitny historyk kultury i literatury żydowskiej. Wykładowca Uniwersytetu Hebrajskiego, warszawski Żyd. Profesor Szmeruk po tym ataku na mnie zażądał, by ów człowiek w obecności wszystkich mnie przeprosił. I tak się stało. Przywołuję to wydarzenie, by pokazać, iż zawsze znajdą się tacy, którzy bezrefleksyjnie będą używali w dyskusji określenia „antysemita", ale ogromna większość żydowskich naukowców to ludzie rozsądni, sprawiedliwie i rzetelnie patrzący na historię, z którymi można rozmawiać na najtrudniejsze tematy dotyczące naszych relacji. Nie dajmy sobie wmówić, że ci szafujący antysemityzmem to większość. Tak nie jest. Ale jest też inna sprawa. Nigdy nie będzie tak, że ze wszystkim się z Żydami zgodzimy ani że oni zgodzą się z nami. Z innej perspektywy patrzymy na czas przedwojenny, czas wojny i czas komunizmu. To normalne. Pisała pani o tym z artykule opublikowanym w zeszłym roku [jego przedruk w tym numerze „NP" na s. 14 – przyp. red.]. Ratująca dwie Żydówki polska rodzina w pewnym momencie oceniła, że już nie da rady dalej im skutecznie pomagać i znalazła im nowe schronienie. W odczuciu tych Polaków zrobili wszystko, by ocalić tym dwóm nastolatkom życie, i tak się stało. One wojnę przeżyły. Ale owych ludzi zapamiętały jako takich, którzy je porzucili, oddali. Czuły żal, a nie wdzięczność. I to zapewne nie dlatego, że darzyły niechęcią Polaków, ale dlatego, iż były zaszczutymi niemal dziećmi w piekielnej zawierusze. Patrzyły na życie z innej perspektywy niż ich polscy opiekunowie. Proszę spojrzeć na wydarzenia po egzekucji rodziny Ulmów. Chłopi z pobliskich wsi, którzy też ukrywali Żydów, zabili ich. Czy dlatego, że byli antysemitami? Nonsens. Gdyby byli, to by ich nie ratowali. Po prostu w tym dramatycznym momencie uznali, że muszą popełnić zbrodnię, by ocalić własne rodziny. My dziś tego nie gloryfikujemy, ale jesteśmy w stanie jakoś uchwycić kontekst tych czynów. Żydzi nie. I to zrozumiałe. W takich sprawach nigdy się nie zgodzimy, ale to nie znaczy, iż się nie dogadamy. Dogadamy.

▶ Bardzo często w dyskusjach o Polakach ratujących Żydów podnoszony jest argument, iż część z nich robiła to dla pieniędzy.

Na pewno część ukrywających się wspomagała finansowo tych, którzy ich ratowali. I trudno się temu dziwić. Przecież byli na ich utrzymaniu, nie mogli pracować. A ratujący bardzo często po prostu sami nie mieli co do garnka włożyć, musieli wykarmić swoje rodziny. To ludzkie, życiowe sprawy. Trzeba tak na to patrzeć i nie oceniać negatywnie. Trzeba także pamiętać, iż polski rząd na uchodźstwie przeznaczał wielkie sumy pieniędzy na ratowanie Żydów. Te fundusze w pewnej części pochodziły od organizacji żydowskich, ale w przeważającej od emigracyjnego rządu RP. Z narażeniem życia do Polski przewozili je kurierzy. Państwo Podziemne w miarę swych możliwości robiło co mogło, by wesprzeć obywateli narodowości żydowskiej.

▶ Jaka była reakcja polskich mieszkańców Warszawy, gdy stało się jasne, iż Niemcy rozpoczęli mordowanie ludności getta?

Dwa tygodnie po tym, gdy zaczęły się wywózki, czyli gdy stało się jasne, iż rozpoczął się jakiś morderczy plan wobec mieszkańców zamkniętej dzielnicy, Zofia Kossak-Szczucka wydrukowała 5 tysięcy ulotek wzywających do pomocy Żydom. Dokonała tego w warunkach całkowitej konspiracji, to naprawdę było bardzo, bardzo trudne. Rozpoczęła się akcja ratowania żydowskich dzieci. Ogromną rolę odegrały w niej siostry zakonne. Na masową skalę produkowano fałszywe dokumenty. O tym się prawie nie wspomina. A przecież przeżycie bez papierów graniczyło z cudem. Armia Krajowa wyprodukowała 50 tysięcy fałszywych dokumentów dla ukrywających się Żydów. Żaden z nich nie został rozpoznany jako nieprawdziwy. 50 tysięcy. Proszę pamiętać, jaka wówczas była technologia – ile pracy trzeba było włożyć w ich stworzenie. Dokumenty, świadectwa chrztów czy ślubów wystawiali też księża. To też pokazuje skalę zaangażowania Polaków w ratowanie Żydów.

▶ W jakim zakresie Armia Krajowa wspierała militarnie Żydów, którzy rozpoczęli powstanie w getcie. Szef działu naukowego Muzeum Historii Żydów Polskich w wywiadach udzielonych w 76. rocznicę wybuchu żydowskiego zrywu mówił o bardzo ograniczonym charakterze tego wsparcia.

Znowu pojawia się problem kontekstu historycznego, a raczej braku jego zrozumienia. Dziś patrzymy na umiejętności Żydów poprzez możliwości militarne państwa Izrael. Tymczasem przed wojną powszechne było

eprasa.pl 77bfbfce1f

przekonanie w Polsce i nie tylko, iż Żydzi się do wojska nie nadają. Oczywiście od tego stereotypowego wyobrażenia były liczne odstępstwa. Bo przecież osoby narodowości żydowskiej służyły w Legionach, walczyły we wrześniu ,39 roku, dostały się jako żołnierze rezerwy do niewoli sowieckiej i w końcu spora liczba rozpoczęła szlak bojowy pod dowództwem generała Władysława Andersa. Notabene większość za zgodą dowództwa pozostała w Palestynie i faktycznie stworzyła przyszłą izraelską armię. To taka dygresja. Jednak przekonanie o tym, że Żydzi się nie biją, nie walczą, było powszechne. Proszę zobaczyć, że gdy Niemcy tworzyli getta i pędzili do nich społeczności żydowskie różnych miast i miasteczek, to buntów nie było. Żydzi nie stawiali oporu. Zresztą przez wiele lat im to wypominano – w Izraelu młodzi ludzie nie byli w stanie tego pojąć. W latach 60. pytali mojego Ojca, jak to możliwe, że oni tak pokornie szli na śmierć. Trudno się zatem dziwić dowódcom Armii Krajowej, iż nie dawali wiary w zdolności Żydów do walki. W czasie wojny broń była na wagę złota – dosłownie. Zatem oceniano, że przekazywanie jej do getta będzie równoznaczne z traceniem jej. To przekonanie zmieniło się na początku 1942 roku. Wówczas członkowie Żydowskiej Organizacji Bojowej stawili opór Niemcom, którzy weszli do getta. Zaczęli walczyć i okazali się skuteczni. Po tym wydarzeniu Armia Krajowa rozpoczęła przekazywanie broni i materiałów wybuchowych do getta. Zresztą te ostatnie były produkowane pod dowództwem mojej Mamy. Armia Krajowa współpracowała przede wszystkim z ŻOB, którego wielu liderów przeżyło, a Żydowski Związek Wojskowy niemal całkowicie został wymazany z kart historii.

▶ Przedstawiciele Polin w wywiadach umniejszają rolę tej organizacji.

Tymczasem prawda jest taka, że to właśnie ŻZW był lepiej przygotowany do walki z Niemcami i to jego żołnierze stoczyli najważniejszą potyczkę na placu Muranowskim, a nie ŻOB. Nieszczęście tej organizacji polegało na tym, że z nich prawie nikt nie przeżył. Poza tym mieli poglądy prawicowe w przeciwieństwie do ŻOB-u i po wojnie nikt ich historii nie badał. Narrację zdominowali ludzie niechętnie do nich nastawieni i tak jest również teraz. To przykre, bo poglądy polityczne nie powinny skazywać na zapomnienie. ŻZW zasługuje na to, byśmy go pamiętali. Bardzo się o to starał prof. Moshe Arens, mentor premiera Netanyahu i przyjaciel Polski. Ale na przykładzie tej historii zapomnienia widać wyraźnie, że głębokie i czasami wręcz niszczące spory polityczne to nie tylko polska specjalność. Także żydowska.

▶ Szef Żydowskiego Instytutu Historycznego mówił niedawno o tym, iż między Polakami a Żydami przed wojną był mur, w czasie wojny tylko się powiększył.

Ale to nieprawda. Kilka lat temu w Muzeum Polin zorganizowano wielką konferencję poświęconą obecności Żydów na ziemiach polskich. Jedną z konkluzji tego spotkania było przekonanie, iż przedwojenna Warszawa była światową metropolią społeczności żydowskiej. Nie mogło by tak być, gdyby między Polakami a Żydami stał jakiś potężny mur. Oczywiście była dzielnica żydowska, ale nikt nie był w niej zamknięty. Nikt nie zmuszał osoby narodowości żydowskiej do mieszkania na jej terenie. Ponad 120 tysięcy Żydów mieszkało w innych częściach miasta. Żona profesora Pipesa – Irena – do dziś wspomina, że czas, który spędziła w Warszawie, był najszczęśliwszy w jej życiu. Chodziła do polskiej szkoły, miała wiele przyjaciółek, ludzie byli życzliwi. Duża część społeczności żydowskiej dobrze czuła się w Polsce. Oczywiście gdy w latach 1936–1938 sanacja zbliżyła się do ONR i endecji, kiedy upokarzano Żydów, wprowadzono getto ławkowe na uniwersytetach i nawet Żydów asymilowanych traktowano w sposób nieakceptowalny, nastroje się zmieniły. Problem w tym, że historię naszych relacji po stronie żydowskiej napisali ci, którzy przeżyli II wojnę światową, głównie syjoniści, którzy potrzebowali mitu strasznej diaspory, a nie Żydzi ortodoksyjni, którzy wspierali polskie władze i bardzo wysoko cenili marszałka Józefa Piłsudskiego.

▶ Jak ocenia Pan decyzję śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego wstrzymującą ekshumację w Jedwabnem?

Pan prezydenta Lech Kaczyński miał fenomenalne wyczucie relacji polsko-żydowskich. Jego wkład w budowanie kontaktów między naszymi państwami czy też społecznościami oceniam niezwykle wysoko. W moim odczuciu sprawa Jedwabnego jest podgrzewana przede wszystkim w Polsce dla celów politycznych i to wyłącznie po prawej stronie politycznego spektrum. Z historycznego punktu widzenia ona została zamknięta po publikacji dwóch tomów IPN i książce prof. Polonsky'ego. Powszechnie uznaje się, iż zginęło tam od 340 do maksymalnie 600 Żydów. Cześć została spalona w stodole, część zabita wcześniej. Ta tragedia bez okupacji niemieckiej by się najprawdopodobniej nie wydarzyła, choć oczywiście Żydów zabili rdzenni Polacy. Gross zrobił Polsce przysługę, podnosząc ten temat, a IPN świetnie przysłużył się Polsce, publikując dwa grube tomy, co zamknęło dyskusję międzynarodową. Jest rzeczą żenującą, iż minister edukacji, pani Anna Zalewska, podczas wywiadu nie chciała określić narodowości sprawców mordu w Jedwabnem. Czyżby ukrywanie czterdziestu kilku polskich zbrodniarzy, skazanych przez polski sąd, było w naszym interesie narodowym? ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Dawid Wildstein

PO CO NAM ŻYDZI?

Do czego są nam potrzebni Żydzi? Do tego, żeby siebie zrozumieć, żeby móc o sobie opowiadać, żeby tę opowieść przedstawić innym. Zamiast bezsensownej rywalizacji ofiar, koszmarnych licytacji, kto stracił więcej – lepiej pokazywać tę wspólnotę losów, wspólnotę cierpienia, wspólnotę bohaterstwa. Przykładów mamy aż nadto...

eprasa.pl/77bfbfce1f

Ostatnie dwa lata nie były najłatwiejsze w relacjach polsko-żydowskich. Właściwie dawno nie było tylu „awantur" na tym polu. Ciężko też nie odnieść wrażenia, że w większości przypadków to strona żydowska reagowała agresywnie bądź przynajmniej przesadnie i histerycznie na działania Polski. Momentami sytuacja przypominała rozmowę dziada z obrazem, tyle że obraz odpowiadał wyzwiskami i oskarżeniami o współsprawstwo Holocaustu. Ilość pomyj, jaka wylała się na Polskę w kontekście nowelizacji ustawy o IPN, musiała wstrząsnąć Polakami (niezależnie od tego, co sądzimy o tej inicjatywie politycznej), zaś sytuacja, w której jedna z ofiar niemieckiego barbarzyństwa oskarża drugą ofiarę o współudział w zbrodni – jest czymś po prostu potwornym. Nic dziwnego, że zasiana w ten sposób została u wielu ludzi rezygnacja, utwierdzono wrażenie, że dialog polsko-żydowski jest bez sensu. Niech oni robią swoje, my róbmy swoje. No właśnie, wracając do prowokacyjnie postawionego pytania – po co nam właściwie Żydzi?

Przed dalszą częścią tekstu warto pozwolić sobie na krótką uwagę „metodologiczną". Mówienie o Żydach jak o jednym podmiocie, jak zresztą w wypadku większości grup etnicznych, mija się z celem. Żydzi są najróżniejsi. Dlatego, wracając do pierwszego akapitu, mowa tu głównie o władzach Izraela, silnych diasporach oraz najważniejszych organizacjach określających siebie jako żydowskie. Nadal jednak trzeba pamiętać, że władze Izraela to nie całość populacji izraelskiej (to jakby nagle uznać, że konkretny polityk, na przykład Tusk, mówi głosem wszystkich Polaków), warto też pamiętać, że wiele organizacji żydowskich, w czasie awantury o IPN, broniło Polski.

Nasze dziedzictwo to także Polska Żydów

Polacy potrzebują Żydów z jednego, fundamentalnego powodu – żeby zrozumieć samych siebie. To zresztą arcypolski paradoks. Cała nasza tożsamość, nasza kultura, najważniejsze artefakty (zwłaszcza w dziedzinie literatury), poprzez które kolejne pokolenia reprodukowały to, co można nazwać „polskością", odwołują się do świata, którego już nie ma, który nigdy nie wróci. Najważniejsze dla nas dzieła, nasi wieszczowie, najważniejsi poeci, pisarze – wszyscy oni odwołują się do I i II Rzeczypospolitej. Do tego niesamowitego państwa peryferii, państwa wielu etnosów, państwa, które, posiadając silną tożsamość, potrafiło jednak stworzyć ekosystem, w którym współistniały i wzajemnie na siebie wpływały różne kultury. I jedną z nich na pewno stworzyli polscy Żydzi. Nie mogło zresztą być inaczej. Wielka grupa etniczna, w większości przypadków tworząca własny świat, ale istniejący w jednym państwie, z konieczności będący więc punktem odniesienia dla reszty społeczeństwa, w tym dla etnicznych Polaków. Zresztą oba te światy wzajemnie się wciąż przenikały, reagując na siebie nawzajem, zmieniając się pod swoim wpływem.

Ciężko jest zrozumieć na przykład jeden z najważniejszych prądów w kształtowaniu się polskiej tożsamości, czyli tzw. mesjanizm romantyczny, jeśli nie zrozumiemy, jak wielki wpływ miał na niego judaizm polskich obywateli żydowskiego pochodzenia. Jak mówić o Mickiewiczu i Słowackim, pomijając wpływ myśli żydowskiej na nich? Jak można mówić o polskiej poezji czy literaturze, jeśli wyrwiemy z niej Żydów? Przykłady tego typu można mnożyć. Dlatego nasze dziedzictwo to także Polska Żydów. I to nie tylko tam, gdzie następowało skrzyżowanie świata katolickiego i wiary Abrahama. To nie tylko zasymilowani Żydzi lub ci, którzy weszli na trwałe do kanonu polskiego języka. To także ich synagogi, ich miasteczka, ich sposób życia, cały ten fascynujący świat, który tak bezpowrotnie zniszczyli Niemcy. Ten świat trwał w Rzeczypospolitej, konstytuował ją, zmieniał ją i współtworzył. Żydów już dawno w Polsce nie ma jako silnej, znaczącej grupy etnicznej, ale jeśli chcemy wiedzieć coś o sobie, jeśli chcemy siebie zrozumieć i o sobie pamiętać – musi też pamiętać i zachować nasze dziedzictwo żydowskie. Inaczej nie będziemy Polakami. W pewien sposób zresztą polska historia przypomina tutaj żydowską. Nie chodzi tylko o wspólnotę narodów, które przez wieki nie mały państwa, które walczyły z silniejszymi o swoją wolność – lecz także o fakt, że znaczna część ich tożsamości będzie się odwoływać do świata, który już nie wróci, skrajnie odmiennego od tego, który jest dziś. Żydzi mają swoją Ścianę Płaczu, przy której tęsknią za świątynią, której nigdy nie odzyskają. My też mamy swoją Ścianę Płaczu – wspomnienie I i II Rzeczypospolitej, wspomnienie Kresów.

Jak sprzedawać prawdę historyczną?

To jest zresztą wyjątkowość polskiego losu, polskiej historii i tego, do czego jesteśmy, patetycznie rzecz ujmując, „wezwani", gdy spoglądamy wstecz i myślimy nad naszym dziedzictwem. W pewnym sensie z podobną sytuacją mierzą się jeszcze dwa narody z naszego regionu – Litwini i Ukraińcy. W ich jednak wypadku tożsamość narodowa jest wciąż przestrzenią dużo bardziej nieokreśloną, w procesie kształtowania się wręcz nową, a także poddaną – na przykład na Ukrainie – czynnikom zewnętrznym, jak wojna, które wciąż na nowo wytyczają drogi jej rozwoju. Co więcej, z przyczyn historycznych oba te narody wybrały oparcie się na nacjonalizmie dużo bardziej ekskluzywnym niż Polski, zrezygnowały w większej mierze (nie bez swoich racji) z dziedzictwa Rzeczypospolitej, w związku z czym ich tożsamość jest „dystynktywna", oparta na ciągłym odróżnianiu się od innych (oczywiście, krótkie *ad vocem*, mam pełną świadomość, że szkicowanie w kilku zdaniach ewolucji całych narodów jest z konieczności narażone na niesłychaną banalizację, bardziej tu chodzi o zarysowanie tropów niż ich dogłębną analizę). Dlatego Polska jest wciąż wyjątkowa. Chociaż, co warto odnotować, dzisiejsze polskie inicjatywy polityczne, określające siebie jako nacjonalistyczne, chcą właśnie stworzenia u nas tożsamości dużo bardziej zbliżonej do tego, co obserwujemy na Ukrainie czy Litwie.

No dobrze, ale co to ma wspólnego z obecną sytuacją? Cmentarze żydowskie, resztki synagog, stare dzielnice – to

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 77bfbfce1f

z chęcią zachowamy, będziemy pielęgnować. Ale konflikt jest tu i teraz i ma bardzo konkretne przełożenie na praktykę polityczną, na pozycję międzynarodową naszego państwa. Co to ma wspólnego z naszą przeszłością? Odpowiadając – sprawa jest prosta, musimy znaleźć dobry towar eksportowy w zakresie naszej polityki historycznej. Czyli, cynicznie rzecz ujmując, Żydzi są nam potrzebni, żeby się dobrze sprzedać. A co chyba najistotniejsze – jednocześnie opieramy się na prawdzie historycznej. Konkretyzując, co właściwie powinniśmy sprzedawać? To, że tak jak nie ma historii Polski bez Żydów, tak nie ma historii Żydów bez Polski. Powinniśmy opowiadać o tym, jak często oba te narody walczyły z tym samym złem, walczyły o to samo, o swoją wolność. Powinniśmy przypominać naszą Rzeczpospolitą, ideały, które były jej fundamentami, ideały państwa obywatelskiego, w obrębie którego mogły istnieć i rozwijać się różne kultury, państwa opartego na samostanowieniu się i wolności jako nadrzędnych zasadach politycznych. I mówić o tym, kto i jak okrutnie ten świat zniszczył. Oczywiście wielokrotnie rzeczywistość I i II Rzeczypospolitej nie była w stanie sprostać własnemu ideałowi. Wielokrotnie dochodziło do rzeczy złych, ale zawsze tak jest w naszej ziemskiej rzeczywistości. I tak, kolokwialnie rzecz podsumowując, nieźle nam się udało, wręcz wyjątkowo, patrząc na historię reszty Europy i odmętów nietolerancji, krwi i okrucieństwa, w jakie ona się osuwała.

▶ Przeciwnicy wspólnej opowieści o losach polsko-żydowskich

Tutaj mogę sobie wyobrazić reakcję części czytelników – ale przecież nikt nas nie słucha, Izrael ma nas za nic, Europa wciąż kłamie, jesteśmy obojętni USA itd.... Owszem, w znacznej mierze to prawda. Tylko czego innego się spodziewaliśmy? Musiało tak być. To konsekwencje koszmarnego zaniedbania. Podczas gdy inne państwa prowadzą swoją politykę historyczną od dekad, o ile nie wieków, my usiłujemy to robić (z przerwami na rządy PO) od kilku lat.

Bywa, że w wypadku polityki historycznej analogie rynkowe całkiem nieźle opisują jej mechanizmy. Żadna polityka historyczna nie istnieje w próżni. Jest jak towar, powiedzmy jabłka. Po pierwsze – nie powinny być zgniłe – to wymiar aksjologii (chociaż, jak wiadomo, człowieka można przekonać do wszystkiego). Po drugie – wprowadzając je do obrotu, zwłaszcza jako rodzaj nowości na rynek, który od dawna jest bardzo zamknięty, na którym gra już kilka silnych firm, musimy mieć świadomość brudnej gry, jaka zaraz się zacznie. Musimy przygotować się na gigantyczną kampanię negatywną, która, mówiąc wprost, będzie starała się przedstawić nasze jabłka w jak najgorszym świetle. Dokładnie tak się ma sprawa z polską polityką historyczną. Po prostu to wyjątkowo nowy towar na rynku. Towar będący, o czym reszta uczestników tej gry ma pełną świadomość, zagrożeniem dla ich interesów. Teraz mamy tak naprawdę tylko dwie możliwości – obrazić się i odwrócić plecami, możemy, jak wskazywała kiedyś Kopacz, zrezygnować z walki i schować się w domu albo jednak podjąć grę, z pełną świadomością, że na jej pozytywne rezultaty, jeśli do nich w ogóle dojdzie, przyjdzie nam czekać latami (cóż, ryzyko biznesowe). Z tym że sytuacja, w której „odwracamy się plecami" do Europy i ich debat, jest dużo groźniejsza niż rezygnacja z eksportu jabłek. Bo co nam to da? Warto zresztą zwrócić baczną uwagę na osoby i środowiska, które z takim zapałem perorują, że nie warto dyskutować z USA, że najlepiej, proszę wybaczyć kolokwializm, „olać" ten parszywy Zachód i Brukselę, które wciąż nie chcą mówić tym samym głosem co my. Najczęściej okazuje się, że są to dokładnie te same ugrupowania i autorytety, które z sympatią wskazują na Rosję i uwielbiają, oczywiście w imię „realizmu politycznego", występować na łamach Sputnika i tego typu tub putinowskiej propagandy. To o tyle zabawne, że jednocześnie Rosja putinowska od lat prowadzi jedną z najlepiej i najsprawniej zorganizowanych kampanii oszczerstw wobec Polski. Przedstawia ona nasz kraj jako kolebkę antysemitów i faszystów, a inwazja Armii Czerwonej i okupacja przez nią Polski widziane są jako konieczny element obalenia nazizmu w Europie. Na tym tle nawet żydowskie organizacje czy Zachód wydają się bardziej rozmowne niż jednoznaczna, państwowa narracja Moskwy.

Zresztą już samo wymienienie tych, których najbardziej denerwuje, którym najbardziej przeszkadza ta wspólna opowieść o losach polsko-żydowskich, powinno być drogowskazem dla nas. Bo kim są najwięksi przeciwnicy tejże narracji? Mamy więc polskie lewactwo, Rosję, sprzyjających jej narodowców, Platformę Obywatelską itd. (oczywiście, żartobliwie rzecz ujmując, nie są to równe sobie podmioty). To oni chcą jak najmocniej pokazywać to, co dzieli.

▶ Nie zarzucać starań

Na koniec wróćmy do pytania: do czego są nam potrzebni Żydzi? Do tego, żeby siebie zrozumieć, żeby móc o sobie opowiadać, żeby tę opowieść przedstawić innym. Zamiast bezsensownej rywalizacji ofiar, koszmarnych licytacji, kto stracił więcej (którą i tak przegramy) – lepiej pokazywać tę wspólnotę losów, wspólnotę cierpienia, wspólnotę bohaterstwa. Przykładów mamy aż nadto – żydowskie legiony, piękna historia Langego, młodego Żyda, który ginie od moskiewskiej kuli, trzymając krzyż. Mamy też Warszawę dwóch powstań, opowieść o tym, jak dwukrotnie polscy obywatele (przy całej różnicy tych dwóch zrywów militarnych) mieli odwagę sprzeciwić się niemieckiemu złu. Warto tak działać, nawet patrząc czysto cynicznie, bo pamięć o żydowskich cierpieniach jest w Europie bez porównania mocniej zakorzeniona niż wiedza o tym, co spotkało Polskę. Lepiej więc pokazywać obok – nie zamiast – naszą historię. Wpleść w żydowską opowieść także i tę polską. Bo przez wieki była to wspólna historia. A że jest to zadanie na lata, że jeszcze długo będziemy narażeni na ataki i kłamstwa, że to wszystko to wciąż za mało? Taka jest polityka. Najczęściej zawsze będzie za mało. Czy znaczy to jednak, że mamy przestać się starać? ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Ryszard Czarnecki

Widmo izraelosceptycyzmu krąży po Europie Zachodniej

Czym się różni tzw. stara Unia od „nowej" Unii? Czym się różni dawna EWG, dawna „Piętnastka" od „Trzynastki" krajów, które przystąpiły do UE w ostatnich 15 latach? Nie tylko poziomem bogactwa. Nie tylko historią. Nie tylko stosunkiem do USA – raczej sceptycznym w byłej EWG i pozytywnym w naszym regionie Europy. Jeszcze jednym: stosunkiem do Izraela.

Rzeczywiście, po okresie komuny państwa dawnego bloku socjalistycznego pamiętały, że Związek Sowiecki trzymał generalnie z Arabami, a w stosunku do Państwa Izrael był jak „pies do jeża". Może dlatego po odzyskaniu niepodległości kraje naszego regionu miały wdrukowaną polityczną sympatię wobec Tel Awiwu. Państwa „starej" Unii natomiast były tradycyjnie, przez dziesięciolecia, proizraelskie. Zaczęło się to zmieniać na początku tego wieku. I tak sojusznikami Izraela na Starym Kontynencie stały się Polska i nasi sąsiedzi z Grupy Wyszehradzkiej, krajów bałtyckich i Bałkanów – w tym samym czasie, gdy Europa Zachodnia powoli przestawała być sojusznikiem State of Israel.

Był też drugi istotny powód tej zmiany w Europie Środkowo-Wschodniej. Otóż nasz region po zrzuceniu pęt komunizmu stał się szczerze bardzo proamerykański, czasem nawet w sposób więcej niż bezinteresowny. A polityka Białego Domu, obojętne kto w nim zasiada, jest tradycyjnie proizraelska (choć akurat za 45. prezydenta USA, Donalda Johna Trumpa, jest chyba najbardziej proizraelska w ostatnich dekadach...). To też wpływało na ocieplenie relacji Polski, Czech, Słowacji, Węgier, Słowenii, Rumunii, Bułgarii, Chorwacji, Litwy, Łotwy i Estonii oraz innych państw z naszej części Europy, których w Unii jeszcze (sic!) nie ma. Wiemy więc, dlaczego od lat 90. nastąpiła proizraelska reorientacja w polityce zagranicznej kilkunastu państw z dawnego bloku sowieckiego. Dlaczego jednak w tym samym czasie Europa Zachodnia faktycznie poszła w kierunku odwrotnym? Czy Izrael w sposób znaczący pogorszył swoją politykę wobec Palestyńczyków, dając w ten sposób pretekst „starej Unii" do takiej reorientacji? Nie. Dopiero w obecnej kampanii wyborczej, którą piaty raz, w tym czwarty z rzędu, wygrał Benjamin „Bibi" Netanjahu, pojawiły się zapowiedzi zmian terytorialnych, w tym trwałego uznania aneksji West Banku przez Tel Awiw (Jerozolimę). Co się zatem stało w Europie Zachodniej, że – trawestując Karola Marksa – krąży po niej „widmo izraelosceptycyzmu"?

Odpowiedź jest prosta. To napływ muzułmanów do krajów Europy Północnej i Południowej, a także Zachodniej – muzułmanów stopniowo uzyskujących prawa wyborcze – sprawił, że polityka tych państw wobec Izraela przeszła od fazy wspierania go przez fazę neutralności do fazy coraz większego dystansowania się. To muzułmańscy wyborcy, głosujący zresztą przeważnie bardzo jednolicie, przesunęli tę „wajchę" niemal we wszystkich krajach zachodnioeuropejskich – może poza Niemcami i Wielką Brytanią. Nie dziwmy się więc, że Szwecja jako pierwsze państwo członkowskie UE oficjalnie uznaje byt państwowy Autonomii Palestyńskiej, gdy według prognoz będzie ona pierwszym krajem Unii, w którym muzułmanie będą stanowić już niedługo 30 proc. mieszkańców.

Tę tendencję mogę obserwować w spektakularny sposób również w Parlamencie Europejskim. Od 2004 roku następowała tam coraz większa „polityczna miłość" do Palestyny, co wiązało się z organizacją nieoficjalnych wyjazdów deputowanych z różnych frakcji do Autonomii Palestyńskiej. Agenda tych wyjazdów była jednoznaczna: dowartościowywała władze palestyńskie. Gdy chodzi o europarlamentarną geografię polityczną, to szczególnie krytyczna wobec Izraela jest lewica: postkomunistyczna, ale i socjaliści, poza wyjątkami, coraz bardziej też. Dotyczy to również części liberałów, w mniejszym stopniu zaś centroprawicy i prawicy. Ciekawą ewolucję przeszła skrajna prawica, która z pozycji antyizraelskich, a nawet antyżydowskich jeszcze w latach 70.–80., z wdziękiem neofity przeszła na pozycje bardzo proizraelskie.

Mam wrażenie, że w związku z postępującym wzrostem liczby zachodnioeuropejskich wyborców – wyznawców islamu – można się spodziewać coraz bardziej sceptycznego kursu Zachodu (poza USA) wobec Izraela. Zatem we własnym interesie Tel Awiw powinien i musi doceniać kraje naszego regionu Europy, które tej swoistej antyizraelskiej ewolucji – między innymi z powodu braku muzułmańskich wyborców – nie uległy. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Do przyjaciół Żydów. Trzymajmy się prawdy historycznej

Katarzyna Gójska

Problem dzisiejszych relacji Polski i Izraela polega przede wszystkim na tym, że znaczna część tego drugiego państwa bez korekty przyjęła optykę ofiar, dodatkowo bardzo często wykorzystując ją instrumentalnie w doraźnych politycznych interesach.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Środek II wojny światowej, wschodnia część dzisiejszej Polski. Niewielka miejscowość. Niespełna 30-letnia kobieta bierze na przechowanie dwie żydowskie nastolatki. W stodole przygotowuje im specjalną kryjówkę. Zdaje się, iż są w niej bezpieczne, a o ich istnieniu nikt się nie dowiedział. Po kilku miesiącach do ojca ukrywającej przychodzi sąsiad. Polak. Mówi wprost: „Wiem, że twoja córka ukrywa Żydów. Jeśli Niemcy się dowiedzą, zabiją nie tylko was, ale może i moją rodzinę. Mam dzieci, nie mogę ryzykować. Wyrzuć je albo ja sam je zabiję". W rodzinie ukrywających naradzają się, co robić dalej. Trzydziestolatka nie ustępuje – wzięła je, to będzie pomagać. Zmienia tylko kryjówkę. Ze stodoły przenosi nastolatki do nowego schronienia w oborze. Ale sąsiad bacznie obserwuje. Po kilku miesiącach ma pewność, że nie stało się tak, jak chciał. Znowu grozi ojcu ukrywającej – ale też tłumaczy: „Dzieci mi zabiją, nie mogę ryzykować ich życia". Widać, że nie żartuje. Jest zdesperowany, a przez to sytuacja może wymknąć się spod kontroli. Kobieta szuka dla swych podopiecznych nowego schronienia. Tym razem u znajomych trzy wsie dalej. Zgadzają się pomóc młodym Żydówkom. Trzydziestolatka czeka na dogodny moment przeniesienia. Pewnego dnia wyprowadza dziewczęta, eskortuje je przez część drogi, dalej każe iść samym. Wcześniej tłumaczy, gdzie mają się kierować, do kogo, a przyjmującym wysyła sygnał, iż wyruszyły. Akcja kończy się powodzeniem. Nastolatki szczęśliwie doczekują końca wojny. Przeżyły! Po wojnie obie wyjeżdżają do Kanady. Traf chce, że po wielu latach spotykają na swej drodze krewnych kobiety, która im pomagała. Nie zostawiają na niej suchej nitki. Twierdzą, że naraziła je na śmierć przenosinami, a nawet iż je wyrzuciła. Znam imiona, nazwiska bohaterów tej zdaje się symbolicznej historii. Celowo ich nie wymieniam, bo nie o personalia tu idzie, lecz o zrozumienie. Nie mam wątpliwości, iż podobnych historii w czasie wojny rozegrały się tysiące. I tysiące ocalonych miały żal do swych wybawicieli, że nie zdecydowali się na jeszcze większe poświęcenie. Pamięć zaszczutych, prześladowanych ludzi jest obarczona piętnem dramatu sytuacji, o to nie można nawet mieć pretensji. Jednak o ile ofiary mają prawo do takiej wykrzywiającej interpretacji przeszłości, o tyle współcześni czy tym bardziej historycy już nie. Problem dzisiejszych relacji Polski i Izraela polega przede wszystkim na tym, że znaczna część tego drugiego państwa bez korekty przyjęła optykę ofiar, dodatkowo bardzo często wykorzystując ją instrumentalnie w doraźnych politycznych interesach.

Warto przeanalizować postaci opisanego powyżej dramatu, zdają się być bowiem symboliczne w świetle rozgorzałej na nowo albo – precyzyjniej – po raz pierwszy prawdziwie dyskusji między izraelską a polską opinią publiczną.

▶ Sąsiad

Jego rola wydaje się kluczowa. W izraelskiej historiografii funkcjonuje po prostu jako zwyrodniały antysemita. Groził, że zabije dwie żydowskie nastolatki, domagał się ich wyrzucenia i w końcu dopiął swego. Zostały przeniesione z dala od jego rodziny. Sęk w tym, że w rzeczywistości ten człowiek nie był przeciwny Żydom. Gdyby Niemcy zabijali za pomoc garbatym czy łysym, a jego sąsiedzi ukryliby garbatego czy łysego w stodole obok jego domu, zareagowałby tak samo. W jego głowie był bowiem nie przeraźliwy antysemityzm, lecz przeraźliwy strach. Tak silny, że być może uczyniłby z niego mordercę. Strach proporcjonalny do zagrożenia. Bronił rodziny tak, jak umiał. A dwie Polki narodowości żydowskiej były śmiertelnym zagrożeniem. Niestety niemal nikt z wypowiadających się publicznie na temat realiów II wojny światowej Izraelczyków nawet nie pokusił się o zrozumienie położenia tego człowieka. Rozumiem, iż nie będzie tego czynić nikt z Ocalałych. Ale współcześni nie mogą negować faktu, że Niemcy wyłącznie Polaków karali śmiercią za pomoc Żydom. Nie mogą nie zadawać sobie pytania: dlaczego tylko ich? Chyba nie dlatego, że byli narodem antysemitów, czyhających na sposobność, by dopaść Żyda. Odpowiedzi na to pytanie udziela Emanuel Ringelblum, kronikarz życia i zagłady w warszawskim getcie: „Panuje u nas pogląd, że antysemityzm znacznie się wzmógł w okresie wojny, że Polacy w swej większości są zadowoleni z nieszczęścia, które spotkało Żydów w miastach i miasteczkach Polski. Uważny czytelnik naszych materiałów znajdzie setki dokumentów świadczących o czymś wręcz przeciwnym. W niejednym sprawozdaniu z miasteczka przeczyta on, jak serdecznie odnosiła się ludność polska do żydowskich uchodźców. Dowiecie się o setkach wypadków, kiedy chłopi w ciągu długich miesięcy ukrywali i dobrze karmili żydowskich uchodźców z okolicznych miasteczek" („Notatki z getta warszawskiego"). Wśród tych, o których pisze Ringelblum, byli i tacy, którzy uznali, że nie mogą ryzykować życia najbliższych dla obcych sobie ludzi. Nieważne, Żydów czy jakichkolwiek innych. Czy współcześni politycy izraelscy, tak łatwo zrównujący ich postawę z Niemcami, choć na chwilę pokusili się o refleksję, jak sami zachowaliby się wobec takiego zagrożenia?

▶ Trzydziestolatka

Nasza opisana powyżej bohaterka zaryzykowała życie swojej rodziny. Zrobiła dla dwóch żydowskich

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 77bfbfce1f

dziewcząt tyle, ile mogła. Gdy uznała, że dalsza pomoc w jej domu nie jest możliwa, znalazła im inne schronienie. Dobre, bo udało się je uratować od śmierci. Historię jej odwagi znają najbliżsi i przyjaciele rodziny. Nie jest Sprawiedliwym, nie ma swojego drzewka, jej imię i nazwisko nie zostało nigdzie upamiętnione. Zresztą o to nie zabiegała. Tak jak i beneficjentki jej działań. W nich pozostał żal za to, że się ich „pozbyła". Nigdy tego nie zrozumiały i wypaczoną historię swej dobrodziejki opowiadały innym. Trudno wczuć się w położenie kogoś, kto zależy od innych i jest przez swych prześladowców ścigany niczym zwierzyna łowna. Tej niesprawiedliwej oceny nie można nazywać niewdzięcznością. Wspomnienia ofiar zawsze będą obarczone żalem i niechęcią nie tylko do prawdziwych sprawców ich nieszczęść, lecz także do tych, którym po prostu było lepiej. Nieważne, że niedużo lepiej. Sytuacja Żydów ściganych przez Niemców była tak straszna, że nawet „trochę lepiej" wydawało się prawie rajem. Jednak od badaczy dziejów, polityków, dziennikarzy należy oczekiwać świadomości takiej deformacji pamięci i uwzględnienia jej w badaniu i opisywaniu relacji polsko-żydowskich. Relacja jednej strony nie może przesądzać o ostatecznym odczytaniu historii.

▶ Żydzi i Sowieci

Oto jeszcze jedna prawdziwa opowieść. Żołnierz AK w czasie II wojny światowej wykonał wyrok śmierci na Polaku, który zadenuncjował Niemcom Żyda kryjącego się w lesie. Na tę najwyższą karę skazał go podziemny sąd, instytucja Polskiego Państwa Podziemnego, który mimo okupacji niemieckiej stał na straży każdego obywatela RP, bez względu na narodowość. Tak się stało, iż po wkroczeniu Sowietów ów żołnierz AK nie złożył broni. Brał udział w walce z nowym okupantem, był w grupie, która dokonała odbicia półtora tysiąca więźniów trzymanych przez Rosjan w podwarszawskim Rembertowie. Był ścigany przez UB, musiał się ukrywać. Jego najbliższych poddano brutalnym przesłuchaniom. Te najgorsze prowadził funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa narodowości żydowskiej. Piszę o tej historii dlatego, iż o udziale osób narodowości żydowskiej w aparacie komunistycznego terroru wypowiedział się w bardzo kłamliwy sposób szef zasłużonego Centrum Szymona Wiesenthala. Polska nie może zgodzić się na to, by wszelkie próby opowiedzenia historii Żołnierzy Niezłomnych prześladowanych, torturowanych, mordowanych przez komunistów, w tym tych narodowości żydowskiej, były kwitowane stwierdzeniem: to objaw polskiego antysemityzmu. Nasza wspólna tysiącletnia historia jest i piękna, i trudna. Każdy z tych aspektów musi być opisany prawdziwie.

▶ Polityka

Izrael działa tak, jakby jego obywatele byli jedynymi ofiarami zbrodni popełnionych przez Niemców podczas II wojny światowej. Bycie depozytariuszem wszystkich cierpień jest politycznie opłacalne. I nie chodzi o rekompensaty, odszkodowania (choć pewnie nie są one bez znaczenia), lecz o status – dzięki któremu można oczekiwać od innych więcej, można żądać więcej i można bardziej bezpardonowo próbować egzekwować swoje prawa i realizować interes. Rozumiem tę strategię. Państwo żydowskie jest otoczone wrogami. Prawdziwymi. Jeśli chce trwać i rozwijać się, musi grać ostro. Dziś znajduje się w poważnym zagrożeniu: operujący na terenie Libanu Hezbollah nie jest już bojówką, lecz armią. Przeszkoloną w boju w Syrii, ciągle wspieraną przez Iran. To w rzeczy samej nie są przelewki. Stąd częste rozmowy i spotkania z Putinem, który słusznie uznawany jest za patrona tej antyizraelskiej siły. Polska może rozumieć sytuację Izraela, z politowaniem patrzeć na jego próby dogadania się z Kremlem, ale nie może akceptować hipokryzji władz w Jerozolimie, które wychwalają Sowietów – sprzymierzeńców Hitlera, którzy obściskiwali go wtedy, gdy ruszała budowa niemieckich obozów zagłady na terenach okupowanej Polski. Nie może być tak, że w Jerozolimie planowana jest budowa pomnika bolszewickiej armii, a nie ma upamiętnienia (poza napisem w Yad Vashem) Polskiego Państwa Podziemnego, które biło na alarm o sytuacji Żydów w niemieckiej niewoli, kiedy jeszcze sojusz Hitlera ze Stalinem kwitł w najlepsze.

▶ O naszej historii mówili inni

Dzisiejszy kryzys na linii Warszawa–Jerozolima jest spowodowany przede wszystkim tym (pomijam brak doświadczenia i intuicji niektórych polskich urzędników), że o nas przez całe dziesięciolecia opowiadali inni. Przez ponad pół wieku komuniści – zawodowi manipulatorzy historią – a później ich partnerzy negocjacyjni z Magdalenki, którzy mieli w tyle głowy swe ubabranie współpracą z komuną i nie czuli się związani z Polską („polskość to nienormalność" to przecież nie jest pusty frazes). Po raz pierwszy od wybuchu II wojny światowej działający w normalnych warunkach rząd RP może rozpocząć walkę o przedstawienie światu prawdziwej historii naszego kraju. I zaczął to robić. Wierzę, że większość tych obywateli Izraela, którzy mówią dziś o próbie cenzurowania przez polską ustawę świadectw Ocalałych, została wprowadzona w błąd. W naszym interesie jest jak najszybciej wyjaśnić to nieporozumienie. I dalej aktywnie stać na straży prawdy historycznej. ■

_____

Przedruk artykułu, który ukazał się w „Gazecie Polskiej", nr 6 z 7 lutego 2018 roku.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Piotr Lisiewicz

PRECZ Z KOMUNĄ, czyli pozdrowienia dla Izraela

Niezłomny antykomunizm i proizraelskość – te dwie postawy szły z sobą w parze wśród polskich elit emigracyjnych po II wojnie światowej. „W czym może najzagorzalszemu antysemicie przeszkadzać istnienie państwa żydowskiego? Jakie mamy zobowiązania wobec Arabów? Dlaczego nie mamy się cieszyć z realizacji aspiracji naszych ex-współobywateli, dlaczego nie mamy im życzyć, by mogli żyć w warunkach, dających im maximum możliwości pełni życia narodowego?" – pytał Wacław Zbyszewski, jeden z najważniejszych publicystów na wygnaniu, dawny współpracownik marszałka Józefa Piłsudskiego.

FOT. NAC

eprasa.pl 77bfbfce1f

Gdyby ktoś powiedział polskim wygnańcom tuż po II wojnie światowej, że za 80 lat w polskim życiu politycznym ktoś będzie spierał się gorąco o relacje pomiędzy Polakami i Żydami w czasie II wojny światowej, każdy z nich puknąłby się w czoło. To odczucie dotyczyło również pisarzy, poetów i publicystów. I to od lewicowych Polaków żydowskiego pochodzenia po przedwojennych radykalnych endeków. Bo dla wszystkich wolnych ludzi pióra z obu obozów jasne było, że agresorami winnymi tragedii Polaków i Żydów były III Rzesza i Związek Sowiecki. Że jedni i drudzy byli ofiarami barbarzyńskiej i bezprzykładnej w historii ludzkości agresji dwóch totalitaryzmów. I że po niej przedwojenne spory tracą sens.

Lektura, która jest ciosem w antypolskie kłamstwo

Sumienna lektura setek powojennych tekstów najświetniejszych emigracyjnych piór na temat Żydów i Izraela rozwiewa wszelkie kłamliwe stereotypy na temat postawy Polaków zarówno wobec Holocaustu, jak i Marca 1968 oraz komunistycznego antysemityzmu. Ich autorami są ludzie, którzy – gdyby po II wojnie światowej powstała niepodległa Polska – zostaliby liderami polskiej opinii publicznej, wpływającymi na poglądy przeciętnych obywateli. Gdy przeczyta się te artykuły, widać jasno, jaką brednią są opowieści o obojętności Polaków wobec zagłady Żydów. Jest o 180 stopni odwrotnie, nie ma żadnego świetnego polskiego umysłu oraz serca, które nie próbowałoby się z myślą o niej bezskutecznie uporać. Nie ma też wątpliwości, że to one oddziaływałyby na myślenie polskich mas w niepodległej Polsce.

I nie ma tu kompletnie znaczenia, że w Polsce przedwojennej, w szczególności w latach 30., istniały ostre waśnie pomiędzy endecją a Żydami. Dużo by pisać o ich przyczynach, racjach obu stron i upowszechnianych przez nie stereotypach. Uznawanie tych sporów za coś nienormalnego, wyjątkowo wstydliwego jest ahistorycznym bełkotem, wyprodukowanym dla instrumentalnych, antypolskich celów po Holocauście.

Lektura publicystyki emigracyjnej pokazuje bardzo jasno, co zostałoby z tych sporów, gdy Powstanie Warszawskie wygrało. Otóż NIC. Tlące się wśród przeciętnych Polaków także po wojnie przedwojenne spory zostałyby przez elity wszystkich patriotycznych obozów wysłane w niebyt. Dlaczego? Bo tak ciężkie było dla Polaków doświadczenie II wojny światowej. I tak oczywisty był fakt, że wspólna tragedia przekreśla trzeciorzędne przedwojenne kłótnie. Symbolizował to obrazek z wygnańczego pogrzebu genialnego polskiego satyryka o korzeniach żydowskich Mariana Hemara. Przemawiał nad jego trumną najbliższy żyjący przyjaciel – felietonista Karol Zbyszewski, przed wojną uznawany za zajadłego antysemitę.

PRL – dziwka stargana

Dla czytającego gazety Polaka żyjącego w III RP lektura powojennych tekstów polskich autorów byłaby dysonansem poznawczym. Oto zobaczyłby zupełnie innych Żydów i zupełnie inne tradycje polskiego antykomunizmu niż te stereotypowo znane mu z mediów III RP.

Juliusz Sakowski, przedwojenny dyplomata, czołowy publicysta i krytyk literacki na wygnaniu, zwracał uwagę: „tygodnik »Krokodił« w karykaturach agentów amerykańskiego kapitału przedstawia ich zawsze z garbatymi nosami. Antysemityzm sowiecki, niezależnie od innych jego źródeł, jest zemstą na Izraelu, bo nowe państwo żydowskie, wbrew nadziejom, nie zgodziło się na rolę sowieckiego satelity. Na swój sposób Izrael zdradził Rosję i komunizm".

Tak o naszej wspólnocie losów pisał z kolei Jan Lechoń, autor wierszy „Mochnacki" i „Piłsudski", a więcej jeden z symboli II RP: „Świat, który przeżył Buchenwald i Katyń – niczego już nie czuje. Może ktoś znów nakazać współczucie, przepisać żałobę, zapłakać po umarłych. To wielka, najwyższa sprawa. Jeśli się to nie stanie – to znaczy, że bolszewizm już podeptał to, co było podstawą chrześcijańskiego czucia, i już jego piąta kolumna jest w naszych duszach".

Po samobójstwie Lechonia, najważniejszym poetą polskiej emigracji był bezspornie jego przyjaciel Kazimierz Wierzyński. Jeśli ktoś miał prawo do reprezentowania polskich elit, to właśnie on. W 1968 roku wydał tomik „Czarny polonez", będący z pewnością najbardziej radykalnym polskim wystąpieniem przeciwko komunistycznemu antysemityzmowi. Z dedykacją dla Gomułki napisał: „Rzeczpospolita pańska,/ Dziwka stargana,/ Przeklina to wszystko i pana,/ Towarzyszu Wniesławie". W wierszu „Izrael" napisał: „Gdzie tu schodzą się Żydzi/ Ja chcę tam pójść,/ Stanąć między nimi,/ Pochylić głowę,/ Polak który się wstydzi". „Czarny polonez" spotkał się ze wściekłymi atakami propagandy w PRL, do której tomik został przemycony. Tom powstał na „ścisłe zamówienie ośrodka dywersji ideologicznej" – pisał w „Żołnierzu Wolności" Ryszard Pietrzak.

Wacław Zbyszewski to, co wyprawiały wobec Żydów komunistyczne władze, oceniał jasno: „Szaleństwo, nie mówiąc o ohydzie moralnej tego stanowiska wobec ludzi, którzy cudem uszli z życiem, którzy noszą żałobę po milionach najbliższych".

eprasa.pl 77bfbfce1f

Paryż i Dolina Szwajcarska

Inny skamandryta, młodszy kolega Lechonia i Wierzyńskiego Stanisław Baliński w wierszu „Wizja getta" pisał o niedowierzaniu w to, że getto mogło istnieć w polskiej stolicy: „Idę, nie wierząc jeszcze hańbie feudalnej,/ Którą przywieźli tutaj okrutni siepacze,/ Wznosząc w naszej Warszawie, starej, liberalnej,/ Na wieczną żałość rzeczy – drugą ścianę płaczu".

Z kolei znakomity poeta Józef Łobodowski jako Polak pisał z przerażeniem o tym, jak Żydów potraktowano we Francji i jak wielu Francuzów było z tego zadowolonych. „W Tuluzie wyświetlano propagandowy film antyżydowski »Der Jude Suss«. Gdy w końcowej scenie Żyd Suss został powieszony, na sali rozległy się huczne oklaski". Francuski antysemityzm był dla Łobodowskiego czymś kompletnie niemożliwym w polskich realiach: „Policja paryska otrzymała od Niemców nakaz zgromadzenia wszystkich dorosłych Żydów. Wykonała rozkaz ze stuprocentowym nadprogramem koncentrując całe rodziny: mężczyzn, kobiety i dzieci. [...] Czy wyobrażacie sobie podobne widowisko w warszawskiej Dolinie Szwajcarskiej?".

Co warto podkreślić, także postawa polskich radykalnych endeków była odwrotna tej niemieckich czy francuskich antysemitów. Jerzy Zagórski pisał tuż po wojnie w „Tygodniku Powszechnym" o przedwojennym guru narodowców: „Owego dnia widziałem się ze Stanisławem Piaseckim, b. redaktorem »Prosto z mostu«. Uczynił wszystko, aby ta młodzież, w stosunku do której zachował autorytet, przeciwdziałała ekscesom i niosła pomoc w potrzebie Żydom" („Tygodnik Powszechny", 16 września 1945 r.).

Skromny łącznik między AK a ŻOB

Bardzo znaczące, że ratowanie Żydów z narażeniem własnego życia nie jest w powojennych polskich wspomnieniach czymś nadmiernie eksponowanym. Autorom ich w ogóle nie przychodzi do głowy, by mieli to specjalnie podkreślać. Opowieść o tym pojawia się gdzieś w środku tekstu albo zdania. Bo nikt z piszących te słowa polskich patriotów nie ma cienia podejrzenia, że w jakiejś odległej przyszłości taka postawa będzie postrzegana jako coś wyjątkowego. Że ktoś będzie usiłował bredzić o polskim antysemityzmie w czasie wojny.

Gdy przedwojenna aktorka i tancerka Loda Halama pisze: „Boże, ile najadłam się strachu, wiedząc, że mój mąż, mając przyjaciół Żydów, przechowywał ich", nie myśli, że był on kimś odróżniającym się od reszty Polaków. Podobnie Zofia Kozarynowa, pisarka wywodząca się z endeckiej rodziny, która tylko mimochodem wspomina: „Mój brat musiał »spalić się« z Warszawy: była na ujawnieniu jego współpraca z austriackim kapelanem w uwalnianiu więźniów z Pawiaka i ochronie Żydów".

Edward Chudzyński, poeta i genialny emigracyjny kabareciarz, zaledwie mimochodem wspomina, że był łącznikiem między AK a Żydowską Organizacją Bojową w getcie: „Ponieważ od roku 1942 byłem oficjalnie zatrudniony jako »konwojent« (Wagensbegleiter) w Monopolu Tytoniowym, który znajdował się między ulicami Pawią i Dzielną, miałem przepustkę do getta. W konwojowanych przez nas ciężarówkach i konnych platformach, przy pomocy bez wahania narażających życie autentycznych robotników Monopolu, wyjeżdżały z »żydowskiej dzielnicy« nie tylko skrzynie z papierosami na wschodni front. Wyjechało w tych skrzyniach sporo osób, a wśród nich – na prośbę mego ojca – jego przyjaciel dr Jerzy (»Jerzyk«) Landau z żoną Niusią i córką Miśką". Gdzie jest pomnik dla Edwarda Chudzyńskiego?

Antysemityzm – straszna obca agentura

Postawa pisarzy i poetów nie wynikała bynajmniej tylko z sentymentów i emocji. Wiązała się z polską dojrzałą myślą polityczną, która znakomicie analizowała, jak sprawą Żydów i antysemityzmu gra Związek Sowiecki. Jerzy Niezbrzycki, przed wojną kierownik Referatu „Wschód" Oddziału II, w powojennej emigracyjnej prasie pod pseudonimem Ryszard Wraga był jednym z najważniejszych analityków tej tematyki. Pisał, że „antysemityzm w Polsce jest jedną z najstraszniejszych duchowych agentur obcych, która służyć może tylko i wyłącznie interesom wroga". Stwierdzał, że „antysemityzm nigdy nie był właściwy ani polskiej kulturze, ani polskiej myśli politycznej, czy tym bardziej społecznej. Jest on wyraźnie wprowadzony do emocjonalnych nastrojów tłumów przez zaborców, a przede wszystkim przez Moskali. Antysemityzm towarzyszy nieodłącznie od czasów Piotra Wielkiego i Elżbiety Piotrówny rozwojowi państwowości rosyjskiej".

Do Polski ten zwierzęcy antysemityzm nie przeniknął, mimo że to właśnie na ziemiach polskich „państwowość rosyjska celowo stworzyła pewne gospodarcze podstawy do antagonizmów polsko-żydowskich". Wprawdzie „antagonizmy te w latach 1918–1939 [...] przybierały niejednokrotnie poważne i niebezpieczne natężenia, lecz nigdy nie wchodziły w sferę tego strasznego zdziczenia, jakie demonstrowały antysemityzm moskiewski bądź hitleryzm". Opisywał, jak „okupanci sowieccy wyraźnie ten antysemityzm potęgują i podniecają, chociażby po to, by móc o antysemityzmie polskim mówić na zewnątrz i dyskredytować naród polski w opinii Zachodu". Wraga podkreślał wagę naszej przynależności do Zachodu: „musimy być z Zachodem choćby wbrew Zachodowi". W artykule „Szekspir w Polsce" przypominał, że Polska była niegdyś najbardziej wysuniętym na Wschód krajem, w którym grano sztuki Szekspira. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Jakub Augustyn Maciejewski

CZYM NAPRAWDĘ JEST *ANTEMURALE CHRISTIANITATIS?*

Szkolne podręczniki zapewniają, że szlachta polska była przekonana o swojej dziejowej roli jako „przedmurza chrześcijaństwa" (łac. *antemurale christianitatis*). Taką wizję utrwalił także Henryk Sienkiewicz, jednak był on jedynie literatem, i to o dwieście lat późniejszym niż opisywane w Trylogii wydarzenia. A co jeśli „przedmurze chrześcijaństwa" oznaczało coś więcej niż obronę przed islamem?

Jan Matejko, „Jan Sobieski pod Wiedniem"

Mit wyjątkowej roli Polski w dziejach Europy i Zachodu przybierał różne formy od kronik Wincentego Kadłubka po przemówienia Mateusza Morawieckiego. XIII-wieczny kronikarz twierdził przecież, że Polacy już w IV wieku przed Chrystusem wybierali sobie władcę, a wśród swoich cnót narodowych krzewili przede wszystkim nie bogactwo czy władzę, lecz siłę charakteru. „Wiedz zaś, że Polaków ocenia się według dzielności ducha, hartu ciała, nie według bogactw" – mieli odpowiedzieć nasi praprzodkowie Aleksandrowi Macedońskiemu, który według Kadłubka najeżdżał nadwiślańskie ziemie. Nasz wizerunek jako walecznego narodu nie wziął się więc z heroizmu XX wieku, nie z powstań narodowych czy szarż husarskich, skoro w dobie głębokiego rozbicia dzielnicowego państwa Piastów średniowieczny kronikarz wierzył w dzielność swoich pobratymców. „Nie wątp jednak, że obfitują oni w prawdziwe skarby młodzieży, dzięki której można by nie tylko zaspokoić, lecz całkowicie zniszczyć twoją chciwość charakteru – razem z tobą" – brzmiała dumna odpowiedź legendarnych Polaków wobec Aleksandra Wielkiego. Choć Mistrz Wincenty, dziś błogosławiony Kościoła katolickiego, konfabulował i o czasach sprzed IX wieku nic wiedzieć o historii swojego państwa nie mógł, to jego twórczość wyrażała przekonanie o takiej właśnie mentalności narodowej: waleczności, sile charakteru, odwadze, może nawet pysze i brawurze. Przez setki lat owe poczucie godności będzie się zmagać z pedagogiką wstydu – to pierwsze będzie bronione przez osadzonych w tradycji Polaków, to drugie będzie podejmowane kolejno przez arian, Szwedów, francuskich encyklopedystów, rosyjskich zaborców, a później przez komunistów i elity III Rzeczypospolitej. Zapewne dlatego w licznych pismach i korespondencji Polaków z okresu wojen XVII-wiecznych niejeden polski czytelnik odnajdzie bliskie sercu wartości.

▶ Nie do końca przeciw muzułmanom

Gdy Europa dostrzegła problem turecki, rosnącego w siłę Imperium Osmańskiego, które w 1453 roku zdobyło stolicę wschodniego chrześcijaństwa – Konstantynopol – Królestwo Polskie miało dużo pilniejsze problemy na głowie. Serbowie ulegli potędze muzułmanów po bitwie na Kulikowym Polu w 1389 roku, Władysław Warneńczyk poległ w interesie Węgier w 1440 roku, po zajęciu Bizancjum, wojska islamskie wspinały się wzdłuż wybrzeży Morza Czarnego w 1484 roku, zajmując Kilię, Białogród i podporządkowując sobie Chanat Krymski – a co na to Kraków? W ciągu tych stu lat osmańskich podbojów papieże w Rzymie poznawali Polaków jako obrońców chrześcijaństwa nie w walkach z Turkami, lecz jako bastion przeciwko fałszywym Krzyżakom i jako ewangelizatorów pogańskiej Litwy. Pierwsza polska wyprawa na Turków utknęła w bukowińskich lasach księstwa mołdawskiego, gdy Jan Olbracht w 1497 roku próbował podporządkować lenno Polsce i odbić dla niego porty czarnomorskie. Na następną polską wojnę z muzułmanami przyszło czekać... sto lat! Na przestrzeni następnych wieków to Węgry i Austria, na równo z Polską, aspirowały do miana „antemurale christianitatis", a jednak polscy intelektualiści XX wieku to głównie z polskiego mitu drwili i przypisywali mu niewielkie znaczenie. Historyk Janusz Tazbir (1927–2016), niegdyś szara eminencja polskiej historiografii, ironizował, że „przedmurze" to przecież nic innego jak „murek mały nad większym" czy „przedmurny plac". Ten sam historyk rozpoczął swoją karierę w 1952 roku, gdy opublikował bezprecedensowy artykuł poświęcony emigracyjnemu uczonemu Oskarowi Haleckiemu, zatytułowany „Fałsz historyczny i zdrada narodu w pracach O. Haleckiego". Komunistyczny dziejopis zarzucał katolickiemu historykowi sympatyzowanie z faszyzmem i imperializmem i wściekle atakował „mit szlachetczyzny". Choć pół wieku później (po upadku PRL) Tazbir z życzliwością wyrażał się już o Haleckim, to wrogość wobec tradycji szlacheckiej mu pozostała – do dziś całe pokolenia studentów historii czerpią wiedzę z Tazbirowych kpin z osiągnięć Rzeczypospolitej.

A tymczasem polska rola jako przedmurza dalece odbiega od naiwnej walki z islamem, straceńczej wojny za wszelką cenę, w imię Boskich ideałów. Zmagania z Imperium Osmańskim odbywały się na setki lat przed Mickiewiczowską koncepcją Polski jako „Chrystusa narodów" i zawierały o wiele więcej zdroworozsądkowej polityki i ważenia argumentów niż jakiejkolwiek ideologii. I gdy oto w 1526 roku Europie Środkowej zawala się świat – w spektakularnej bitwie pod Mohaczem ginie młodziutki król węgierski Ludwik, bratanek polskiego monarchy Zygmunta Starego – państwo szlacheckie nie rzuca się na będącą w szczytowym punkcie potęgi Wysoką Portę, ale... zawiera w 1533 roku wieczysty pokój z sułtanem! Był to pierwszy na świecie tego typu traktat pomiędzy państwem chrześcijańskim a agresywnym imperium Osmanów – rzecz bezprecedensowa i oburzająca. A jednak w niczym nie przeszkodziła ona budować w Polakach poczucia, że bronią wielkich wartości. W jaki sposób?

eprasa.pl 77bfbfce1f

Chrześcijaństwo, czyli co?

Nawet Henryk Sienkiewicz nie pozostawił nam w spadku tak jednoznacznego wyobrażenia o przedmurzu jakoby Polska miała stawać zawsze w obronie Europy przeciwko muzułmanom. W „Ogniem i mieczem" jedynie prawosławny Zaćwilichowski wzdycha nad faktem, że Kozacy wybierają sojusz z Tatarami, choć Kozaczyzna powinna być „przedmurzem chrześcijaństwa, puszcza Tatarów w granice Rzeczypospolitej, by się na nich rzucić dopiero wtedy, gdy z łupem będą wracali. Dziś gorzej: bo oto Chmielnicki łączy się wprost z Tatary, z którymi chrześcijan będzie do kompanii mordował". Prędzej więc to Ukraina jest dla autora Trylogii owym antemurale, nie zaś Polska. W „Panu Wołodyjowskim" „strażnicą chrześcijaństwa" był Kamieniec Podolski, nie zaś całe królestwo. Przecież wstrząśnięci najazdami szwedzkimi i rosyjskimi Polacy nie spędzali sobie snu z powiek obroną protestantów czy prawosławnych przed wojną z Tatarami, a czasem nawet korzystali z ich pomocy (jak to było z Kmicicem w „Potopie") albo liczyli na ich triumfy – jak wtedy, gdy Turcy bili Rosjan pod Czehryniem w 1678 roku. A jednak w języku sarmackiej polityki, a nawet w codziennych rozmowach, szlachta uważała się za obrońców chrześcijaństwa, przelewała za krzyż swoją krew i potrafiła się srogo opodatkować. Nie były to jednak ani jakaś abstrakcyjna wiara, ani odległe chrześcijaństwo, lecz konkretne wartości, namacalne dla mieszkańców Rzeczypospolitej.

Huntington i Koneczny – trzysta lat wcześniej

Choć politycy staropolscy nie mogli znać teorii Feliksa Konecznego z I połowy XX wieku ani amerykańskiego politologa Samuela Huntingtona o zderzeniu cywilizacji (sformułowanej w latach 90. poprzedniego stulecia), to z pewnością książki obu badaczy zyskałyby ich uznanie. Przez cały XVII wiek Rzeczpospolita toczyła wojny, ale dopiero walka z Imperium Osmańskim na śmierć i życie w latach 1672–1676 obudziła w Polakach wolę obrony konkretnych wartości. Choć husaria straszyła Turków nad Dniestrem już w 1600 roku, gdy Jan Zamoyski osadzał w Jassach przyjaznego hospodara, albo w zmaganiach hetmana Żółkiewskiego czy Chodkiewicza pod Cecorą i Chocimiem, a także gdy trzeba było odeprzeć pierwsze oblężenie Kamieńca Podolskiego z 1633 roku, to jednak tamtejsze wojny uznawano za peryferyjne. Królewska i szlachecka propaganda skupiała się na wojnach ze Szwedami i Moskwą, w obu przypadkach snując wizję przeprowadzenia unii na podobieństwo tej z Wielkim Księstwem Litewskim. I tak oto Paweł Palczowski czy Stanisław Żółkiewski pisali o konieczności zagospodarowania ziem moskiewskich, źle zarządzanych, hojnie obdarowanych, ale z ludnością żyjącą tam biednie i w niewoli.

Wraz z nastaniem wojny z Turcją oblicze Rzeczpospolitej się zmienia – wojna przestaje być kwestią być albo nie być państwa polsko-litewskiego, ale staje się istotą wolności osobistej. Jeśli wygramy – zdaje się mówić naród szlachecki – będziemy nadal wolni – na ziemi i w zaświatach; jeśli przegramy – nic już od nas zależeć nie będzie.

Gdy hetman, a później król Jan Sobieski, zabrał się za bicie Turków, szybko zauważył, że północne ziemie Rzeczypospolitej dalekie są od wojennego entuzjazmu. Gdy ziemie między Lwowem a Kijowem płonęły od najazdów tatarskich i janczarskich strzelb, Wielkopolska czy Litwa nie chciały słać wojska na południe ani płacić większych podatków. Hetman Sobieski piórem swoich podkomendnych wysyła na sejm pismo, w którym odmalowuje Turków jako tych, którzy „ołtarze Boskie brzydkimi mahometańskimi [...] nieznanymi splugawili obrzędami". Co może powstrzymać potężną armię muzułmańską i sprawić, by „pod same kamienieckie skały gęste trupy pogańskie zabielały się"? Przeciwko starciu cywilizacji ludzie Sobieskiego widzieli tylko jedną nadzieję – aby znów ujrzeć Rzeczpospolitą „naprawioną piękną zgodą". Dla Polaków więc walka o chrześcijaństwo, o „ołtarze Boskie" musiała być poprzedzona narodowym pojednaniem i wzajemną mobilizacją. Był to czas, gdy zaraz po zwycięskiej bitwie chocimskiej 11 listopada 1673 roku trzeba było wybrać nowego

HETMAN SOBIESKI PIÓREM SWOICH PODKOMENDNYCH WYSYŁA NA SEJM PISMO, W KTÓRYM ODMALOWUJE TURKÓW JAKO TYCH, KTÓRZY „OŁTARZE BOSKIE BRZYDKIMI MAHOMETAŃSKIMI [...] NIEZNANYMI SPLUGAWILI OBRZĘDAMI".

eprasa.pl 77bfbfce1f

króla po śmierci Michała Korybuta Wiśniowieckiego. I akurat w ten wyborczy czas największych swarów i politycznych waśni ze spalonego najazdami teatru działań wojennych wyszło wołanie o „zgodę". To na fali tej nadziei Jan III Sobieski został królem i oparł swoje panowanie na budowaniu przedmurza chrześcijaństwa. Nie romantycznym i bezcelowym – jak chcieli późniejsi krakowscy Stańczycy albo komunistyczni historycy – lecz łączącym chłodne kalkulacje i gorliwą wiarę.

Jak feniks z popiołów

Polakom XVII stulecia, nieznającym jeszcze pojęcia rozbiorów, dwukrotnie zagroziło widmo utraty państwa. W czasie potopu szwedzkiego nieomal podzielono kraj pomiędzy Szwedów, Kozaków, Siedmiogród, wespół z Litwą Janusza Radziwiłła, o zagarnięcie całego obszaru aspirowała też Moskwa. Ale w tamtych realiach szlachta – czy to kalwini z Litwy i Pomorza, czy prawosławni Kozacy – wierzyli jeszcze, że pod takim panowaniem da się ocalić wolność osobistą i niektóre instytucje – sądy czy sejmiki ziemskie. Drugie widmo katastrofy zapanowało właśnie w latach 70., gdy Turcja kazała już królowi Wiśniowieckiemu przywdziać biały kaftan na znak poddaństwa wobec sułtana. Już wtedy autorzy pism politycznych byli przerażeni obliczem „tak wielkiey woyny, całemu Chrzescianstwu straszney". Jako że 10 listopada 1673 roku, w przeddzień zwycięskiej bitwy chocimskiej, zmarł król Michał Korybut Wiśniowiecki, państwo stanęło pośrodku wojny, właściwie bez normalnej władzy. „Uważcież tedy cni Polacy, ieżeli nie naycięższe y nie nastraśnieysze Polszcze naszey Interregnum teraźnieysze; a zatym concurrite do ratunku iey, odrzućcie prywaty, ambicye i fakcye" – wzywały do stanu najwyższej gotowości i poświęcenia listy zwołujące prowizoryczne sądy, tzw. kaptury. Sobieski wiedział, że z Turkami nie ma żartów – że Szwedów można było zmusić do wycofania się z Polski pod naciskiem m.in. dyplomatycznym, zaś muzułmanie za walutę cenią sobie jedynie krew: „Pociągnie każdego i zagrzeje synowska przeciwko ojczyźnie, matce swojej, miłość" – pisał hetman i już wtedy kandydat do polsko-litewskiej korony, uderzając w najczulszą strunę duszy polskiej: „o chwałę Bożą, o kościoły św. żarliwość, wolności od przodków nabytej conservatio i nad bracią swoją ginącą, nad niewinnego gminu chrześcijańskiego zgubą, niewolą pogańską i krwie chrześcijańskiej wylaniem politowanie". Tymi słowami w czerwcu 1674 roku Sobieski nawoływał wszystkie województwa do płacenia podatków i wysyłania ludzi do wojska. Ówczesnym językiem mówił, że trzeba bronić chrześcijaństwa, czyli dorobku pokoleń, własnych kościołów i parafii, praw obywatelskich wywalczonych przez przodków, a także o życie zwykłych ludzi, porywanych przez janczarów na dożywotnią niewolę. Warto te przestrogi zapamiętać – dla ówczesnych Polaków nie każdy wróg Rzeczypospolitej był sobie równy – najstraszniejszy był ten, który palił kościoły, plugawił ołtarze, odbierał prawa i robił z ludzi niewolników. To nic innego jak tezy Feliksa Koneczn ego i Samuela Huntingtona.

Przedmurze, czyli wolność

Obywatele nie byli skłonni płacić podatków – ci z południa mieli popalone dwory, a ci z północy czuli się jeszcze bezpiecznie. Tymczasem wojsko potrzebowało pilnie pieniędzy, co wykorzystywali zagraniczni kandydaci na króla, łudząc wyborców obietnicami przywiezienia milionów dukatów z państw ościennych. Oburzał się na to nieznany z nazwiska autor pisma politycznego „Dyskurs przed Seymikiem", który twierdził, że to wstyd oglądać się na cudze pieniądze w obronie własnego życia, zamiast samemu podejmować największe wysiłki i ofiary. To przez taką małość „na elekcyą stawiły się banki y nie kandydatow ale kupców rachowalibysmy pod ten czas" – grzmiał w swoim wywodzie. Uleganie muzułmanom było dla Polaków hańbą, co powtórzył – wówczas już król – Sobieski w zapytaniach do senatorów (tzw. deliberatoriach), nazywając stracony na rzecz Turków Kamieniec Podolski „gniazdem meczetów. Jak żywo odnaleźliby się ówcześni szlachcice w dzisiejszym dyskursie nad emigrantami z Bliskiego Wschodu, dla których widok meczetów w miejsce chrześcijańskich świątyń był godny pożałowania. Bo do wojny o chrześcijaństwo – jako wiary i wolności – potrzeba było czegoś więcej niż pieniędzy – potrzebna była także krew i zdrowie własne. A to obiecywał Sobieski swoim wyborcom w większym stopniu niż milionerzy zza granicy.

Pomsta i męstwo

W tamtej rzeczywistości, nie zepsutej pacyfizmem czy abstrakcyjnymi pojęciami umiłowania całej ludzkości w jednakowy sposób, ważnym argumentem były zemsta i gniew. Niezrozumiałe byłyby raczej dla dzisiejszego Europejczyka, ze wzruszeniem ramion patrzącego na kolejne zamachy islamskich terrorystów czy pożary katedr albo puste kościoły, wezwania, które Polaków powiodły pod Wiedeń w 1683 roku. A przecież król – pogromca Turków – nieraz wzywał, że „przeciwko nieprzyjacielowi Krzyża św., [...], jakobyśmy nie tylko świątnice Boskie i całość miłej ojczyzny głową

eprasa.pl 77bfbfce1f

naszą królewską zaszczycili i szable pogańską, w państwach tej Rzptej okrutnie we krwi chrześcijańskiej brodzącą, odwrócili". Miłosierdzie było zarezerwowane najpierw wobec własnej wspólnoty, skoro monarcha pisał, by „nie wojną ale miłością ojcowską, abyśmy się nad Bisurmany pomścili, krwi narodu w.w.w. zesromoconego, cerkwi Bożych popalonych, podeptanych sakramentów i dusz chrześcijańskich w niewolę zabranych" – przekonywał dwór królewski także Kozaków, którzy pod dowództwem atamana Piotra Doroszenki rozważali przejście na stronę... Turcji. Ciekawe, że jedynie walka z Turkami była rozpatrywana w kategoriach „wstydu albo glorii", jak zapewniał król w listopadzie 1674 roku. Przegrać bitwę na przykład ze szwedzkimi wojskami króla Gustawa Adolfa czy oddać twierdzę dowódcom cara Aleksego to była rzecz niejako dopuszczalna, jak to w wojnie, w której fortuna się często obraca – jednak wojna z Turcją miała zupełnie inny wymiar. Przegrana „strzeż Boże, nie wytrzymamy ostatni ten termin zguby chrześcijaństwa, w zgubie Rzptej tonącego" – a więc klęska pod ciosami wyznawców Allacha miała oznaczać coś więcej niż inne klęski, miała być ciosem dla całej cywilizacji. Nic więc dziwnego, że w tej wojnie domagano się wsparcia od innych państw, co też w niewielkim stopniu, ale jednak otrzymano. Dwustu jeźdźców przysłał Berlin, inżynierów wojskowych dostaliśmy od Sztokholmu, gotówkę przysyłał papież, a informacje wywiadowcze cesarz niemiecki. Jednak walka z nieeuropejskim imperium wymagała przede wszystkim własnego wysiłku. Król przecież osobiście dowodził wojskiem i znosił trudy obozowego życia. Gromił tych, którzy wykręcali się od swoich męskich i rycerskich zobowiązań: „Pełni nadzieje, że których zdrowie zdrowiem własnym, wczasy domowe niewczasem królewskim, głową na ostatek własną całość głowy każdego zastąpiliśmy i uwolnili ku ozdobie naszej i całego narodu, drogi i niewczasu żałować nie zechcecie [...] tak rady swoje miarkować będziecie, jakobyśmy i czasu złotego do przygotowania się na odpór zawiszonemu na wygubienie chrześcijaństwa nieprzyjacielowi nie zgubili [...]". W 1676 roku wojsko Sobieskiego znalazło się pod Żórawnem w zupełnym oblężeniu przez Turków, a na odsiecz jakiejkolwiek zagranicznej siły nie można było liczyć. Niektórzy wojacy zwątpili w szanse nie tylko na zwycięstwo, lecz nawet na przeżycie. To wtedy błyskotliwy monarcha rzucił im w wielkim wiecowym przemówieniu, na wałach obronnych obozowiska: „Z gorszych wyprowadzałem was terminów [okoliczności – red.], czyż moja głowa cięższą jest po włożeniu korony?". Traktat w Żórawnie z 1676 roku zakończył nie tylko kolejną wojnę z Turcją – od tamtej jesieni nigdy więcej wojna z wyznawcami Allacha nie toczyła się już na terenie Rzeczypospolitej. Teatr działań przeniesiono siedem lat później na ziemie osmańskie.

Szczyty na przedmurzu

Obraz Jana Matejki „Jan Sobieski pod Wiedniem" jest jednym z najmniej znanych w Polsce dzieł Mistrza. Powodem jest zapewne fakt, że płótno wisi w Muzeum Watykańskim i nie każdemu dane obejrzeć jest namalowany z rozmachem widok polskiego króla wręczającego posłańcowi list do papieża. Wieszcz polskiego malarstwa namalował „Sobieskiego" za darmo, przekazując go narodowi polskiemu, pod warunkiem, że Polacy podarują go Ojcu Świętemu. Po drodze płótno zatrzymało się w Wiedniu, gdzie Austriacy ze ściskiem zębów oglądali książąt Rzeszy kłaniających się polskiemu monarsze. Matejko nie brał udziału w dyskusjach historyków, którzy wówczas zwątpili w sens odsieczy wiedeńskiej, twierdząc, że skoro sto lat później ocalona Austria dokonała rozbioru Polski, to cała bitwa poszła na marne. Malarz nie wdawał się w dyskusje z historykami, więc nie używał argumentów dziś już podnoszonych przez badaczy, że dotarcie Turków do Wiednia otworzyłoby im drogę do Krakowa przez tzw. Bramę Morawską, przesmyk przez Sudety, że wzmocniłoby wrogie Polsce Prusy, już wtedy zerkające na Pomorze Gdańskie jako na swoją przyszłą zdobycz. Matejko nie wnikał też w umysł króla, który bał się jeszcze jednego scenariusza – że Austriacy zwyciężą, a Polski pod Wiedniem nie będzie – wtedy Rzeczpospolita, już wcześniej porzucona przez Francję, teraz pozbawiona by była życzliwości od któregokolwiek sąsiada.

Mistrzowi polskiego malarstwa historycznego wystarczyło, że w istocie polskiego „przedmurza chrześcijaństwa" czuł nie tylko rolę Polski dla Europy, lecz także podzielał wizję Sobieskiego – że w potłuczonym historycznymi ciosami narodzie do wielkości może porwać nas tylko wielkie zadanie cywilizacyjne. Poprzez mobilizowanie Polaków do wielkich czynów poza granicami można odrodzić kraj wewnętrznie. Sobieskiemu nie starczyło życia, zdrowia, zmarł w 1696 roku, gdy jego wyprawy mołdawskie nie odbiły dla Rzeczypospolitej nowych terenów, a opozycja narodziła się w tak totalnej wersji, jaką znamy ze współczesnych czasów. Jednak sztandar chrześcijaństwa nadal można ponieść poza granice skłóconego kraju – idea przedmurza może okazać się bardziej przydatna niż 350 lat temu. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

DELEGITYMIZACJA JANA PAWŁA II

Tomasz P. Terlikowski

eprasa.pl 77bfbf3e

Dekanonizacji świętego Jana Pawła II nie będzie, ale... to wcale nie oznacza, że nie jesteśmy świadkami bardzo niebezpiecznego procesu dewojtylizacji Kościoła i delegitymizacji pontyfikatu naszego papieża. Warto mieć tego świadomość.

Kilka tygodni temu przez media jak meteor przeleciały informacje o tym, że dwie francuskie feministki zażyczyły sobie dekanonizacji świętego Jana Pawła II. Powód? Rzekome krycie pedofilii i skandali seksualnych w Kościele. Jeszcze wcześniej podczas podróży samolotem z emiratów arabskich papież Franciszek opowiedział „anegdotkę", która – jeśli dobrze się w nią „wgryźć" – zaleca może jeszcze nie dekanonizację, lecz przynajmniej zawiera sugestię, że za czasów papieża Polaka (w domyśle – inaczej niż za obecnego pontyfikatu) przestępcy seksualni bywali chronieni.

Anegdotyczna bomba atomowa

Podczas konferencji prasowej na pokładzie samolotu lecącego ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich do Watykanu papież Franciszek odnosił się do pytania na temat molestowania sióstr zakonnych przez duchownych i biskupów. „To prawda, że w Kościele byli również duchowni, którzy to czynili; w niektórych kulturach jest to zjawisko trochę silniejsze niż w innych. Nie jest to coś, co czynią wszyscy, ale byli tacy księża, a nawet biskupi, którzy to czynili. I sądzę, że to wciąż istnieje, ponieważ nie kończy się to z chwilą dostrzeżenia zjawiska. Sprawa zatem trwa. Od dawna nad tym pracujemy. Suspendowaliśmy i usunęliśmy z tego powodu już niejednego duchownego. Rozwiązaliśmy też – nie wiem, czy proces się zakończył – pewne zgromadzenie żeńskie, bo za bardzo było w to uwikłane. Jest to forma deprawacji. Nie mogę powiedzieć: »w naszym domu tego nie ma«. To prawda. Czy trzeba w tym względzie zrobić jeszcze więcej? Tak! Czy chcemy to zrobić? Tak! Jest to pewien proces, który trwa już od dawna. Papież Benedykt miał odwagę rozwiązać pewne zgromadzenie żeńskie na pewnym poziomie, bo doszło tam do pewnej formy manipulacji kobietami, wręcz manipulacji seksualnej ze strony duchownych czy założyciela. Bardzo często założyciel odbiera wolność, ogranicza wolność zakonnicom i wtedy może dojść do takich rzeczy" – mówił Franciszek. O jakie konkretnie zgromadzenie chodziło, tego we wspomnianej wypowiedzi papież nie wyjaśnił, a zrobiło to później Biuro Prasowe Stolicy Apostolskiej, które zasugerowało, że rzecz dotyczyła żeńskiej gałęzi Wspólnoty św. Jana.

Te słowa, i tak bardzo mocne, były jednak tylko wstępem do opowiedzenia anegdotki, która – i tego papież Franciszek nie mógł nie wiedzieć – była wodą na młyn wszystkich przeciwników świętego Jana Pawła II. „Jest taka anegdota: kardynał Joseph Ratzinger miał wszystkie dokumenty dotyczące zgromadzenia, w którym dochodziło do nadużyć seksualnych i ekonomicznych. Udał się do nich, ale natrafił na przeszko-

fot. Radek Pietruszka/PAP

eprasa.pl 77bfbfce1f

dy i nie mógł do nich dotrzeć. Papież Jan Paweł II, który pragnął poznać prawdę, poprosił go o spotkanie. Joseph Ratzinger przedstawił na nim dokumentację, wszystkie zebrane papiery. Gdy wrócił, powiedział do swojego sekretarza: »daj to do archiwum, wygrała druga partia«" – powiedział na pokładzie samolotu Franciszek. „Nie wolno nam się tym gorszyć, to są kroki w dłuższym procesie. Ale jeśli chodzi o papieża Benedykta, to pierwszą rzeczą, którą powiedział po wyborze, było: »przynieście mi z powrotem te papiery z archiwów« i rozpoczął śledztwo – zaznaczył Franciszek.

Słowa te, w największym skrócie, choć sam papież nadał im formę bardzo lekką, oznaczają – i to bez podania kontekstu czy nawet faktów – oskarżenie papieża, którego sam Franciszek wyniósł na ołtarze, o tolerowanie skandali seksualnych w Kościele, a przynajmniej o to, że pozwalał on, by wygrywała „druga partia". Oskarżenie to zostało, i to także jest problem, podane w taki sposób, żeby nie do końca było wiadomo, o co chodzi, bowiem to sami dziennikarze domyślili się, że w „anegdotce" chodziło o ojca Maciala Marciela Degollado, założyciela Legionistów Chrystusa, i dopiero kilkanaście godzin później potwierdził to – realizujący politykę informacyjną Watykanu – portal Vatican Insider. Co to oznacza? Otóż to, że Franciszek odpalił przeciwko swojemu poprzednikowi i jego otoczeniu „bombę atomową", bowiem zarzuty dotyczą największego – co do tego nie ma wątpliwości – skandalu, jaki dotknął Kościół na przełomie wieków. Oto bowiem szanowany i podziwiany przez kolejnych papieży założyciel jednego z najbardziej dynamicznych zgromadzeń zakonnych, jakim byli Legioniści Chrystusa, okazuje się nie tylko człowiekiem niewierzącym, który na łożu śmierci odmawia spowiedzi, lecz także gwałcicielem setek chłopców, którzy studiowali w jego seminariach, „mężem" dwóch kobiet, ojcem trójki dzieci (dwóch ze swoich synów on sam zresztą zgwałcił), człowiekiem defraudującym miliardy dolarów. Jakby tego było mało, sygnały, że tak jest, napływały do Stolicy Apostolskiej od lat 50. XX wieku, i... choć raz kapłana zawieszono – nic z tym *de facto* nie zrobiono. Jeśli ktoś poszukuje dowodu na to, że Kościół lekceważył molestowanie seksualne, to trudno o lepszy.

▶ To nie przypadek, to polityka

I niestety nie da się dowieść, że jest to przypadek. Kilka miesięcy temu dyrektorem programowym wszystkich mediów watykańskich został bowiem Andrea Tornielli, współautor „Dnia sądu", czyli książki, która kilkanaście dni temu trafiła także na polski rynek. Książka jest płomienną obroną papieża Franciszka przed zarzutami arcybiskupa Vigano, a także przed każdą najdrobniejszą krytyką. Andrea Tornielli i Ganni Valente oczerniają każdego, kto ma najmniejsze wątpliwości co do jakichkolwiek działań papieża Franciszka, przypisują mu złe intencje i uczestnictwo w rozmaitych lobby, a dodatkowo uznają, że występuje on przeciwko samemu Duchowi Świętemu. Można by na to wzruszyć ramionami, bowiem taka jest obecnie linia wszystkich publicystów i dziennikarzy, którzy nie chcą się narażać, ale... obaj autorzy formułują przy okazji poważne zarzuty wobec świętego Jana Pawła II. Z ich książki wynika bowiem, że najwięksi przestępcy seksualni w Kościele byli tolerowani, a czasem wynoszeni do najwyższych godności – poza obowiązującą procedurą – właśnie przez świętego Jana Pawła II. Ich zdaniem sugerowanie, że papież był wówczas zbyt schorowany, by rzeczywiście kontrolować nominacje, jest obraźliwy dla niego samego. Oczywiście wszystko jest podlane sosem usprawiedliwień, ale czytelnik ich książki nie może mieć wątpliwości, że dopiero papież Franciszek naprawdę zabrał się do walki ze skandalami.

Kłopot z tą argumentacja jest tylko taki, że jest ona prawdziwa tylko w połowie. Jest faktem, że Franciszek zdecydował się na nakładanie kar publicznych na przestępców seksualnych, a to oznacza potężną zmianę. Do niedawna hierarchowie, którym udowodniono winę, byli skłaniani do przejścia na emeryturę, ale ich przestępstw nie ogłaszano publicznie. Takie postępowanie motywowane było troską o dobro Kościoła. Franciszek zaś rzeczywiście to zmienił i zaczął publicznie nie tylko ogłaszać winy przestępców, lecz także nakładać na nich większe kary niż jego poprzednicy. Trudno nie docenić tej zmiany, ale problem polega na tym, że jednocześnie papieżowi zdarzało się zdejmować kary z przestępców seksualnych, którzy potem krzywdzili kolejne ofiary, osłabił on także stanowisko Benedykta XVI w sprawie braku święceń dla homoseksualistów, a także promował na najwyższe stanowiska w Kościele amerykańskim hierarchów znanych z przychylnego wobec homoseksualizmu stanowiska.

Najlepiej tę słabość pontyfikatu widać w kwestii chilijskiej. Jeśli chodzi o sprawę chilijską, to jest ona, niestety, dość jednoznaczna. I nie rzuca pozytywnego światła na ten pontyfikat. Wiele bowiem wskazuje na to, że tak mocno akcentowana polityka „zero tolerancji" nie była realizowana wobec tych, których Franciszek osobiście znał czy doceniał. Wiele wskazuje też na to, że w sprawie biskupa kryjącego molestującego przez lata chłopców kapłana papież sam nie zachował wyznaczonych przez siebie dla innych standardów. Aby dobrze to zrozumieć, trzeba cofnąć się do konferencji prasowej w samolocie, którym papież Franciszek leciał do Chile. Tam, czego można się było spodziewać, padło pytanie o biskupa Juana de la Cruz Barrosa Madrida. Kapłan ten jest oskarżany nie tylko o to, że tuszował, jeszcze ja-

eprasa.pl 77bfbfce1f

ko ksiądz (nie on jeden, bo o podobne działania oskarżanych jest jeszcze dwóch innych hierarchów) homoseksualne molestowanie chłopców przez innego księdza, charyzmatycznego duszpasterza młodzieży księdza Fernando Karadimę, lecz także wymuszał na chłopcach milczenie, a niekiedy sam był świadkiem homoseksualnych „igraszek" swojego przyjaciela. W 2011 roku – za pontyfikatu Benedykta XVI – księdzu Karadimie zakazano sprawowania posługi duszpasterskiej i przeniesiono go do klasztoru, by tam dożył swych lat na pokucie. Cztery lata później jednak kapłan, który według świadków, na podstawie zeznań których skazano Karadimę, krył go przez lata i umożliwiał mu jego przestępczy proceder, został przez papieża Franciszka wyniesiony – wbrew protestom miejscowego episkopatu i wiernych – do godności ordynariusza Osorno. I właśnie o tegoż biskupa i o to, czy powinien on nadal sprawować swoją funkcję, padło pytanie. Franciszek odpowiedział krótko: „czekam na dowody, żeby zmienić zdanie" i dodał, że dopóki dowodów nie ma, „należy domniemywać niewinność biskupa".

Te słowa wywołały błyskawiczną reakcję... i to w samym Kościele. Zaczęło się od – jak na warunki kościelne – bardzo ostrego oświadczenia kardynała Seana O'Malleya, przewodniczącego Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich. „Wypowiedź Franciszka jest źródłem wielkiego bólu dla ofiar seksualnego wykorzystywania ze strony duchowieństwa czy innych sprawców" – napisał w oświadczeniu kardynał O'Malley. Franciszek zaś zaczął, powoli, lecz systematycznie łagodzić swoje słowa. „Kiedy zobaczę dowody przeciwko biskupowi Barrosowi, zobaczymy. Dotąd nie widziałem ani jednego" – powiedział do dziennikarzy w mieście Iquique. Ale już w drodze do Peru ton wypowiedzi wyraźnie się zmienił, a papież zaczął przepraszać za niektóre sformułowania. „Zdradziło mnie słowo »dowód«. Pomyliło mi się; nie chciałem mówić o dowodach, ale o oczywistości winy" – mówił papież. „Muszę przeprosić, bo słowo »dowód« zraniło, zraniło wielu wykorzystanych i było dla nich policzkiem" – zaznaczył. Media bliskie Franciszkowi, choćby Vatican Insider, okrzyknęły to przełomem i prawdziwym znakiem pokory, tyle że papież ani o milimetr nie zmienił swojego stanowiska, a jedynie ubrał je w inne słowa, dodając, że „kiedy przyjdzie osoba, która dostarczy mi ewidentnych dowodów winy, pierwszy jej wysłucham".

Ta wypowiedź może uspokoiłaby emocje, ale... kilka dni później amerykańskie media, powołując się na byłą już członek Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich Marie Collins (zrezygnowała ona z członkostwa, oskarżając Kurię Rzymską o opieszałość w działaniach) i świadka w procesie księdza Karadimy Juana Carlosa Cruza, poinformowały o tym, że już w 2015 roku papież otrzymał osobisty list od Cruza, w którym ze szczegółami opisano zarówno zachowania Karadimy, jak i obecnego przy nich biskupa Barroso. List został przekazany osobiście – na specjalnym spotkaniu z czterema członkami komisji, kardynałowi O'Malleyowi (są zdjęcia z tego spotkania, a także z przekazania listu), a ten nie tylko obiecał, że przekaże go papieżowi, lecz także zapewnił, po kilkunastu dniach, że już to zrobił. List ten nie był zresztą jedynym źródłem informacji o zachowaniach Karadimy i Barroso. W 2015 roku także biskupi chilijscy przekazywali papieżowi Franciszkowi informacje o problemach związanych z jego nominacją, a media w całej Ameryce Łacińskiej żyły przez lata tym skandalem. Można oczywiście przyjąć, że ani list, ani doniesienia biskupów nie przekonały papieża, ale wtedy rodzi się pytanie, dlaczego z wysłaniem watykańskiego śledczego do Chile zwlekano aż do momentu, gdy media ujawniły istnienie listu, a kardynał O'Malley odciął się od papieskich wypowiedzi? Dlaczego nie wysłano go tam ani gdy wśród chilijskich katolików wybuchł skandal, ani wtedy, gdy kardynał O'Malley przekazał list od Cruza? Na te pytania wciąż nie ma odpowiedzi.

Zniszczyć pamięć o Wojtyle

Te zarzuty dla obrońców papieża nie mają oczywiście znaczenia, a ich najnowszą polityką jest przekonywanie, że za poprzedników było gorzej, że tak naprawdę dopiero Franciszek wprowadził jakiekolwiek zmiany. To, że nie jest to prawda, w przypadku propagandy sukcesu nie ma znaczenia. Jest jednak jeszcze jeden głębszy problem związany z tą polityką. Otóż wiele wskazuje na to, że osłabienie autorytetu świętego Jana Pawła II (a tego rodzaju zarzuty, nawet w tak lekkiej formie, niewątpliwie go osłabiają) ułatwia odrzucenie lub podważenie także jego nauczania w kwestiach moralnych. A to one są obecnie głównym przedmiotem ataku najbliższych współpracowników papieża Franciszka. Jeśli uda się przekonać wiernych, że Jan Paweł II sam nie był heroiczny w kwestiach moralnych, to łatwiej będzie ich przekonać, że mylił się także w kwestii komunii dla rozwodników w ponownych związkach, homoseksualistów i ich miejsca w Kościele czy antykoncepcji. Osłabienie jego autorytetu ma również ułatwić przeprowadzenie procesu oczyszczania Kościoła z instytucji założonych czy promowanych przez papieża z Polski. Procesu, który od jakiegoś czasu dokonuje się w Watykanie. Wszystko to razem ułatwia zaś zerwanie z ortodoksją, której w kwestiach moralnych święty Jan Paweł II był zwolennikiem. Dlatego wiele wskazuje na to, że anegdotka papieża jest tylko przekąską przed daniem głównym i że w najbliższym czasie możemy się szykować na kolejne ostre ataki na papieża Polska. Pytanie brzmi tylko, czy znajdzie on obrońców w Kościele w Polsce? ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

GDZIE CI NAUCZYCIELE...

Małgorzata Matuszak

Dawniej mówiło się o etosie nauczycielskim. Czy rzeczywiście wspominając o nim dzisiaj – w kontekście strajkowego szału, który ogarnął większość szkół w całej Polsce – można jedynie z nostalgią patrzeć w przeszłość?

Istnieją w społeczeństwie grupy ludzi, które z racji wykonywanego zawodu dźwigają na sobie brzemię szczególnej odpowiedzialności. Które z jednej strony winne być obdarzane szacunkiem, ale z drugiej – narażone są na szczególne napiętnowanie wtedy, gdy zaufanie społeczne i tenże szacunek nadwerężą, gdy przekroczą przyjęty dla nich ogólnie zespół norm, nie tylko tych pisanych. Należą do nich bez wątpienia nauczyciele. Bycie dobrym pedagogiem wymaga bardzo specyficznych cech osobowościowych. Nie każdy może być nauczycielem i nie każdy być nim powinien, nawet jeśli ukończył studia pedagogiczne.

Etyka zawodu nauczyciela

Etos nauczycielski to kategoria, która opisuje z jednej strony najistotniejsze, z drugiej jednak najtrudniejsze do uchwycenia obszary pracy zawodowej nauczyciela. Składają się na niego: postawa nauczyciela, jego kultura osobista, odpowiedzialność, wrażliwość, samokrytycyzm, uczciwość, wyznawane wartości i ich hierarchia, a także wiedza i kompetencje. Nauczyciel winien być dla dzieci i młodzieży żywym wzorem dojrzałej osobowości, odpowiedzialnej za siebie i innych, cechować się wysoką kulturą osobistą i pragnieniem nieustannej pracy nad sobą, nie tylko w zakresie posiadanej wiedzy i rozwoju zainteresowań, lecz także pogłębiania znajomości norm moralnych i konsekwentnego realizowania ich we własnym życiu. Czy to dziś w ogóle możliwe? Czy w dzisiejszych czasach powinniśmy poważnie zweryfikować nasze oczekiwania względem ludzi, którzy podejmują się pracy nauczyciela? Pracy niewątpliwie bardzo trudnej, cieszącej się coraz mniejszym prestiżem, wciąż jednak niezwykle ważnej, kluczowej dla przyszłości nie tylko pojedynczego młodego człowieka, lecz także społeczności, w której będzie żył, którą będzie tworzył.

Nawet jeśli etos zawodu nauczyciela jest dla dzisiejszych pedagogów zbyt wielkim i wymagającym wyzwaniem, to przecież każdy, kto podejmuje się tej pracy, czerpie korzyści z obowiązującej dla tego zawodu Karty Nauczyciela. Ona zaś zawiera nie tylko prawa, lecz także obowiązki. W artykule 6 czytamy, że nauczyciel winien: „(1) rzetelnie realizować zadania związane z powierzonym mu stanowiskiem oraz podstawowymi funkcjami szkoły: dydaktyczną, wychowawczą i opiekuńczą, w tym zadania związane z zapewnieniem bezpieczeństwa uczniom w czasie zajęć organizowanych przez szkołę; (2) wspierać każdego ucznia w jego rozwoju; (3) dążyć do pełni własnego rozwoju osobowego; (3a) doskonalić się zawodowo, zgodnie z potrzebami szkoły; (4) kształcić i wychowywać młodzież w umiłowaniu Ojczyzny, w poszanowaniu Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, w atmosferze wolności sumienia i szacunku dla każdego człowieka; (5) dbać o kształtowanie u uczniów postaw moralnych i obywatelskich zgodnie z ideą demokracji, pokoju i przyjaźni między ludźmi różnych narodów, ras i światopoglądów".

Doszliśmy jednak do sytuacji, że kiedy nauczyciele stawiają etykę swojego zawodu wyżej nad własny dobrostan, kiedy stoją za swymi uczniami do końca, nie zostawiają ich wtedy, gdy najbardziej są im potrzebni, zaczynają być za to piętnowani.

Społeczny pręgierz

Środowisko nauczycielskie się podzieliło. Emocje są po obu stronach – wśród tych, którzy strajkują (tekst powstaje w tym czasie), i tych, którzy na strajk się nie zdecydowali. Strajkujący oczekują wręcz społecznego napiętnowania tych kolegów po fachu, którzy w ich mniemaniu niszczą jedność zawodową. Nie można nie strajkować. Ci, którzy się wyłamali, doświadczają wręcz ostracyzmu zawodowego. Podczas egzaminów, w których niektórzy nauczyciele zdecydowali się uczestniczyć, powitani zostali przez strajkujących nauczycieli w bulwersujący sposób: „łamistrajki" przechodziły między szpalerami koleżanek i kolegów ubranych na czarno. Wszystko odbywało się w ciszy, nic nie mówiono, choć były i takie propozycje, by ich wytrąbić, wygwizdać. Na szczęście do tego nie dochodziło. Choć cisza potrafi być najbardziej wymowna. W niektórych szkołach pojawiły się plakaty krytykujące „łamistrajków".

Jedna z nauczycielek pisze w liście do redakcji jednego z portali internetowych o tym, że na miejskim portalu anonimowo komentowano jej decyzję o nieuczestniczeniu w strajku w bardzo agresywny sposób, nawoływano w nich wręcz do „wywalenia" jej ze szkoły i wywiezienia na taczce. O środowisku nauczycielskim pisze wprost: „Wchodząc w to środowisko, doskonale wiedziałam, ile zawiści, miałkości intelektualnej, niesprawiedliwości w ocenie pracy poszczególnych nauczycieli, dyrektorskich dworów mieści się w pomieszczeniu zwanym pokojem nauczycielskim. Strajk i »popisy« niejednego grona pedagogicznego przekazywane opinii publicznej każą mi moje środowisko zawodowe zobaczyć w jeszcze gorszym świetle. Infantylizm, brak poszanowania dla innych niż własne poglądów, hipokryzja – to tym obarczeni ludzie mieliby uczyć dzieci i młodzież postaw godnościowych, o które rzekomo obok podwyżek walczą dla siebie belfrzy? Norwid służy tu doskonale: Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala,/czy ten, co mówić o tym nie pozwala".

Jak wyglądać będzie sytuacja w pokoju nauczycielskim po strajku? Czy szyderstwa, obraźliwe słowa,

fot. Tomasz Hamrat/Gazeta Polska

eprasa.pl 77bfbfce1f

a nawet wielce wymowną ciszę można puścić mimo uszu? Czy uda się powrócić do sytuacji sprzed i udawać, że nic się nie stało? Jak osoby strajkujące wyobrażają sobie dalszą współpracę z niestrajkującymi? Przecież trzeba spotykać się na radach pedagogicznych, w pokoju nauczycielskim, a nawet choćby mijać na szkolnych korytarzach... Mówi się, że czas goi rany, leczy wzajemne pretensje, ale czy ten nowy rozłam nie zniszczy zupełnie nauczycielskiej jedności, o którą postulowali strajkujący? Nie będzie łatwo odbudować na nowo wspólnotę, na której przede wszystkim winno zależeć nauczycielom. O to wszak najbardziej chodzi w szkole – by atmosfera w niej panująca sprzyjała spełnianiu tego, do czego szkoła jest powołana. Tu chodzi o uczące się w niej dzieci.

Branie dzieci na zakładników

Strajkujący nauczyciele szczycą się też, że popiera ich duża część Polaków. Poparcie i empatia dla nauczycieli kończą się jednak tam, gdzie zaczyna się niepokój rodzica o los własnego dziecka. Czasami mamy do czynienia ze swoistą schizofrenią, tak jak w przypadku Joanny Scheuring-Wielgus. W chwili trwania egzaminu ósmoklasisty napisała na Twitterze: „Mój środkowy syn pisze egzamin. A razem wspieramy nauczycieli w 8. dniu strajku". Ale przecież nie da się równocześnie wspierać nauczycieli w przebiegającym strajku i cieszyć się z tego, że dziecko pisze egzamin! To pokazuje, że nie tędy droga. Nauczyciele zasługują na godną, wysoką płacę, ale sposób, w jaki pragną ją wyegzekwować, nie licuje z godnością ich zawodu.

Dzieciom i młodzieży strajkowanie nauczycieli nie służy. Nauczyciele posuwają się zbyt daleko w braniu ich na zakładników w swoim proteście. Także rodzice i reszta społeczeństwa są zmęczeni ich protestem, z każdym dniem coraz bardziej odczuwając jego uciążliwość. Często nie mają możliwości, by zapewnić dzieciom odpowiednią opiekę i organizację dnia, bo wzięcie dni wolnych od swoich zawodowych obowiązków to rozwiązanie na bardzo krótki czas, a niekiedy wręcz niemożliwe. Nade wszystko są strajkiem zaniepokojeni. I zadają sobie pytanie: co będzie, gdy ich dziecko powróci do szkoły? Czy uda się nadrobić zaległości, zrealizować szkolny program? I czy jego realizacja za wszelką cenę nie odbije się negatywnie na dzieciach przytłoczonych ogromem pracy, którą będą musiały wykonać same i przy pomocy rodziców?

Egzaminy ósmoklasisty i gimnazjalne udało się przeprowadzić, co będzie jednak z maturami? Nie wiadomo, jak to wszystko potoczy się dalej, niezależnie jednak od rozwoju sytuacji stwierdzić można, że pewne skutki tego strajku już stały się nieodwracalne. Wszyscy mają nadzieję, że matury dojdą do skutku w normalnym trybie, że nic ich nie zaburzy. O szczęśliwe i godne zakończenie roku szkolnego starają się jednak przecież nie tylko maturzyści. Już w tej chwili strajk może utrudnić promocję do następnej klasy, poprawę końcowej oceny czy pożegnanie się z nadzieją na świadectwo „z czerwonym paskiem".

Konsekwencje strajku nauczycieli ponosić będą przede wszystkim uczniowie. I w tym momencie słowa strajkujących, w których zapewniają, iż chodzi im właśnie o dzieci, brzmią co najmniej ironicznie. Kwestie dotyczące uczniów, poprawy jakości i warunków nauczania nie pojawiają się właściwie w ich postulatach. Słyszymy tylko ogólniki, jakby o jakości polskiej szkoły decydowała jedynie wysokość nauczycielskiej pensji. Im nie chodzi o dobro polskiego szkolnictwa, tylko o dobro własne: żądają podwyżek. A przecież podwyżki płac nie spowodują, że nagle zaczną być lepszymi nauczycielami. Trudno nie odnieść wrażenia, że szkoła jako instytucja, a przede wszystkim uczniowie, są gronu pedagogicznemu obojętne.

Polityczna gra

Im dłużej trwa strajk, tym bardziej szacunek do nauczycieli spada. To krzywdzące dla nauczycieli dobrych, którzy na uznanie w najwyższej mierze zasługują. Nie oszukujmy się, zawód nauczyciela od wielu lat nie kojarzy się z wysokimi zarobkami. Wiedział o tym każdy, kto na jego wykonywanie się decydował. Niskie zarobki to nie wina obecnej władzy, lecz lat zaniedbań. Nie da się w tym przypadku z dnia na dzień poprawić sytuacji, która od tak długiego czasu nie była dobra. Nauczyciele dali się zmanipulować ZNP, a przede wszystkim Sławomirowi Broniarzowi, jego szefowi i twarzy w trwającym z rządem sporze. Pan Broniarz, niepracujący w zawodzie od ponad 20 lat, niemuszący się martwić ani o swoją niemałą (!) pensję, ani o bezpośrednią reakcję rodziców, wykonuje tak naprawdę dla nauczycieli „krecią" robotę – niby walczy o ich dobro, równocześnie niszcząc wszystko to, co owe dobro mogłoby budować. Nie tak odbudowuje się wizerunek nauczycielskiego zawodu. W jaki sposób nauczyciele mogą wymagać szacunku względem siebie, jeśli sami do siebie go nie mają?

Nauczyciele powinni zarabiać więcej, to nie ulega wątpliwości. Powinni jednak także wymagać od siebie więcej. Pod każdym względem. Oczywiście nie można generalizować, bo właśnie o tę niegeneralizację tu chodzi, wszak niektóre przywileje wynikające z Karty Nauczyciela okazują się dziś przeżytkiem. Jakość polskiego szkolnictwa paląco domaga się nad nim pochylenia, zastanowienia się, jak uczynić je lepszym. Ale na pewno nie tak, jak tego doświadczamy w tej chwili. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Marcin Wolski

O czym marzą Europejczycy?

Na jednym z portali znalazłem informację o ogólnoeuropejskiej ankiecie, która miała ujawnić podstawowe problemy, które trapią mieszkańców naszego kontynentu. Ludzie zgłaszali rozmaite pomysły – posortowane prezentują obraz tego, co w duszy ludzi Zachodu gra. Powiem szczerze – jestem wstrząśnięty. Główne postulaty dotyczyły skądinąd pożytecznych rzeczy, jak recykling śmieci, sadzenie lasów, czystość powietrza, były też podnoszone kwestie socjalne. Nie uświadczy się za to tematów, które można by nazwać światopoglądowymi czy egzystencjalnymi. Czy to oznacza, że nikogo takie kwestie nie obchodzą? Może i tak, ale obawiam się, że obywatele zjednoczonej Europy zostali solidnie przećwiczeni i już wiedzą, o co można pytać, a o co nie.

Ponieważ póki co żyję w wolnym kraju, postanowiłem sporządzić własną listę, którą chętnie zadedykowałbym elitom, a także współobywatelom Unii Europejskiej. Na pewno na czołowym miejscu znalazłaby się kwestia uchodźców, choć wyznam – nie mam na ten temat jednej recepty, a jeśli nawet mam, nie odważę się jej zaproponować. Jest faktem, że problem nie rozwiąże się sam i trzeba coś w sprawie postanowić, zanim będzie za późno. Kwestia druga to sprawa osobistego bezpieczeństwa mieszkańców, co coraz częściej słychać w rozmowach zwykłych ludzi. Łączy się to z emigrantami, ale nie tylko – system kar i troski o skazanych przekroczył granice absurdu. Prawo dawno oderwało się od sprawiedliwości. Jestem też zdania, że nie uciekniemy (obecnie rzecz niewyobrażalna, ale poczekajmy) przed ogólnoeuropejskim referendum na temat kary śmierci dla terrorystów i seryjnych zabójców. Zapytałbym też o stosunek do systemu, który dzięki rozwiniętemu socjalowi bardziej premiuje bezrobotnych niż robotnych, bo tych drugich obciążają nadmierne podatki. Sprawa czwarta – zapytałbym o demokratyczną kontrolę różnych ciał europejskich, które choć nie wybierane bezpośrednio, uzurpują sobie coraz większą władzę. Po piąte zapytałbym, co z rzeczywistą wolnością słowa? Wzmaga się tendencja uznawania jedynych słusznych poglądów kosztem innych. Przyjęcie pewnych kwestii z góry za zakazane jest początkiem końca wolności obywatelskiej. Podobnie chciałbym gwarancji ochrony ludzkiego życia wykluczających aborcję i eutanazję. I to na życzenie. Chciałbym też poznać głos Europejczyków na temat tego „anachronicznego przeżytku", jakim jest rodzina. Czy naprawdę chcą oddać sprawę wychowania dzieci bez reszty w ręce państwa, pozostawiając rodzicom rolę inkubatora i rzecz jasna skarbonki? Wydaje mi się też jasne, że z wyjątkiem sytuacji przestępczych głos decydujący należy do rodziców, również w sprawie programów nauczania ich dzieci. Chciałbym też, żeby w głosie pytanych zabrzmiało głośno żądanie ochrony tradycji i dziedzictwa narodowego i religijnego, co powinno łączyć się z podkreśleniem trwałej suwerenności państw narodowych przy zaprzestaniu dążeń do budowy superpaństwa. Przeżyliśmy już Związek Sowiecki i chwatit. Nadmiar aktywności urzędników stopnia centralnego skierowałbym w stronę ograniczenia roli ponadnarodowych korporacji, których interes wysuwany jest przed interesy państw i mieszkańców Starego Kontynentu. To napisawszy, chętnie poddałbym tę kwestię pod głosowanie. Oczywiście nie światłych elit, które odrzucą to ze wstrętem, lecz zwykłych zjadaczy chleba, frytek i hamburgerów. ■

Wzmaga się tendencja uznawania jedynych słusznych poglądów kosztem innych. Przyjęcie pewnych kwestii z góry za zakazane jest początkiem końca wolności obywatelskiej.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Piotr Lisiewicz

Jak założyciel polskiego futbolu dostał 17 lat łagru

eprasa.pl

„A bramkarz Lustgarten, ten skacze po bramie jak małpa po klatce w podartej panamie" – śpiewali o nim przedwojenni kibice Cracovii, demonstracyjnie noszący, podobnie jak piłkarze, biało-czerwone barwy jeszcze pod zaborami. Józef Lustgarten, legendarny piłkarz i trener reprezentacji Polski, Żyd i Polak w jednym, aresztowany został w 1939 roku przez NKWD. Gdy powstała armia Andersa, mianowano go delegatem polskiego rządu na Syberii. Po odkryciu grobów w Katyniu, został oskarżony o antysowiecką propagandę i znowu zesłany, tym razem do Workucko-Peczorskiego Poprawczego Obozu Pracy. W łagrach spędził 17 lat.

fot. Arch.

Marzyłam o różnej karierze dla mojego syna, ale że będzie stróżem na jakiejś bramie, o tym nigdy nie myślałam. A pan mi jeszcze z tego powodu gratuluje" – tak matka Józefa Lustgardena odpowiedziała prezesowi Cracovii, Stanisławowi Kopernickiemu, gdy ten winszował jej bramkarskich sukcesów syna.

▶ Wynalazca krótkich spodenek, bohater pierwszych... zamieszek

Los sprawił, że jako jeden z prekursorów polskiej piłki nożnej był pierwszy w wielu sprawach. Kiboli z pewnością zaciekawi fakt, że w związku z boiskowym starciem z jego udziałem doszło do pierwszych poważnych... zamieszek stadionowych w historii polskiego futbolu. To było w 1910 roku, w czasie meczu Cracovii z zespołem Rudolfshügel Wiedeń. W trakcie meczu austriacki napastnik kopnął bramkarza Józefa Lustgartena w klatkę piersiową aż ten stracił przytomność. Tymczasem napastnik klubu z Wiednia umieścił piłkę w siatce. Sędzia meczu, również Austriak... uznał gola.

W tej sytuacji kibice Cracovii uznali słusznie, że zmuszeni są osobiście wymierzyć sprawiedliwość sędziemu oraz austriackim piłkarzom, i rozpoczęli zamieszki. Przed jakże słusznym linczem uratowała wiedeńczyków policja, pod której eskortą zostali oni odwiezieni do obstawionego przez nią hotelu. Tak oto ów rodzaj wyrażania emocji, nieodłącznie związany z nową dyscypliną sportu, która zalęgła się pod Wawelem, objawił się pierwszy raz.

Jako pierwszy bramkarz w Polsce nauczył się chwytać piłkę na piersi, nikt przed nim nie bronił też u nas bramki za pomocą robinsonady. Ale był też pierwszym polskim piłkarzem, który grał w... krótkich spodenkach. Powstały one w ten sposób, że obciął nogawki od najlepszych spodni od garnituru. „Ukazały się na Błoniach pierwsze gołe kolana, które stały się przedmiotem troski rodziców, a zarazem kamieniem obrazy dla części społeczeństwa krakowskiego, widzącego w tym grube naruszenie zasad wstydliwości i moralności" – wspominał Lustgarten w książce „Narodziny krakowskiego sportu".

Jak do tego doszło? Wyjaśniał: „Pewnego dania postanowiliśmy ze Staszkiem Szeligowskim przeprowadzić trening w krótkich spodniach. Szeligowski obciął w tym celu spodnie gimnastyczne, ja zaś poświęciłem w tym celu chyba najlepsze spodnie wyjściowe" – pisał. Na krakowskich Błoniach przykład ten podziałał tak zaraźliwie, że po kilku dniach nie widziało się piłkarza w długich spodniach.

eprasa.pl/7bfbfce1f

Natomiast stojąc na bramce, Lustgarten miał na głowie kapelusz typu panama, co odnotowywali w cytowanej przyśpiewce kibice.

Zanim powstał Jude Gang

Cytowana wyżej książka Lustgartena to niezwykłe źródło wiedzy na temat historii, a nawet prehistorii polskiego futbolu. Sam bohater urodził się w 1889 roku w Krakowie, a więc lata jego młodości przypadły na miejsce i czas, w którym – obok Lwowa – rodziła się polska piłka nożna. Jego ojciec, kupiec Wilhelm Lustgarten, był właścicielem słynnej „Barcelony", czyli knajpy na rogu ulic Straszewskiego i Wolskiej, koło Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego, oficjalnie nazywanej „Barem Uniwersyteckim".

Józef czuł się i Polakiem, i Żydem. Przez całe życie był zaangażowanym polskim patriotą, a jednocześnie zwolennikiem tego, by Żydzi stali się tej patriotycznej Polski ważną częścią. Jeśli dziś o Cracovii kibice niektórych klubów mówią jako o „Żydach", a grupa jej wojowniczych kibiców nosi nazwę „Jude Gang", to wynika to nie jak chciałaby „Gazeta Wyborcza" z polskiego antysemityzmu, a z czasów Józefa Lustgartena.

Prehistoria, czyli cyrkowe turnieje zapaśnicze

„Urodziłem się w prawie bezpośrednim sąsiedztwie krakowskich Błoń" – pisał we wspomnianej książce. Jako dziecko obserwował więc ową prehistorię polskiego futbolu – powstawanie parku dr Henryka Jordana, który zaniepokojony faktem, że młodzież z krajów zachodnich góruje tężyzną fizyczną nad młodzieżą polską, dał w kraju początek temu, co nazywamy dziś wychowaniem fizycznym: „Profesor Jordan bywał niemal codziennie w swym parku. Przyjeżdżał tam dorożką około godziny szóstej wieczorem, bardzo często z małżonką, i przechodził od boiska do boiska... Od czasu do czasu słychać było głos profesora »nie rręką« (r wymawiał gardłowo), na co przywołany do porządku odpowiadał zazwyczaj »to łokieć, nie ręka« i gra toczyła się bez przerwy dalej".

Do tej prehistorii Lustgarten zaliczał sportowców wychowanych przez Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół". Dodajmy, że zasługi „Sokoła" polegały głównie na – podejmowanym nieoficjalnie – wychowaniu patriotycznym, szerzeniu świadomości narodowej i gotowości do walki. Towarzystwo wychowało jednak także różne postacie związane ze sportem lub jego okolicami. Barwne to były opisy: „Z grona ćwiczących wyszedł późniejszy zawodowy mistrz świata Zbyszko Cyganiewicz. Ćwiczył tam także (wyrażenie »trening« nie było wtedy znane) skromny pan Miciński, podobno nauczyciel ludowy, który za mierną opłatą spełniał często rolę »czarnej maski« w coraz bardziej popularnych cyrkowych turniejach zapaśniczych".

Lustgarten wspominał także o uczęszczającym do „Sokoła" dr. Erwinie Mięsowiczu, znakomitym lekarzu, o niezwykłej sile fizycznej. „Pewnego późnego wieczoru, powracając z kliniki, został zaczepiony przez dwóch dorosłych drabów. Napastnicy kiepsko na tym wyszli. Doktór chwycił obydwu za kołnierze, stuknął głowami i przerzucił bez większego wysiłku przez wcale wysokie ogrodzenie, skąd wciąż jeszcze niezupełnie przytomnych zabrała następnie policja".

Czego brakowało pierwszym polskim piłkarzom? Jak pisze Lustgarten – niemal wszystkiego. Nie uznawano powszechnie jednolitych przepisów – faule nie istniały, popychano się, a czasem i kopano do woli. A co jeszcze kopano? „Piłek wówczas nie wyrabiano. To, czym posługiwano się w parku, było efektem nieudolnych prób krakowskich rzemieślników, nie mających – bo i skąd – pojęcia o rozmiarach i wadze piłki" – pisał autor „Narodzin krakowskiego sportu".

Sam Lustgarten dorobił się historycznego zdjęcia z jedną z takich „piłek": „Gdy byłem w trzeciej klasie gimnazjalnej, od której w program zabaw wchodziła piłka nożna, zastęp nasz otrzymał piłkę, która sięgała mi do kolan. Fotoreporter warszawskiego tygodnika »Świat« uwiecznił moment gry tą piłką na zdjęciu ilustrującym felieton o parku Jordana". Uczęszczał wówczas do III Gimnazjum im. Jana Sobieskiego w Krakowie, zwanego niekiedy „Sobkiem".

Jak pisał, chlubę piłkarzowi przynosiło nie tyle zdobycie bramki, ile fakt „objechania" jak największej ilości przeciwników. Drybling był więc na bardzo dobrym poziomie.

Autor nazwy i herbu Cracovii

Przełomem, po którym zaczęliśmy mieć do czynienia z prawdziwą piłką nożną, był rok 1906, moment założenia klubu Cracovia. Moda rozkręciła się na całego po meczu z Czarnymi Lwów. „We wszystkich szkołach średnich powstawały »kluby«. Każda niemal klasa, począwszy od czwartej po ósmą, tworzyła sobie drużynę, co w ogólnym pojęciu było równoznaczne z klubem" – pisał Lustgarten.

W Księdze Pamiątkowej III Gimnazjum w Krakowie tak wspominał o początku swoich związków z ekipą, z której wyłonił się jego klub: „Na Błoniach ćwiczyła garstka studentów szkół wyższych – lub jak wtedy pospolicie mówiono – »akademików«. Znajomi zwrócili się do mnie, aby grać u nich. Zgodziłem

eprasa.pl 77bfbfce1f

się i wyznaczono mi pozycję prawego łącznika, a wkrótce potem, ze względu na szybkość i wytrzymałość, przesunięto do pomocy. Na »akademików« patrzono na Błoniach niechętnie, trzymali się bowiem nieco z dala od innych. Toteż niechętnie odnosił się ogół i do mnie i codziennie dogryzano mi, mianując ucznia gimnazjalnego »akademikiem«".

To Lustgarten był autorem nazwy Cracovia i funkcjonującego do dziś herbu tego klubu. Jak do tego doszło? W swojej książce wspominał: „Ja, najmłodszy między obecnymi, nieśmiało wystąpiłem z wnioskiem nadania klubowi nazwy Cracovia, dyskusja zakończyła się natychmiast. W ten sam dzień »pieczętowaliśmy się« już pełnym brzmieniem: »Akademicki Klub Footballowy Cracovia«. »Akademicki«, mimo że poważną część zawodników stanowili uczniowie szkół średnich, a i sam ojciec chrzestny był uczniem ósmej klasy gimnazjum Sobieskiego. W jakiś czas później i inne zespoły zaczęły przyjmować oficjalne nazwy".

W sierpniu 1906 roku Cracovia rozegrała mecz z drużyną pracowników amerykańskiego cyrku Buffalo Bill, goszczącego w Krakowie. Zatrudnieni w nim Anglicy zorganizowani byli w stałą drużynę piłkarską. Zawody miały charakter dość burzliwy, bowiem cyrkowcy nadużywali siły fizycznej. Mimo to mecz zakończył się zwycięstwem krakowian 1:0. Wiosną 1907 roku klub przyjął oficjalną nazwę KS Cracovia.

▶ „Krakowija – kawał kija"

Wzrost popularności futbolu kreował jego pierwsze gwiazdy, które stawały się rozpoznawalne na ulicy. Jak pisał, dla zawodników popularność przybierała częstokroć niemiłe formy. Gdziekolwiek się pokazywali, towarzyszyło im grono, nieraz spore, młodocianych wielbicieli. Bardzo ostrej nieraz rywalizacji między krakowskimi klubami dawano często wyraz w rymach, które cytuje Lustgarten:

Krakowija – kawał kija
Pies zdech – leży niech.

Nie podaje on niestety pełnej treści owych rymowanek, jednak każdy współczesny kibic potrafi ułożyć ich kilka i zapewne nie będą się one mocno różnić od ówczesnych. Odnotujmy też, że jeden z kolegów Lustgartena, piłkarz Cracovii, określany był przez kibiców jako „ogór z krzywymi nogami".

Sam Lustgarten nie tylko „skakał po bramie". Bartosz Dwernicki na portalu RetroFutbol.pl tak pisze o jego wyjątkowości: „Dzisiaj mówimy, że piłkarz jest uniwersalny, jeśli potrafi grać na kilku pozycjach. Najczęściej jednak ogranicza się to do gry na obu skrzydłach, rzadziej spotyka się takich, którzy równie dobrze radzą sobie w obronie i w pomocy. Ponad sto lat temu w Krakowie był jednak zawodnik, który z powodzeniem występował na pozycji pomocnika, łącznika czy nawet bramkarza. I to nie w jakiejś tam okręgówce, tylko w poważnym klubie".

Jak został bramkarzem? „Wczesną wiosną, gdy rozpoczęto kopać, okazało się, że Cracovia nie ma bramkarza. Próbowano na tej pozycji różnych własnych i obcych zawodników, ale żaden z kandydatów jakoś nie mógł zadowolić. W pewien dzień stanąłem na kilka chwil – tak mi się przynajmniej zdawało – w bramce i... wsiąkłem. Te kilka minut rozciągnęło się na kilka lat. Z bramki już się na czas mej kariery piłkarskiej nie wyzwoliłem" – pisał w swojej książce.

Niemałą rolę w wyszkoleniu go na bramkarza, jakiego jeszcze w Polsce nie było, odegrał Anglik William Beniamin Calder. „Słuchaj, Józek, jest w Krakowie taki Anglik, chce grać w piłkę, nazywa się jakoś Kołdra czy coś podobnego" – tak zaawizowano mu jego osobę. Po latach tak wspominał treningi z Anglikiem w wypowiedzi cytowanej przez RetroFutbol: „Przed pawilonem w Parku Jordana stawał nasz kochany Anglik na odległość 3–4 m naprzeciw mnie, kładł przed sobą z pięć piłek – och te »Mc Gregory« ważące po dwa kilogramy i rzucał we mnie ile miał sił. Kto pamięta wysokiego, atletycznie zbudowanego Caldera, ten wie, co to znaczyło. Ta zabawa trwała co najmniej pół godziny, a biada, gdy jakiejś piłki na piersi nie przytrzymałem. Jeszcze dziś cierpnę na to wspomnienie, bo obity byłem tak, iż chwyt na piersi dość silnie rzuconej lekkoatletycznej kuli żelaznej, nie robi na mnie żadnego wrażenia".

Dodajmy, że wyposażenie, w jakim trenowali, dalekie jeszcze było od profesjonalnego. W „Narodzinach krakowskiego futbolu" Lustgarten pisze: „Calder np. trenował najczęściej w swych »cywilnych« trzewikach, a ja, odbywając z konieczności trening w butach Anglika, noszących numer 45, musiałem je przywiązywać do stopy, bowiem obuwie moje miało numer 39".

▶ Policjanci otaczają szatnię i pierwsza awantura dworcowa

Biało-czerwone barwy Cracovii nie były przypadkowe i przez zaborców wielokrotnie postrzegane jako demonstracja polskości. Tak było w 1909 roku w przypadku dwumeczu z niemiecką drużyną z Bielska-Białej – Bielitz Bialaer Sportverein. Bielsko to był wówczas poważny ośrodek przemysłowy, opanowany przez Niemców, którzy odnosili się wrogo do Polaków stanowiących zwartą masę ludności zamiesz-

eprasa.pl 77bfbfce1f

kującą w Białej, a – przeważnie – zatrudnioną w fabrykach w Bielsku.

W meczu na własnym boisku Cracovia pokonała niemiecki zespół 5:1. Rewanż był w Bielsku i nie udał się gospodarzom – padł remis 1:1. Obrażeni nie podstawili Polakom obiecanych powozów. „Dość długo czekaliśmy na boisku, aby nam umożliwiono powrót do szatni, aż wreszcie zdecydowaliśmy się przejść przez miasto piechotą w strojach, w których występowaliśmy na boisku. Prowadziła nas grupa polskich widzów" – wspominał Lustgarten.

Pochód zaczął śpiewać jakąś polską piosenkę marszową. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. „Nasze barwy i polska pieśń zostały zrozumiane jako polska narodowa demonstracja. Towarzyszący nam tłum odpowiedział śpiewem »Deutschland, Deutschland über Alles«, a wtedy, rzecz prosta, my nie pozostaliśmy dłużni... Nasz przemarsz przekształcił się istotnie w manifestację narodową, jakiej Bielsko dotąd nie widziało" – pisał Lustgarten. Po drodze dołączyło do niej kolejne kilkaset Polaków.

To już pachniało grubszą awanturą. Jak pisał Lustgarten, „policjanci otoczyli szatnię, aby powstrzymać rozwścieczonych hakatystów i nie dopuścić do starcia między ochraniającymi nas Polakami a oczekującymi na nasze wyjście Niemcami". Na dworzec przeszli pod ochroną policji i miejscowych Polaków, którzy nie dali się zastraszyć Niemcom i śpiewali razem z piłkarzami. „Również pod ochroną policji zajęliśmy miejsca w wagonie, po czym zjawił się poseł śląski do parlamentu austriackiego Dobija, który w serdecznych słowach podziękował nam za wystąpienie tak podnoszące na duchu Polaków żyjących w nieprzyjaznym polskości środowisku bielskim" – wspominał piłkarz.

O polskość Górnego Śląska

Za niepodległościową demonstrację został uznany też wyjazd na zawody do Warszawy. „W czasie granicznej odprawy celnej w Maczkach celnicy i żandarmi rosyjscy zaniepokoili się naszymi biało-czerwonymi koszulkami, a już prawdziwy popłoch wywołały ułożone w ilości kilkuset egzemplarzy nasze przepisy gry w piłkę, również w biało-czerwonych okładkach" – pisał Lustgarten. Oficerowie żandarmerii, którzy o sporcie nic nie wiedzieli, uważali, że udało im się przechwycić przemyt... rewolucyjnej bibuły. W samej Warszawie piłkarzom nakazano schowanie biało-czerwonych bluz, bo korowód dorożek przejeżdżających przez najruchliwsze ulice z pasażerami ubranymi w barwy narodowe mógł być uważany za demonstrację, którą musiał zatrzymać pierwszy napotkany stójkowy.

Już całkiem umyślnie piłkarze Cracovii wspierali także walkę o polskość Górnego Śląska podczas akcji plebiscytowej. „Nasz pobyt miał wykazać zarówno Polakom, jak i Niemcom, że sport w Polsce stoi na wysokim poziomie i okoliczność ta ma stanowić w walce plebiscytowej jeszcze jeden argument za Polską" – wyjaśniał Lustgarten. Cel ten udało się zrealizować w meczu z nieoficjalną reprezentacją Śląska, wygranym 13:0.

Z Wiślakami razem tylko w czasie wojny...

Po maturze Lustgarten rozpoczął studia prawnicze na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, potem kontynuował naukę w Wiedniu. Jego kariera piłkarska urwała się w roku 1912, wkrótce został trenerem swojej Cracovii, która zerwała umowę z czeskim trenerem Františekiem Koželuhem.

A potem rozpoczęła się wojna. Służył w 3. Pułku Piechoty II Brygady Legionów. Po powrocie do Krakowa w 1915 roku boiska na Błoniach zastał w katastrofalnym stanie. Starał się je wraz z kolegami doprowadzić do porządku. W niewiele lepszym stanie była poszkodowana w czasie wojny drużyna. Pisał: „Na 11 zawodników tylko 10 par oczu. Szeligowski na prawym nie miał prawego oka, a Obalt na lewym – lewego".

Inny piłkarz Cracovii Stanisław Mielech tak pisał o działalności Lustgartena w czasie wojny oraz jego stosunku do głównego rywala Cracovii, czyli Wisły Kraków: „W czasie I wojny światowej dr Lustgarten, reorganizując Cracovię, przygarnął do niej również bezdomnych Wiślaków z H. Reymanem i Śliwą na czele umożliwiając im treningi. Śliwa grał nawet kilka spotkań w I drużynie Cracovii. Gdy stosunki unormowały się, dr Lustgarten zajął takie stanowisko wobec Wiślaków: »Nie będę ich zatrzymywał, ani nie myślę przeciągać do Cracovii innych zawodników Wisły. W sporcie konieczna jest rywalizacja, bez rywalizacji nie ma postępów. Dla Cracovii potrzebna jest silna Wisła«".

Piłkarz Strycharz, czyli wybitny malarz... pokojowy

Gdy jeszcze trwała wojna, wraz z dr. Janem Weyssenhoffem rozpoczął pracę nad projektem statutu Polskiego Związku Piłki Nożnej. W grudniu 1919 roku został on przyjęty przez Walne Zgromadzenie PZPN w Warszawie.

Wraz z niepodległością wzrosło też niepomiernie znaczenie sportu, w tym futbolu. Gdy Cracovia pojechał na turniej do Francji, którego gospodarzem był Racing Paryż, okazało się, że ich przyjazdem interesu-

eprasa.pl 77bfbfce1f

ją się tamtejsze polskie elity. Po meczu piłkarzy zaproszono na bankiet zorganizowany przez ambasadora Polski w Paryżu, hrabiego Chłapowskiego, z udziałem mieszkających w stolicy Francji polskich kręgów arystokratycznych.

W czasie owego bankietu piłkarzowi Edwardowi Strycharzowi przypadło miejsce przy stole obok hrabianki Zamoyskiej. Jak odnotowywał Lustgarten: „Strycharz, typ krakowskiego andrusa ze Zwierzyńca, obdarzony wszystkimi zaletami cechującymi tę zanikającą specjalność Krakowa, umiał zachować się w każdej sytuacji. Arystokratyczne towarzystwo nie zaimponowało, ani też nie speszyło »króla przedmieścia«. Zajął się swą sąsiadką zabawiając ją, a gdy w trakcie rozmowy zdziwiona, że piłkarz może być tak doskonałym towarzyszem, zapytała o jego zawód, odpowiedział zgodnie z prawdą, że jest malarzem. Potoczyła się rozmowa o malarstwie...". Zdziwienie hrabianki było wielkie, gdy później dowiedziała się, że jej rozmówca, z którym się tak doskonale bawiła, jest i owszem malarzem, z tym że... pokojowym.

Sam Lustgarten został w niepodległej Polsce trenerem jej reprezentacji piłkarskiej. Funkcja trenera reprezentacji to było wówczas trochę coś innego, niż kojarzy się współczesnemu kibicowi. Trenerów mogło być na przykład... trzech. „Uznanie delegatów PZPN zyskali niemal jednogłośnie: Adam Obrubański, Stanisław Ziemiański i właśnie Józef Lustgarten. To samo trio decydowało również o kształcie reprezentacyjnej jedenastki w wyjazdowych starciach ze Szwedami i Rumunami. Również w tamtym roku, w spotkaniu z Jugosławią, Lustgarten znalazł się wśród selekcjonerów. Tym razem jednak partnerowali mu Władysław Jentys i Edward Cetnarowski, bo Obrubański i Ziemiański przestali być aktywni na forum PZPN. Bez względu na to, kogo miał obok siebie, to właśnie Lustgarten był nieformalnym liderem selekcyjnego tercetu" – tak pisze o tym Bartosz Dwernicki.

Był też międzynarodowym piłkarskim sędzią. „Sędziował najlepszym zespołom Austrii, Węgier, Czechosłowacji i Jugosławii, czyli samej europejskiej czołówce. Gwizdał w takich spotkaniach międzypaństwowych, jak Czechosłowacja – Węgry, Węgry – Austria czy dwukrotnie Łotwa – Estonia. Jako arbiter zyskał uznanie na całym kontynencie" – wylicza publicysta portalu RetroFutbol.

▶ Katyń i 17 lat zesłania

Po wybuchu II wojny światowej Lustgarten zdołał uciec przed tryumfującymi Niemcami do Lwowa. W jego przypadku okazała się to ucieczka z deszczu pod rynnę. Zapewne Sowieci wiedzieli wiele o jego patriotycznej działalności. Pod koniec 1939 roku aresztowało go NKWD.

Wraz z resztą Polaków wypuszczony został na wolność po podpisaniu traktatu Sikorski–Majski, na mocy którego utworzona została w Sowietach armia generała Władysława Andersa. Polski rząd postanowił ustanowić Lustgartena swoim delegatem, któremu powierzono opiekę nad Polakami na Syberii. Otrzymał paszport dyplomatyczny. Dlatego wraz z armią Andersa nie opuścił Związku Sowieckiego.

W 1943 roku Niemcy odkryli masowe groby w Katyniu. Polski rząd wystąpił o zbadanie sprawy przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Sprawcy zbrodni nie mogli do tego dopuścić i Związek Sowiecki znienacka i z niesłychanie bezczelnym uzasadnieniem zerwał stosunki dyplomatyczne z polskim rządem.

Józef Lustgarten, który nadal wypełniał swą misję w Sowietach, został ponownie aresztowany. Tym razem został skazany za antysowiecką propagandę na 10 lat łagru. Zesłano go do Workucko-Peczorskiego Poprawczego Obozu Pracy. Po odbyciu wyroku musiał zostać tam jeszcze dwa lata w ramach tzw. osiedlenia.

▶ Jak Cyrankiewicz nie pomógł ziomkowi z Cracovii

Tymczasem jego żonie udało się powrócić do Polski w ramach repatriacji. Podjęła interwencję u premiera Józefa Cyrankiewicza, który chodził na mecze Cracovii i deklarował się jako jej zagorzały kibic. Interwencja nie przyniosła jednak żadnego rezultatu.

Uwolniony został dopiero w 1956 roku. Gdy dotarł do Moskwy, po 17 latach dodzwonił się do żony, a ta zadała mu pytanie: „Józek, jak żyjesz?". I usłyszała dyplomatyczną odpowiedź, która nie mogła wzbudzić zastrzeżeń podsłuchujących rozmowę bezpieczniaków: „Byłem właśnie na meczu Dynama. Grali doskonale". Zrozumiała, że łagry nie złamały jej męża.

Prawdy o swoich losach nie mógł oficjalnie opowiadać. Dla dobiegającego siedemdziesiątki legendarnego sportowca szukano funkcji honorowych, został m.in. honorowym członkiem PZPN, a także drugim w historii Cracovii jej honorowym prezesem. Zmarł 21 września 1973 roku. „Powrócił do kraju po latach spędzonych na obczyźnie" – tak pisano o jego losach w poświęconych mu publikacjach z czasów PRL. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

FASON TRZEBA TRZYMAĆ DO KOŃCA

Dariusz Jarosiński

70 lat temu, 4 kwietnia 1949 roku, został zamordowany przez komunistów płk prof. Wacław Lipiński, żołnierz legionista, piłsudczyk, historyk, działacz antykomunistyczny. To o nim wkrótce po jego śmierci pisał Józef Mackiewicz w emigracyjnym tygodniku „Lwów i Wilno" wydawanym w latach 1946–1950 w Londynie: „W moim głębokim przekonaniu, Wacław Lipiński winien przejść do historii polskiej jako bohater narodowy".

1. Legionista Wacław Lipiński
2. Pułkownik prof. Wacław Lipiński na sali rozpraw – pierwszy z prawej strony, grudzień 1947 r.
3. Major dr Wacław Lipiński, dyrektor Instytutu im. Józefa Piłsudskiego, 1937 r.

eprasa.pl 77bibfce1f

1

3

fot. Arch.

Jego postawa na procesie była unikatem za żelazną kurtyną. Nikt, ani w Jugosławii, ani w Bułgarii, na Węgrzech, w Rumunii, Czechach, państwach bałtyckich, ani w Moskwie, ani... w Polsce nie zdobył się na taką postawę. Jeden tylko płk Lipiński. Ten fakt wystarczy na wyniesienie go na cokół historycznego pomnika. Dziś, sądząc po patriotycznej stali, z jakiej był zbudowany ten człowiek, jakże żałować należy, że nie uszedł, że nie zachował się, że nie mógł być pożyteczny na emigracji, jego walka, jego ostatnie pole działania, to nie było właściwie żadne pole, to było trzęsawisko po pas, krępujące ruchy prowokacje, zdrady, oszczerstwa, podłości, poprzez które usiłował przerzucić kładkę wolnej myśli ku wolnej Polsce. Wysiłek absolutnie nadludzki. [...] Nie mógłbym nazwać Lipińskiego prorokiem, po prostu widział jasno rzeczy oczywiste dla ludzi, którzy nie chcieli być ślepymi" – pisał Mackiewicz o płk. Lipińskim („Lwów i Wilno" 1949 nr 116).

Z kolei płk Wacław Jędrzejewicz, rówieśnik Lipińskiego, podobnie jak on żołnierz legionista, piłsudczyk, tak się wypowiadał o jego losie: „Walczył z carską Rosją w Legionach, walczył z Rosją komunistyczną w wojnie 1919–20 r., walczył z Niemcami w 1939 r. – a zabili go Polacy. Jeden z dramatów życia mojego pokolenia".

Zbudowany ze szlachetnego kruszcu

Na podstawie popularnych publikacji historycznych można odnieść wrażenie, że w powstaniu antykomunistycznym w Polsce po 1944 roku brały udział jedynie oddziały leśne walczące zbrojnie z sowieckim okupantem, a przecież ważną rolę odgrywała też konspiracja polityczna. Owszem, wiemy o działalności Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego – dużych organizacji o zasięgu ogólnokrajowym, lecz funkcjonowały też inne – niewielkie, acz bardzo aktywne, zaangażowane w niepodległościowym podziemiu antykomunistycznym. Do nich należały m.in. dwie organizacje piłsudczykowskie. Na czele jednej, Stronnictwa Niezawisłości Narodowej, stał wspomniany płk Wacław Lipiński „Socha", „Aleksander", a na czele drugiej, Polskiego Stronnictwa Demokratycznego, Henryk Józewski „Niemirycz", „Olgierd". Józewski, przed wojną piastujący m.in. stanowisko ministra spraw wewnętrznych, wojewody wołyńskiego, łódzkiego, był jednym z najdłużej ukrywających się działaczy powstania antykomunistycznego. Aresztowany został dopiero w 1953 roku.

Orężem walki płk. Wacława Lipińskiego było słowo pisane – podziemna prasa, publicystyka. Uświadamiał politykom polskim, społeczeństwu, jak wielkie zagrożenie dla polskości, tożsamości niosła bolszewia, wzywał do bojkotu referendum, wyborów organizowanych przez komunistów, ujawniał zbrodnie bolszewików,

ebrasa.pl 77bfbfce1f

wzywał do oporu przeciwko czerwonemu okupantowi, informował zachodnie instytucje o sytuacji w Polsce.

Pułkownik Wacław Lipiński był człowiekiem o wielkich walorach moralnych i umysłowych. Zbudowanym z takiego kruszcu, który dzisiaj jest wielką rzadkością. Był jedną z najbarwniejszych i najciekawszych postaci naszej najnowszej historii, o twardym, niezłomnym charakterze. Czym jest charakter człowieka, pisał ppłk Łukasz Ciepliński „Pług" w jednym z grypsów więziennych do swego synka: „Pamiętaj, że o wartości człowieka stanowi w pierwszym rzędzie jego charakter. Musisz go szkolić drogą różnych wyrzeczeń. Silna wola, pracowitość, odwaga, inicjatywa, prawdomówność, godność osobista, narodowa i ludzka – oto elementy, na które zwrócić musisz specjalną uwagę. Bez silnego charakteru nie osiągniesz żadnego celu. W połowie drogi połamią Cię przeciwności".

Virtuti Militari za Kostiuchnówkę

Wacław Lipiński urodził się w 1896 roku w Łodzi. Już jako uczeń gimnazjum przystąpił do konspiracji niepodległościowej – w 1911 roku współtworzył organizację łódzkiego tajnego skautingu w oparciu na ideach Roberta Baden-Powella, zaszczepione na polski grunt przez Andrzeja Małkowskiego we Lwowie w 1910 roku. Odbył też edukację w szkole podoficerskiej Polskich Drużyn Strzeleckich. W październiku 1914 roku wstąpił do I Brygady Legionów zorganizowanej przez Józefa Piłsudskiego. Miał wówczas 18 lat. Wacław Lipiński i jego łódzcy koledzy skauci, chłopcy niezwykle ideowi, bardzo dobrze radzili sobie w trudnej, wymagającej dużej odporności fizycznej i psychicznej służbie wojskowej.

Z legionistami I Brygady przeszedł cały szlak bojowy, toczył walki pod Łowczówkiem, Konarami. Za odwagę wykazaną w bitwie pod Kostiuchnówką, kiedy uratował wraz z kolegami rannego dowódcę pułku płk. Leona Berbeckiego, otrzymał Krzyż Virtuti Militari V klasy. W lipcu 1917 roku uniknął internowania w Szczypiornie po tzw. kryzysie przysięgowym, kiedy legioniści I i III Brygady odmówili złożenia przysięgi władzom niemieckim. W tym czasie Wacław Lipiński wyjechał do Krakowa. Tam zdał maturę i zapisał się na studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Łączył naukę z działalnością niepodległościową – objął funkcję sekretarza Ligi Niezawisłości Polski i członka komendy głównej Polskiej Organizacji Wojskowej. W listopadzie 1918 roku wziął udział w obronie Lwowa, dowodząc plutonem. Swoje wspomnienia z obrony Lwowa spisał w książce „Wśród lwowskich orląt". Pod koniec 1919 roku por. Lipiński został skierowany do pracy sztabowej – dowództwo dostrzegło jego zdolności analityczne, intelektualne. W czasie wojny polsko-bolszewickiej pełnił funkcję referenta prasy i propagandy dowództwa frontu litewsko-białoruskiego. W 1930 roku Lipiński wydał książkę wspomnieniową poświęconą temu okresowi, czasom wojny polsko-bolszewickiej, pt. „Od Wilna po Dynaburg".

Dzielna postawa Wacława Lipińskiego legionisty, obrońcy Lwowa, walczącego z bolszewikami została doceniona przez dowódców, otrzymał wspomniany już Krzyż Virtuti Militari V klasy, czterokrotnie Krzyż Walecznych, Krzyż Niepodległości.

Dyrektor Instytutu im. Piłsudskiego

W 1921 roku ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, a rok później otrzymał dyplom doktorski. Powierzono mu kierowanie kursami oświatowymi dowództwa Okręgu Generalnego Kraków, wykładał w Wojskowej Szkole Administracji, pełnił też funkcję komendanta okręgowego Związku Strzeleckiego. Od 1934 roku pracował w Instytucie Badania Najnowszej Historii Polski, przemianowanego dwa lata później na Instytut im. Józefa Piłsudskiego. Został jego dyrektorem. To było wielkie wyróżnienie. Stanowisko to mogła dostać jedynie osoba zasłużona, wyróżniająca się zasługami w walce na rzecz niepodległości Polski, posiadająca ponadto dorobek naukowy, intelektualny.

Wacław Lipiński, co ważne, choć był piłsudczykiem, notabene Józef Mackiewicz określił go nawet „zakamieniałym" piłsudczykiem, nie był hagiografem, a rzetelnym historykiem. Na dowód tego warto przytoczyć wypowiedź prof. Jerzego Maronia z Uniwersytetu Wrocławskiego, znawcy tematu, który mówił o początkach wojska polskiego Niepodległej II Rzeczypospolitej: „Najbardziej znamienną pracę na ten temat napisał Wacław Lipiński »Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905–1918«. Wskazuje w niej jako początek walki – nie wojska – rewolucję 1905 r. Zadeklarowany, wierny piłsudczyk w sposób godny pozazdroszczenia obiektywnie przedstawia wszystkie drogi, które wiodły ku niepodległości – oczywiście, przed wybuchem I wojny światowej – koncentruje się na ruchu strzeleckim, zaznaczając różne nurty w tym ruchu. To znaczy te związane ze Związkiem Walki Czynnej, ze strzelcami zarówno krakowskimi, jak i lwowskimi, ale również z Armią Polską czy potem z osobą wspólnego komendanta, Józefa Piłsudskiego. Poświęca też sporo miejsca drużynom sokolim. Wacław Lipiński zaimponował mi tym, że mimo zaangażowania politycznego i przywiązania do Marszałka Polski pokazał różne kręgi. Nie wchodził w politykę" („Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" nr 8–9 2011).

Instytut im. Józefa Piłsudskiego wydawał pamiętniki, monografie naukowe, wydawnictwa źródłowe związane z najnowszą historią Polski. Największym osiągnięciem edytorskim Instytutu było wydanie dziesięciu tomów „Pism zbiorowych Piłsudskiego". Wacław

eprasa.pl 77bfbfce1f

Lipiński starał się skupić wokół siebie i wokół Instytutu jak najlepszych historyków, z którymi realizował prace badawcze. Jemu zawdzięczamy zgromadzenie bogatego archiwum dokumentów, pamiątek z pierwszych lat odzyskania przez Polskę niepodległości. Archiwum tego strzegł po wybuchu wojny jak oka w głowie.

W 1937 roku Wacław Lipiński uzyskał habilitację i docenturę na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. W styczniu 1939 roku został przeniesiony w stan spoczynku, czyli na emeryturę i awansowany do stopnia podpułkownika.

▶ Honor jest tylko jeden

Wacław Lipiński po wybuchu wojny pozostał w Warszawie. Uznał za swój moralny obowiązek być z mieszkańcami stolicy. 7 września objął funkcję szefa propagandy w Dowództwie Obrony Warszawy i stał się najbliższym współpracownikiem prezydenta Stefana Starzyńskiego. Starzyński, podobnie jak Lipiński, był piłsudczykiem, legionistą.

Ważnym literackim świadectwem tamtych wrześniowych zmagań mieszkańców Warszawy z niemieckim najeźdźcą jest wspomnieniowa książka Ferdynanda Goetla „Czasy wojny". Goetel, przed wojną prezes polskiego PEN Clubu, Związku Zawodowego Literatów Polskich, jeden z najbardziej poczytnych polskich pisarzy, we wrześniu 1939 roku współpracował z Dowództwem Obrony Warszawy, z mjr. Stefanem Starzyńskim i płk. Wacławem Lipińskim. Pełnił funkcję kierownika sekcji propagandy Obywatelskiego Komitetu Pomocy Ludności Warszawy. Przygotowywał m.in. przemówienia radiowe Stefanowi Starzyńskiemu. Wystąpienia radiowe miał też płk Lipiński. Warszawiacy żyli od jednej audycji radiowej do drugiej, od wystąpienia Stefana Starzyńskiego do wystąpienia Wacława Lipińskiego.

Lipiński był człowiekiem obytym z mikrofonem. Znali go już radiosłuchacze, bo przed wojną relacjonował w studio Polskiego Radia ważne uroczystości państwowe, wojskowe, m.in. pogrzeb Marszałka Józefa Piłsudskiego w 1935 roku. Codziennie zasiadał przed mikrofonem warszawskiego studia radiowego i przekazywał informacje o tym, co się działo na froncie. Mówił spokojnym, ciepłym głosem, starał się tonować nerwowe nastroje warszawiaków, co nie znaczy, że lukrował rzeczywistość – mówił prawdę. Jego komunikaty nie były tylko suchymi wiadomościami, a niektóre z nich miały charakter felietonów. Największą ich zaletą była wiarygodność samego autora. Dużo czasu spędzał na warszawskich ulicach, reagował na niepokojące zachowania mieszkańców. Jako doświadczony oficer Wojska Polskiego pouczał, na przykład, jak należy zachować się w czasie nalotów, gdzie skryć się w czasie ataku artyleryjskiego.

17 września 1939 roku zapisał się w polskiej historii jako dzień tragiczny. Od rana jęzory ognia trawiły Zamek Królewski w Warszawie trafiony niemieckimi bombami. „Zamek, potrzaskany granatami, z zawalonym miedzianym dachem, palił się okropnym, czarnym słupem dymu, bijącym w niebo, jak sama rozpacz" – odnotował w swym wrześniowym dzienniku płk Wacław Lipiński. Radio przekazało wiadomość o przekroczeniu przez bolszewików polskiej granicy i zajmowaniu wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Późnym popołudniem, o godzinie 18.20, gen. Juliusz Rómmel nakazał płk. Lipińskiemu wysłać przez radio do Wacława Grzybowskiego, ambasadora RP w Moskwie, depeszę następującej treści: „Nakazałem wojska sowieckie wkraczające w granice Polski traktować jako wojska sprzymierzone". W dopisku znalazło się zdanie: „Prosimy wszystkich, którzy tę wiadomość usłyszą, zakomunikować ją najbliższej władzy wojskowej polskiej". Pułkownik Lipiński kategorycznie odmówił wykonania polecenia gen. Rómmla. Rómmel podawał się za dowódcę obrony Warszawy, mimo że faktycznie obowiązki te pełnił gen. Walerian Czuma. Rómmel okazał się renegatem, szukającym możliwości współpracy z bolszewikami, podjął nawet próbę utworzenia prosowieckiego rządu polskiego. Profesor Jerzy Łojek w znakomitej książce „Agresja 17 września 1939. Studium aspektów politycznych", która ukazała się w drugim obiegu w 1979 roku, pisał: „Juliusz Rómmel dopuścił się ogromnego występku przeciwko swoim obowiązkom żołnierza i obywatela RP, zasługując na stanięcie przed sądem wojskowym i najsurowszy wymiar kary – do czego niestety nigdy nie doszło".

Oficerom Wojska Polskiego wątpiącym w to, czy Polska powinna walczyć z bolszewikami, płk Lipiński tłumaczył, że „Obowiązkiem jest bić się z każdym wrogiem, który na nas idzie, nie zaś decydować, kto jest sojusznikiem, a kto wrogiem". I dodawał, że „honor to nie kiełbasa, nie jest podzielny, honor jest tylko jeden!". Wraz ze Stefanem Starzyńskim, Mieczysławem Niedziałkowskim, gen. Michałem Tokarzewskim-Karaszewiczem był założycielem podziemnej organizacji prowadzącej walkę z okupantami. Wacław Lipiński cały czas dbał też o zbiory Instytutu im. Piłsudskiego, czując się za nie odpowiedzialnym, przenosząc je do Muzeum Belwederskiego.

22 września pułkownik po raz ostatni zwrócił się do mieszkańców stolicy drogą radiową. Ani na chwilę nie poddawał się pesymistycznym nastrojom. Dodawał otuchy warszawiakom, mówiąc m.in.: „Musimy tę walkę prowadzić [...]. Na pewno zwycięstwo będzie po naszej stronie!". 29 września 1939 roku, po kapitulacji stolicy, w „Kurierze Warszawskim" ukazał się tekst: „Warszawa umie być wdzięczna i nigdy nie zapomni tego, co dla niej zrobił jej prezydent – budowniczy i prezydent

eprasa.pl 77bfbfce1f

– obrońca, major Stefan Starzyński. Nie zapomni także o pułkowniku Wacławie Lipińskim, który przez prawie trzy tygodnie pobudzał nas do walki i ofiarności". Notabene do dzisiaj nie ma w Warszawie ulicy imienia Wacława Lipińskiego.

Generał Sikorski kontra piłsudczycy

27 października został aresztowany przez Niemców prezydent Stefan Starzyński. Pod koniec listopada Wacław Lipiński zagrożony aresztowaniem przez gestapo, opuścił Warszawę i wyjechał do Zakopanego, a stamtąd przedostał się w marcu 1940 roku na nartach na Słowację. Ze Słowacji dotarł na Węgry do Budapesztu, skąd zamierzał wyjechać do Francji, by wstąpić do polskiej armii. Jednak jego wyjazd został zablokowany – stał się w Budapeszcie więźniem gen. Władysława Sikorskiego, który utworzył rząd RP na emigracji we Francji. Zresztą nie tylko Lipiński, a niemal wszyscy piłsudczycy zostali odsunięci przez gen. Sikorskiego na margines życia politycznego, publicznego, uznani za winnych klęski we wrześniu 1939 roku. Mało tego, ludzie związani z sanacją, często niezwykle wartościowi oficerowie Wojska Polskiego, politycy, traktowani byli jak zadżumieni i zwalczani. Rozgoryczony płk Lipiński pisał w liście do gen. Stefana Roweckiego „Grota": „Jakim prawem Sikorski nas, którzyśmy się bili, odsuwa od pracy dla kraju, jakim prawem moralnie nas chce zniszczyć i traktować jak zbrodniarzy, którzy nie mają prawa walczyć o Polskę".

Generał Sikorski był niezwykle ambitnym oficerem, który rywalizował z marszałkiem Józefem Piłsudskim o prymat nad Wojskiem Polskim; po kolejnym sporze, tym razem o organizację najwyższych władz wojskowych, w marcu 1928 roku został pozbawiony dowództwa Okręgu Korpusu we Lwowie i przez 11 lat formalnie pozostawał w służbie czynnej, ale bez żadnego przydziału. Pozbawiony stanowisk w państwie przeszedł do opozycji sanacji. 30 września 1939 roku mianowany został przez prezydenta Władysława Raczkiewicza nowym premierem rządu Rzeczypospolitej we Francji, jednocześnie pełnił też funkcję ministra spraw wojskowych. Jak słusznie zauważył historyk Tadeusz Płużański: „Nowa ekipa rządowa, w emigracyjnych warunkach, rozpoczynała rozprawę z sanacją. To nie wyjazd marszałka [chodzi oczywiście o marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego – przyp. D.J.] z Polski był zdradą, ale przejęcie władzy przez gen. Sikorskiego w niemałym stopniu nosiło znamiona zamachu stanu. Sikorski zdecydował się tworzyć rząd w momencie, kiedy legalne władze cały czas istniały".

Sikorski mimo że był zwierzchnikiem Wojska Polskiego odtwarzanego we Francji, a później w Wielkiej Brytanii, nie dowodził nim w polu – walczące jednostki znajdowały się pod operacyjnym dowództwem alianckim. Jako premier stojący na czele państwa polskiego, państwa okupowanego przez Niemców i Sowietów, zdał się na łaskę i niełaskę sojuszników. Jak się okazało po czasie, rzadko interesy państw sojuszniczych i Polski były zbieżne, przede wszystkim w relacjach z Sowietami. Sikorski zbyt łatwo ulegał naciskom władz francuskich, w związku z czym posądzany jest o bycie agentem francuskich służb specjalnych. Nieufność wobec ludzi sanacji pozbawiła go trzeźwego patrzenia na rzeczywistość. Kiedy winien był w czasie wojny, a więc kiedy ważyły się losy ojczyzny, zastosować zasadę „wszystkie ręce na pokład", on stworzył m.in. obozy odosobnienia dla „niepewnych politycznie" polskich oficerów we Francji i w Szkocji.

W czasie pobytu w Budapeszcie płk Lipiński nawiązał kontakt z piłsudczykami znajdującymi się w podobnej sytuacji jak on, to znaczy pozbawionymi wpływu na rzeczywistość, m.in. z internowanym w Rumunii marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym. We wrześniu 1940 roku pod pseudonimem „Gwido" wydał broszurę pt. „Wojna polsko-niemiecka 1939 roku", rok później ukazało się jej rozszerzone wydanie pt. „Wojna polsko-niemiecka. Kampania wrześniowa w Polsce w 1939 r.". Obie te publikacje spowodowały gorące dyskusje na łamach emigracyjnych pism i krajowej prasy podziemnej na temat przyczyn klęski Polski we wrześniu 1939 roku.

Przeleliśmy zbyt dużo krwi

Latem 1942 roku płk Lipiński wrócił do okupowanego kraju. Przyłączył się do działalności podziemnej grupy piłsudczykowskiej skupionej wokół pisma „Myśl Państwowa", którego wkrótce został redaktorem naczelnym. Objął funkcję kierowniczą w Konwencie Organizacji Niepodległościowych (KON), antykomunistycznym ugrupowaniu, którego liderem był piłsudczyk Zygmunt Hempel. W kolejnych broszurach wydawanych pod pseudonimem „Gwido" – „Polityka zagraniczna Piłsudskiego i Becka" oraz „Bilans czterolecia 1939 –1943" – w sposób przekonujący płk Lipiński dowodził, że Polsce grozi śmiertelne zagrożenie ze strony Sowietów. Starał się wpłynąć na zmianę myślenia polityków o Polsce, zmianę polityki wobec Sowietów. Jego publicystykę wyróżniał silny antykomunizm. Lipiński, jak i inni piłsudczycy, dostrzegał niebezpieczeństwo sowieckie dużo wcześniej niż inne środowiska. Przenikliwość wykazywali też narodowcy.

W „Myśli Państwowej" pisał: „W walce z Niemcami spełniliśmy swój obowiązek rzetelniej niż jakikolwiek inny naród. Przeleliśmy zbyt dużo krwi w tej walce i stosy naszych ofiar wzrosły ponad miarę. Dość! Niech Niemców »dorzynają« inni. Pod koniec wojny nie Niemcy opuszczający Polskę stanowić będą główne za-

eprasa.pl 77bfbfce1f

gadnienie polityczno-wojskowe, lecz przychodzący Rosjanie. Skierowanie energii narodowej i jej siły materialnej przeciw Niemcom, celem ich dobijania wobec zbliżania się nowego, potężnego przeciwnika, byłoby akcją nieodpowiedzialnych głupców albo rosyjskich agentów, szaleństwem politycznym i samobójstwem wojskowym". „[...] natychmiastowa walka z ekspozyturą rosyjską wewnątrz społeczeństwa, celem jej sparaliżowania i uniemożliwienia odegrania tej roli, jaką jej Moskwa wyznacza, staje się pierwszoplanowym zadaniem, które winno być przygotowane i przeprowadzone z całą bezwzględnością".

Pułkownik Lipiński odrzucał współpracę z Niemcami, uważał, że Polacy nie powinni sprzymierzać się z Niemcami w walce z bolszewią, a każde z państw winno oddzielnie prowadzić walkę z Sowietami. Pułkownik odmówił spotkania z Niemcami, m.in. z Alfredem Spilkerem. W lutym 1944 roku Lipiński został aresztowany przez gestapo – być może była to reakcja Niemców na niesubordynację pułkownika. Przesłuchania Lipińskiego, prowadzone przede wszystkim przez wspomnianego Alfreda Spilkera, miały charakter rozmów politycznych. Niemcy szukali sprzymierzeńców w środowiskach polskiego podziemia antykomunistycznego do walki z Sowietami. Niemcy znaleźli przy pułkowniku memoriał Konwentu Organizacji Niepodległościowych do delegata rządu na kraj Jana Stanisława Jankowskiego i komendanta Armii Krajowej gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora". KON był przeciwny walce AK z wycofującymi się oddziałami niemieckimi. Znalezione przy Lipińskim dokumenty mogły też przyczynić się do tego, że został dobrze potraktowany przez gestapo.

▶ Spotkanie z Józefem Mackiewiczem

Zwolnienie Lipińskiego z więzienia w maju 1944 roku wywołało podejrzenia w podziemiu, oskarżano go o pójście na współpracę z Niemcami. Oczywiście były to bezpodstawne zarzuty. „Zostałem zwolniony dlatego, że koncepcja Konwentu reprezentowana przeze mnie była zgodna z interesem niemieckim, czemu absolutnie nie zamierzam przeczyć" – tłumaczył Lipiński po jakimś czasie. Fakt wypuszczenia na wolność Lipińskiego przez Niemców tak tłumaczył Józef Mackiewicz: „Spilker rozumiał oczywiście, że w 44-tym, gdy Niemcy waliły się w przepaść, trzymanie w więzieniu, albo zgoła rozstrzelanie takiego wybitnego antybolszewika, jak Lipiński, jest czystym absurdem. Ponieważ prowadził jego sprawę, kazał go wypuścić. Oto – wszystko" („Spotkanie z Lipińskim", „Nudis Verbis", „Dzieła", t.16).

Jako zdekonspirowany pułkownik odsunął się od działalności w podziemiu. Przez jakiś czas mieszkał na wsi pod Grodziskiem Mazowieckim, a później wyjechał do Krakowa. Napisał wtedy list do prezydenta Władysława Raczkiewicza, w którym ostro skrytykował politykę Polskiego Państwa Podziemnego. „Jeszcze w maju 1944 r. Mackiewicz spotkał się trzykrotnie w Warszawie (w »półangielskiej« willi na Mokotwie) z płk. dr. Wacławem Lipińskim (oraz z dwiema osobami z jego kręgu)" – pisał prof. Włodzimierz Bolecki w biograficznej książce „Ptasznik z Wilna. O Józefie Mackiewiczu". „W małym gronie omawiano konieczność wydania białej księgi dokumentów dotyczących sowieckiej okupacji wschodnich terenów II Rzeczypospolitej w latach 1939/1941. Mackiewicz zapoznał ich z dokumentami zgromadzonymi przez Litwinów, które przywiózł z Litwy, a sam zobowiązał się opracować dokumenty dotyczące Wilna. Na drugim posiedzeniu wręczył Lipińskiemu maszynopis swej książki poświęconej sowieckiej okupacji Litwy. Lipiński po przeczytaniu oświadczył, że »książka jest doskonała« i zgodził się z tezą Mackiewicza o »inności psychicznego aspektu okupacji sowieckiej w zestawieniu z okupacją niemiecką«. Po raz kolejny – i ostatni – Mackiewicz spotkał się z Lipińskim w Krakowie (na ul. Floriańskiej, obok hotelu »Pod Różą«), w grudniu 1944 r., Lipiński zgodził się wówczas na zamieszczenie w piśmie wydawanym przez Mackiewicza pt. »Alarm« cytatów ze swoich broszur" (Włodzimierz Bolecki, „Ptasznik z Wilna. O Józefie Mackiewiczu", ARCANA, Kraków 2007).

Grupa przyjaciół pułkownika na Zachodzie, m.in. Henryk Floyar-Rajchman, Ignacy Matuszewski, Wacław Jędrzejewicz w Nowym Jorku, Aleksander Bobkowski w Genewie, próbowała nakłonić go do wyjazdu z Polski za granicę. W Szwajcarii miał otrzymać stanowisko naukowe i pisarskie. W każdym z listów do przyjaciół Lipiński znajdował coraz nowsze powody niepozwalające na wyjazd z kraju. W liście do Aleksandra Bobkowskiego (stryja Andrzeja Bobkowskiego, pisarza) pisał: „Nie mogę wyjechać z następujących powodów: reprezentuję grupę ludzi zebranych przy okrągłym stole, bez porozumienia z którymi nie mogę wyjechać nie otrzymawszy od nich wszystkiego co jest ich poglądem na sytuację oraz co wyraża ich potrzeby. Kieruję grupą ludzi, których też nie mogę pozostawić na lodzie nie uregulowawszy spraw, które wynikną z racji mego wyjazdu". 6 stycznia 1947 roku wysłał ostatni list do Aleksandra Bobkowskiego, w którym tłumaczył, że nie może opuścić Polski: „To tak, jakbym 3 lipca 1916 roku, na dzień przed Kostiuchnówką, wyjechał w pilnych sprawach do Kowla. Fason trzeba trzymać do końca".

▶ Różański-Goldberg: u nas masz czapę

Wacław Lipiński doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że aby walka z Sowietami była skuteczna, aby pokonać bolszewików, należało zjednoczyć wszystkie

eprasa.pl 77bfbfce1f

ugrupowania podziemia niepodległościowego wokół tego celu. Pod koniec czerwca 1945 roku Lipiński spotkał się z Kazimierzem Moczarskim, obecnie znanym autorem „Rozmów z Katem", a wówczas szefem BIP Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Pułkownik przedstawił mu projekt utworzenia, jak to wówczas nazwał, Centralnego Komitetu Narodowego. Projekt jednak został odrzucony przez Jana Rzepeckiego i DSZ.

Lipiński nie był zwolennikiem ujawniania się przed Sowietami, jego zdaniem partie takie jak PSL czy Stronnictwo Pracy, prowadzące jawną działalność polityczną, rezygnowały z dalszej walki o niepodległość Polski. Pułkownik przeciwny był też akcji „Burza", w czasie której oddziały AK ujawniały się przed bolszewikami.

Jak pisał biograf pułkownika, prof. Marek Gałęzowski: „Jesienią 1945 r. Wacław Lipiński podjął bliską współpracę z Włodzimierzem Marszewskim, poznanym latem tego roku, członkiem Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego. W marcu 1946 r., w porozumieniu ze Zrzeszeniem Wolność i Niezawisłość, doszło do powołania porozumienia organizacji podziemnych, które we wrześniu tego roku nazwano Komitetem Porozumiewawczym Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej. Lipiński był autorem pierwszej wersji Memoriału do Rady Bezpieczeństwa ONZ (rozszerzonego później o poprawki innych działaczy podziemia), w którym wykazał całkowite uzależnienie Polski od ZSRS, informował zachodnią opinię publiczną o łamaniu umów międzynarodowych przez TRJN, domagał się interwencji dyplomatycznej i międzynarodowej kontroli wyborów do Sejmu oraz umożliwienia startu w nich wszystkim siłom politycznym w kraju. W marcu 1946 r. powołał Stronnictwo Niezawisłości Narodowej, które jako organizację piłsudczykowską reprezentował w Komitecie, wydawał pismo konspiracyjne »Głos Opozycji«. Zdecydowanie opowiadał się za kontynuowaniem walki o niepodległość niezależnie od rozwoju sytuacji międzynarodowej, nawet w wypadku włączenia Polski do ZSRS".

7 stycznia 1947 roku Wacław Lipiński został aresztowany przez UB. W fajce pułkownika ubecy znaleźli list do Stanisława Mikołajczyka, lidera PSL, w którym wzywał go do podjęcia decyzji bojkotu wyborów. Ksiądz Józef Zator-Przytocki, współwięzień pułkownika, opowiadał m.in.: „Płk Lipiński trzymał się podczas śledztwa wspaniale, Różańskiemu zawsze radził, by pakował swoje rzeczy, bo w ostatniej chwili nie zdoła uciec". Proces Lipińskiego i innych członków KPODPP oraz III ZG WiN odbył się w grudniu 1947 roku. Lipiński z odwagą i godnością bronił swoich racji. Oskarżycielem na procesie był Stanisław Zarako-Zarakowski. Na proces płk. Lipińskiego został dowieziony z więzienia wspomniany Kazimierz Moczarski – wystąpił tu w haniebnej roli świadka oskarżenia. W zeznaniach zarzucił pułkownikowi „dogadanie się" z Niemcami. Mówił też, że „stawiano pod znakiem zapytania lojalność Lipińskiego wobec Polski podziemnej". Moczarski w roli świadka oskarżenia wystąpił też na procesie ostatniego komendanta NSZ Stanisława Kasznicy.

6 STYCZNIA 1947 ROKU TŁUMACZYŁ, DLACZEGO NIE MOŻE OPUŚCIĆ POLSKI: „TO TAK, JAKBYM 3 LIPCA 1916 ROKU, NA DZIEŃ PRZED KOSTIUCHNÓWKĄ, WYJECHAŁ W PILNYCH SPRAWACH DO KOWLA. FASON TRZEBA TRZYMAĆ DO KOŃCA".

27 grudnia Wacław Lipiński został skazany na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie. Przebywał w więzieniu mokotowskim, a później we Wronkach. Do Wronek przyjechał Józef Różański (właściwie Goldberg), oficer NKWD i MBP, i w rozmowie z Lipińskim miał powiedzieć: „chociaż Bierut darował ci życie, to u nas masz czapę".

Po prawie dwuletnim pobycie w więzieniu, 4 kwietnia 1949 roku, płk Wacław Lipiński został zamordowany przez komunistów. Użyli do tego najprawdopodobniej jakiegoś niemieckiego więźnia, który pozostawał na usługach UB. Istniały dwie oficjalne wersje śmierci pułkownika. Pierwsza, że popełnił samobójstwo, a druga, że zmarł na serce. Pułkownik Lipiński był w dobrej kondycji psychicznej, nie chorował też na serce. Choć komuniści go zabili, to jednak nigdy nie udało im się go złamać. „Fason trzeba trzymać do końca" – jak pisał w liście do przyjaciela. I trzymał go do końca. ■

_____

Przy pisaniu tekstu korzystałem z książki Marka Gałęzowskiego, „Wzór piłsudczyka. Wacław Lipiński 1896–1949. Żołnierz, historyk, działacz polityczny", Neriton, Warszawa 2001.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Małgorzata Matuszak

Czym jest... gotycka katedra

Ze względu na tytuł i funkcję, katedra to główny kościół diecezji – kościół biskupa diecezjalnego, w którym znajduje się jego tron. Od tego tronu, ozdobnego siedziska umieszczonego na podwyższeniu, symbolu pozycji biskupa, który zasiadał na nim podczas odprawiania nabożeństw, pochodzi też nazwa „katedra", w języku greckim („kathedra") oznaczająca właśnie „krzesło, fotel". Z czasem nazwa tronu tego, kto zwraca się do wiernych i kto naucza, zaczęła oznaczać miejsce, gdzie się to się odbywa – kościół biskupa, katedrę. Termin ten rozpowszechnił się w X wieku, wcześniej względem kościoła biskupiego stosowano określenia „ecclesia matrix" i „ecclesia mater".

W gotyckiej katedrze nie naucza jednak jedynie biskup. Naucza ona sama, całą sobą, stając się „biblią pauperum" – „Biblią (dla) ubogich", dla ludzi prostych i nieumiejących czytać. Każdy element katedry, każdy w zasadzie jej detal, niesie ze sobą biblijną treść i ma wzbudzać religijną refleksję. Jest symboliczny. Gotyckie katedry stanowią summę całej kultury średniowiecznej, prawdziwą „liber et pictura", „księgę i obraz", zbudowaną wedle reguł umożliwiających jej odczytanie. Są encyklopedią scholastyki, wyrazem świata summ teologicznych, w którym wszystko miało swoje miejsce i było włączone w boski porządek.

Ideał piękna zawsze prawie sprowadzał się do trzech pojęć: doskonałości, proporcji i blasku. I taka właśnie jest gotycka katedra: w swej „świętej geometrii" wyraża średniowieczną myśl o Bogu-Architekcie, zbudowana jest zaś tak, by umożliwić światłu przeniknięcie całej konstrukcji, przesycić ją jasnością tak, jak Bóg spaja swym blaskiem wszystkie byty widzialne i niewidzialne. Światłość to dający bezpieczeństwo znak Boga będącego Światłem Świata, a najwspanialszą i najdoskonalszą realizacją tego przesłania są witraże, odzwierciedlające duchową iluminację, której doświadcza dusza ludzka poruszona Słowem Bożym zawartym w Biblii.

Przesłanie, jakie niesie w sobie katedra, można streścić jednym biblijnym stwierdzeniem: „Oto jest dom Boży i brama do nieba" (Rdz 28,17). Tym bowiem jest w swym zamyśle gotycka katedra – Niebiańskim Jeruzalem, miastem Boga wypełnionym odniesieniami do kosmosu i człowieka. Połączeniem nieba, którego symbolem jest koło, i ziemi, symbolizowanej przez kwadrat. Przechodząc przez drzwi katedry, zamykamy za sobą świat profanum i wkraczamy w porządek sacrum, w którym metafizyczne znaczenie ma wszystko to, co dostrzegamy ludzkim okiem. Oś nawy, wiodąca od drzwi do ołtarza, to płaski rzut osi wertykalnej – od posadzki do sklepienia, od ziemi do nieba – stanowiący wyobrażenie drogi do zbawienia. Wschodnia część katedry opowiadała o przeszłości, zachodnia zaś o przyszłości, czyli końcu świata. Wschód i południe oznaczały ponadto Chrystusa, Słońce sprawiedliwości, Ducha Świętego i żar wiary, a zachód i północ Antychrysta, królestwo szatana, ciemności i złych ludzi. Sam plan tej monumentalnej budowli jest wymowny, stanowi bowiem odniesienie do ciała Chrystusa rozpiętego na krzyżu i samego Chrystusowego krzyża. Sercem świątyni jest ołtarz, który poprzez rytuał konsekracji staje się centrum świata i sytuuje się na osi ziemia–niebo. Tu objawia się sam Zbawiciel.

Przesłanie, jakie niesie w sobie katedra, można streścić jednym biblijnym stwierdzeniem: „Oto jest dom Boży i brama do nieba".

To tylko kilka przykładów na to, w jaki sposób w tym miejscu to, co widzialne, odsyła nas do niewidzialnego. Kieruje nas ku Niebu. Katedra gotycka to wyjątkowe miejsce dialogu Boga i człowieka. W dzisiejszych zlaicyzowanych czasach siła teologicznych symboli zatrważająco słabnie. Katedry stają się dziś raczej turystycznymi atrakcjami, które bardziej zachwycają nas porządkiem i harmonią, bogactwem architektonicznych rozwiązań, aniżeli świątynią. Tracą swój podstawowy, religijny, katolicki wymiar. Zapominamy, iż jest to, jak pisał Julian Przyboś o paryskiej Katedrze Notre Dame, „z miliona złożonych do modlitwy palców wzlatująca przestrzeń". Że katedra to przede wszystkim świadectwo wiary. Że to nasze duchowe, kulturowe dziedzictwo. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Magdalena Złotnicka
dziennikarka TVP3 Warszawa

Perskie książątko w tweedowej marynarce

prasa.pl 77bfbfce1f

W czasach gdy Paweł Hertz pisywał w „Kuźnicy", polemizował z nim piszący dla „Tygodnika Powszechnego" Stefan Kisielewski. Któregoś razu Kisiel stwierdził, że nie może z Hertzem dyskutować, bo nie ma wolności wypowiedzi. Na to Hertz wystosował do Kisiela prywatny list, że przecież Kisiel nie powie, że jest cenzura. Publicysta „Tygodnika" odpisał, wysyłając wycinki tejże cenzury. Wówczas Hertz honorowo rozstał się z „Kuźnicą".

fot. NAC

Kuźnica", dodajmy gwoli wyjaśnienia, było to czasopismo sprzyjające władzy ludowej, a znaczna część autorów albo miała poglądy marksizujące, albo udawała, że takie ma. Honorowe rozstanie się Hertza z „Kuźnicą" opisał sam Kisiel w „Abecadle". Opowieść dość dobrze ilustruje podejście Hertza do PRL-u, z którym usiłował jakoś żyć, zarazem jednak nie bojąc się zachować odpowiednio, gdy wymagała tego sytuacja. Zresztą może trudno mówić o zachowywaniu się, bo postawa Hertza ewoluowała przez cały czas trwania Polski Ludowej. Po kolei jednak, bo Paweł Hertz był człowiekiem trzech epok. Urodzony 29 października 1918 roku, a więc niedługo przed odzyskaniem przez nasz kraj niepodległości, oglądał formowanie się Polski po 123 latach zaborów, osadzanie się władzy ludowej po II wojnie światowej, doświadczył różnych lat PRL-u i wreszcie – na własne oczy widział przemiany, które stanowiły podwaliny III Rzeczypospolitej.

Na świat przyszedł w stolicy, w rodzinie polskich czy wręcz w tym wypadku spolonizowanych Żydów. Jak wspominał w rozmowie z Barbarą Łopieńską („Sposób życia. Z Pawłem Hertzem rozmawia Barbara Łopieńska", PIW 1997), zarówno ojciec Michał Hertz, jak i matka Paulina z domu Turower byli dobrze wykształceni, choć w przypadku ojca przyswajanie wiedzy nie obyło się bez komplikacji. Ze stołecznych placówek oświatowych został wydalony w związku ze strajkiem szkolnym w roku 1905, egzamin maturalny zdawał w Petersburgu. Chemię studiował już w Niemczech oraz Paryżu. Uzyskał dyplom inżyniera chemika, co i tak nie na wiele mu się przydało. Zamiast pracować w zawodzie, został przedstawicielem polskiego monopolu eterowego, dzięki czemu rodzina żyła na bardzo wysokiej stopie. Także matkę pociągały kierunki ścisłe. Również ona nie pracowała jednak w fachu zgodnym z wykształceniem. Mogła zostać lekarzem, ale zamiast tego „robiła interesy z Anglikami". „Interesowała się malarstwem, sztuką użytkową i jej przede wszystkim zawdzięczam, że nauczyła mnie cierpliwie słuchać muzyki" – opowiadał Łopieńskiej autor „Sedanu".

Czy pochodzenie z rodziny żydowskiej miało wpływ na życie Hertza? Maria Iwaszkiewicz wspominała („O Pawle Hertzu", „Zeszyty Literackie" nr 2, 2013), iż nawiązując do czasów szkolnych w Gimnazjum im. Mikołaja Reja, stwierdził, że „Jeśli w klasie jest trzech prymusów i wszyscy trzej są Żydami, to reszta ich nienawidzi". Zarazem jednak, chociaż Hertz uczył się bardzo dobrze, nie przystąpił do egzaminu maturalnego. Nie przeszkodziło mu to bynajmniej, by doceniać wagę przedwojennej edukacji, w tym – poszanowanie dla literatury i tradycji antycznej. W rozmowie z Tomaszem Fiałkowskim („Droga na Południe. O edukacji, podróżach i »Labiryncie nad morzem« Herberta", „Tygodnik

eprasa.pl 77bfbfce1f

Powszechny" nr 52/53, 2000) zaznaczał, że jego pokolenie odebrało tę lekcję antycznej wrażliwości i otrzymało wiedzę o podstawach cywilizacji europejskiej, nawet jeśli nie wszyscy czytali potem Horacego w oryginale. „Tym bardziej, że naukę łaciny czy greki łączono z nauką realiów" – zaznaczał.

Pod wpływem Jarosława

Młode lata Pawła Hertza to czas fascynacji Jarosławem Iwaszkiewiczem. Jacek Błach („Podziemne rzeki, inne życia, „Znak" nr 11, 2016) nazywa rzecz po imieniu: młody Hertz był w poecie po prostu zakochany. I przytacza fragment listu początkującego poety do swojego mentora. „Ach, mój drogi, jaka to wielka szkoda, że Ty masz żonę i tyle różnych spraw na głowie, że nie jesteś niezależny. Po maturze ostatecznie zerwę z domem – czy wtedy będziemy mogli być razem, czy dopomożesz mi stanąć na własnych nogach?". Jednak choć – jak wiadomo skądinąd – Iwaszkiewicz od pewnego rodzaju męskich przyjaźni nie stronił, to w tym wypadku zamiast na romansie skończyło się na koleżeństwie.

Ciekawe to o tyle, że Maria Iwaszkiewicz opisuje młodego Hertza jako chłopca niebywale pięknego. „Był wyjątkowej urody i raczej nie semickiej, tylko wschodniej, cera jak kość słoniowa, bez rumieńca, duże czarne oczy. W środowisku literackim mówiono o nim »perskie książątko«". Może więc Hertz po prostu za dużo od Iwaszkiewicza chciał? Dziś trudno dociec.

Zresztą od wątków prywatnych istotniejszy jest wpływ literacki, a ten widać bardzo mocno w debiucie literackim kilkunastoletniego Hertza. Pierwsze wiersze opublikował na łamach „Wiadomości Literackich" w 1934 roku i został zakwalifikowany do kręgów pozostających pod wpływem Skamandrytów. Współpracował ponadto z „Buntem Młodych", redagowanym przez Jerzego Giedroycia. Dwutygodnik ten, poświęcony nie tylko polityce, lecz także sprawom społecznym, zaczął ukazywać się w 1931 roku i był następcą piłsudczykowskiego „Dnia Akademickiego".

Młody Hertz szybko stał się postacią rozpoznawalną w stołecznym światku, kojarzoną nawet przez tych, którym nie dane było być z nim blisko. Eseista i krytyk literacki Ryszard Matuszewski wspominał („Głosy o Pawle Hertzu", „Zeszyty Literackie" nr 3, 2016), że przed wojną znał go jedynie z widzenia, Hertz przemykał w okolicach ulicy Mazowieckiej i kręcił się koło legendarnej już Małej Ziemiańskiej. Uwagę zwracał ubiór młodzieńca. Hertz nosił się modnie, ale był przy tym tak wyniosły, że nikomu ze znajomych Matuszewskiego nie przyszłoby do głowy, by spróbować nawiązać z elegantem bliższą relację.

Związki z prasą nie przeszkadzały Hertzowi nadal publikować wierszy. W 1935 roku wydał tomik „Nocna muzyka", a dwa lata później kolejny, zatytułowany „Szarfa ciemności".

Edukacja po włosku

Rok 1937 istotny był także ze względu na to, że wówczas Hertz, wyposażony w pieniądze ojca, zwiedził Włochy. Sama podróż, o której opowiadał Barbarze Łopieńskiej („Podróż do Włoch. Z Pawłem Hertzem rozmawia Barbara N. Łopieńska", „Res Publica Nowa" nr 7/8, 1995), stanowi bardzo interesujące świadectwo obyczajów i stylu życia zamożnych młodych ludzi czasów międzywojennych. Hertz opowiadał, że w podróż udał się „nie po to, żeby się bawić, ale po to, by się kształcić – w sposób oczywiście bardzo szczególny, bo nie przez słuchanie wykładów, lecz przez oglądanie świata". Ubrany we flanelowe spodnie i tweedową marynarkę zwiedzał muzea, biblioteki, przyglądał się architekturze.

Znów wraca kwestia ubioru, bo wątek strojów jest w cytowanej już rozmowie omówiony bardzo dokładnie. Łopieńskiej Hertz wspominał o sklepie z materiałami u Bednarowskiego w Bristolu, o krawcu ojca, który przychodził do domu specjalnie po to, by pokazać próbki tkanin, czy o stołecznych sklepach Old England i pan Frendler. Zaznaczał przy tym, że to, co było angielskie, cieszyło się w przedwojennej stolicy dobrą renomą.

PEN Club i od pewnego momentu Związek Literatów Polskich uważał za instytucje „obronne" czy wręcz paraopozycyjne, ponieważ „można było pewnych ludzi grupować, pewne rzeczy mówić, gdzie można było stworzyć jakąś hierarchię przeciwstawiającą się hierarchii czy polityce partyjnej".

eprasa.pl 77bfbfce1f

Lata tuż poprzedzające wojnę Hertz spędził jednak nie w kraju Dantego, lecz we Francji. Wiele zresztą wskazywało na to, że być może zostanie tam na stałe. Poeta, pisarz i tłumacz Juliusz Żuławski w cytowanych już „Głosach o..." wspominał, jak wiosną 1939 roku spotkał Hertza w Paryżu. Siedzieli w jakiejś kawiarence, przy kawie i kwietniowej pogodzie, a Hertz rozmawiał czy też raczej monologował na temat tego, czy pozostać w stolicy Francji, „gdzie miał wielkie szanse urządzenia się na stałe", czy jednak wracać do Polski. Zdecydował się na to drugie rozwiązanie. Na przełomie lipca i sierpnia 1939 roku znalazł się znów w Warszawie. Gdy 1 września Niemcy dokonały agresji na terytorium Rzeczypospolitej i wybuchła wojna, postanowił uciekać na wschód. Trafił do Lwowa, w którym znalazło się wielu polskich literatów; wielu z nich przystąpiło do Komitetu Organizacyjnego Pisarzy Radzieckich, wielu podpisało oświadczenie pisarzy polskich, entuzjastycznie odnoszące się do włączenia Zachodniej Ukrainy do Ukrainy Radzieckiej, zamieszczone na łamach „Czerwonego Sztandaru". Jednak, jak czytamy w opracowaniu listów Pauliny Hertz pióra Agnieszki i Roberta Papieskich (Paulina Hertz, Listy, „Zeszyty Literackie" nr 3, 2016 r.), Hertz w życiu literackim Lwowa nie uczestniczył. Zatrudnił się jako kasjer w kawiarni.

Syberia–Samarkanda–Łódź

Jak sam wspominał w materiałach nadesłanych Instytutowi Badań Literackich (Jadwiga Czachowska, „Paweł Hertz o swoim życiu i twórczości w odpowiedzi na ankiety do słowników IBL", „Zeszyty Literackie" nr 3, 2018), ze Lwowa usiłował przedostać się na Litwę, jednak starania te udaremniła rosyjska straż graniczna. Wrócił więc do Lwowa, ale długo nie było mu dane cieszyć się wolnością. W pierwszej połowie stycznia 1940 roku NKWD dopadło go w restauracji Aronsona. Na wyrok oczekiwał w więzieniu na Zamarstynowie. Czym Hertz naraził się sowieckiej władzy? Agnieszka i Robert Papiescy podają, że akt oskarżenia, datowany na listopad 1940 roku, dotyczył „działalności kontrrewolucyjnej", przy czym owa działalność to artykuł „Liryka proletariacka", który Hertz napisał dla Giedroyciowskiej „Polityki".

Za tak „poważne" przestępstwo musiała być oczywiście surowa kara. Hertza skazano na 8 lat obozu pracy. Wraz z innymi Polakami – w większości również „politycznymi" – trafił do Iwdiela w okręgu świerdłowskim na północno-wschodniej Syberii. Jak ten wymuskany elegancik znosił życie obozowe? Wbrew temu, czego można byłoby się spodziewać, nie załamał się, nie poddał, przeżył. Zarazem jednak obozowe przeżycia oddziałały na jego psychikę, sprawiając, że w późniejszych latach starał się raczej krytykować czyny niż ludzi. „Jeżeli na przykład ktoś umarł i miał pod wezgłowiem kawał chleba, a ktoś ten kawał chleba zabrał, to znaczy, że był bardzo głodny. Poniósł uszczerbek na godności, bo głód przeważył. Inni ludzie z innych powodów wyzbywali się godności na chwilę, na trochę – ale to nie jest tak, że jeśli człowiek raz to zrobi, to jest potępiony na zawsze" – mówił „Gazecie Polskiej" w 1998 roku („Właściwie niczego się nie bałem. Rozmowa z Pawłem Hertzem", „Gazeta Polska" nr 30, 1998).

Na szczęście nie było mu dane odsiedzieć zasądzonych ośmiu lat. W ramach układu zawiązanego między rządem RP a Sowietami został zwolniony w 1942 roku. Jednocześnie polska ambasada zleciła mu organizowanie szkół polskich w Kirgizji. Później miał nawet epizod dyplomatyczny – mianowano go sekretarzem przedstawiciela Ambasady RP we Frunze (od 1991 roku Bikszek, stolica Kirgistanu).

Co znaczące, Hertz nie chciał przyjąć obywatelstwa Związku Sowieckiego, przez pewien czas miał więc status bezpaństwowca. Nie przeszkodziło mu to zresztą w wyjeździe do Samarkandy. Tam pracował jako kustosz w lokalnym muzeum. Na motywach swoich przeżyć z tego właśnie okresu napisał „Sedan", składający się z czterech opowiadań.

Jak zaznacza Wojciech Wencel („Przepasany szarfą ciemności", „Nowe Państwo" nr 21, 2001), Hertz do Polski wrócił w grudniu 1944 roku. Zgłosił się do władz polskich w Lublinie, a te zaoferowały mu posadę kierownika łódzkiego Domu Żołnierza w Łodzi. Maria Iwaszkiewicz wspomina, że podczas wojny stracił całą rodzinę. Zatem możemy się domyślać, że z jednej strony musiała męczyć go straszliwa samotność, z drugiej – może łatwiej niż innym było mu budować wszystko od zera.

Tym bardziej że w Łodzi właśnie, choć szybko porzucił ją dla Warszawy, poznał miłość swojego życia. Z tekstu Jacka Błacha wiemy, że chodzi o Władysława Prandotę. Córka Iwaszkiewicza wspomina po prostu o tym, że na drodze Hertza pojawił się jakiś stolarz czy ślusarz o imieniu Władek. Relacja ta trwała bardzo długo, skończyła ją dopiero śmierć Prandoty. Ze wspomnień Iwaszkiewiczówny wynika, że to Hertz zaopiekował się kochankiem, zadbał, by ten umiał się szykownie ubrać etc. Zarazem jednak nigdy na przykład nie przyjeżdżał z nim do Stawiska, gdzie mieszkał Iwaszkiewicz z rodziną. Choć o swoim związku z Władysławem z zasady nie rozmawiał, kiedyś wymsknęła mu się do Iwaszkiewiczówny jakaś uwaga, z której wynikało, że rodzina Prandoty zachowuje się wobec niego bez zarzutu.

W zgodzie z nowym chamem

Jak zaaklimatyzował się w nowej, komunistycznej rzeczywistości? W skrócie można powiedzieć, że starał

eprasa.pl 77bfbfce1f

się przystosować. Wszedł w skład zespołu „Kuźnicy", zapisał się do PPR, a gdy przekształciła się w PZPR, nadal pozostawał jej członkiem. Jak dandys będący uosobieniem dwudziestolecia międzywojennego to znosił? Jan Lechoń w cytowanych już „Głosach o..." głosi tezę, że to „obozy, Sowiety, strata majątku wydobyły z niego ukrytą w nim twardość i Bóg wie co jeszcze, co pozwoliło mu łatwo i skwapliwie pogodzić się z »nowymi panami«, a raczej »nowymi chamami«". Efekty? Między 1949 a 1952 rokiem Hertz sprawował funkcję kierownika redakcji klasycznej literatury rosyjskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym, a w latach 1954–1959 był członkiem kolegium redakcyjnego „Słownika języka polskiego". Czesław Miłosz napisał kiedyś, że Hertz chciał po prostu wówczas „ratować, co się da". Zajmował się zatem raczej kulturą dawniejszą, nie zaś czasami współczesnymi. Na przełomie lat 40. i 50. napisał książkę „Portret Słowackiego", stanowiącą monografię i zarazem hołd dla polskiego poety.

Długo w tym „godzeniu się z nowymi panami" jednak nie wytrzymał. Już w sierpniu 1956 roku krytykował – owszem, publicznie nieco po czasie i w momencie, w którym już było można, ale zawsze – porządki, jakie zaistniały w Związku Literatów Polskich po zjeździe szczecińskim. „Dokonano przegrupowań w redakcjach pism, przeprowadzono niwelację czasopiśmiennictwa literackiego, uniemożliwiono w praktyce jakąkolwiek krytykę narzuconej doktryny. Skutki tego nie dały na siebie długo czekać. Widzieliśmy, jak rasowi pisarze borykali się z uniemożliwiającą myślenie i twórczość teorią, jak z całą uczciwością intelektualistów próbowali zrozumieć ten dziwny realizm, w którym realia dopasowuje się do mitycznej rzeczywistości, a rzeczywistość podporządkowuje woluntaryzmowi biurokratów" – pisał („Nowa Kultura", 12 sierpnia 1956).

Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą opuścił w 1957 roku. „Gazecie Polskiej" opowiadał, że rozstanie miało charakter pokojowy. Po prostu poprosił o wypisanie z partii, to go wypisali. Tyle. Od tego czasu zaczęła się droga Hertza ku opozycji. W marcu 1964 roku podpisał tzw. List 34, zaadresowany do premiera Józefa Cyrankiewicza i domagający się zmiany polityki kulturalnej. „Ograniczenia przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej" – brzmiało pierwsze zdanie tego pisma. Pięć lat później został członkiem Zarządu Polskiego PEN Clubu. Jak wyjaśniał „GP", tak PEN Club właśnie, jak i od pewnego momentu Związek Literatów Polskich, uważał za instytucje „obronne" czy wręcz – paraopozycyjne, ponieważ „można było pewnych ludzi grupować, pewne rzeczy mówić, gdzie można było stworzyć jakąś hierarchię przeciwstawiającą się hierarchii czy polityce partyjnej".

Dla Hertza, polskiego Żyda, z całą pewnością ciężkim przeżyciem musiał być rok 1968 i rozpętana wówczas antysemicka nagonka. Stefan Kisielewski w „Dziennikach" – pod datą 24 lipca 1968 r. – wspomina, że odwiedził go Hertz, roztrzęsiony i smutny. „Dojęło go w końcu, pewno owa sprawa żydowska też, choć nigdy o tym nie mówi" – pisał Kisiel.

Zarazem jednak w rozmowie z „Gazetą Polską" w 1998 roku Hertz zaznaczał, że uważa się za Polaka, pod względem formalnym, uczuciowym i intelektualnym. Dodawał zarazem, że jeśli ktoś stwierdzi, że on, Hertz, jest Żydem, to nie będzie uważał, iż jest to antysemityzm.

Hertzowe Warszawy

„Lato warszawskie ma zawsze dla mnie urok osobliwy. Skwar niezbyt dojmujący, chłodny wieczór i ciepło bijące od nagrzanych słońcem ścian solidnych domów Nowego Światu, [...] niezbyt natrętny zapach benzyny z wonią jaśminów i siana – zapach, którego nie można już było odnaleźć w żadnej ze stolic Europy" – opisywał Warszawę, miasto, w którym spędził większość życia. Jego felietony poświęcone stolicy ukazywały się głównie na łamach „Expressu Wieczornego", pod winietą „Fragmenty z notatnika warszawskiego przechodnia". W 1955 i 1957 roku zbiory felietonów wydano w formie książek. Spojrzenie Hertza na miasto jest wyjątkowe, ponieważ – jak zauważa Witold Adamiec („Warszawskie noce i dnie mitotwórcy", „Nowe Książki" nr 15, 1974) – jest przefiltrowane przez Hertzowe zainteresowanie literaturą XIX wieku. Zarazem proza ta ma w sobie coś, co jasno wskazuje na to, że pisze ktoś, komu w życiu zdarzyło się popełnić wiersz, i to niejeden.

Równie ważna jak twórczość gazetowa jest działalność Hertza mająca na celu zapewnienie ciągłości kultury. Hertz znalazł sobie niszę, która zarazem pozwalała mu na życie oraz na to, by nie brudzić sobie za bardzo rąk polityką. Tą niszą było edytorstwo. Między 1959 a 1979 rokiem opracował liczącą siedem tomów antologię „Zbiór poetów polskich XIX wieku". „Praca p. Hertza jest pracą zaiste benedyktyńską" – chwalił w 1965 roku, gdy antologia jeszcze nie była skończona, Stanisław Cat-Mackiewicz („Powązki poetów", „Słowo Powszechne" nr 132, 1965). Rozpisywał się także o rzetelności Hertza, zaznaczając, że w miejscach, w których niemożliwe było jednoznaczne ustalenie dat, Hertz w „wielu miejscach podaje różniące się między sobą daty z różnych almanachów i opracowań i wreszcie datę opartą na poszukiwaniach własnych".

Ponadto wraz z Władysławem Kopalińskim ułożyli i wydali w 1975 roku w PIW-ie „Księgę cytatów z polskiej literatury pięknej od XIV do XX wieku".

eprasa.pl 77bfbfce1f

Wszystko stoi na Kościele i wsi

Nie bez znaczenia pozostaje także, że Hertz coraz mocniej zbliżał się do środowisk katolickich – w Kościele widział nie tylko pocieszenie duchowe, lecz także instytucję, która przechowuje kulturę polską, ducha narodu. Chrzest przyjął w 1982 roku. „Wierzył Bogu i w Boga nieograniczonego Miłosierdzia, Miłości i Dobroci. Zaledwie błysk tęsknoty za Nim – przekonywał – zbliża człowieka do Niego, bez żadnych wstępnych warunków. A artyści, czyniąc piękno, są najdoskonalszymi wyrazicielami tej tęsknoty" – wspominał religijność Hertza ksiądz Jan Sochoń („Wieloletni katechumenat. O Pawle Hertzu", „Twórczość" nr 2, 2017).

Z kolei w rozmowie z Pawłem Lisickim („Imiona tego stulecia. Z Pawłem Hertzem rozmawia Paweł Lisicki", „Przegląd Polityczny" nr 26, 1994) wyjaśniał, że w czasach Polski Ludowej trwanie polskich wartości opierało się na dwóch siłach – jedną była wieś, drugą właśnie Kościół.

Wspominał, że kiedy po odwilży zaczął jeździć za granicę, w Paryżu zdarzyło mu się rozmawiać o polityce z Zygmuntem Hertzem, z którym zresztą łączyły go więzi rodzinne. „Pytał mnie, pamiętam, przy drugim czy trzecim spotkaniu, o to, co myślę, o reformy komunistyczne, o działalność takich osób, jak Modzelewski czy Kuroń. [...] Inteligencja opozycyjna jest czymś wtórnym i może działać tylko wtedy, jeśli uzna prymat tych dwóch sił. Kościół zachował swoją strukturę, kolektywizacja się nie udała, chłop został na swoim" – wyjaśniał.

Warto zresztą pochylić się nad stosunkiem Hertza do niektórych członków demokratycznej opozycji. W „Dziennikach", w sierpniu 1975 roku, Kisiel notuje z lekkim zniesmaczeniem, że Hertz oraz Henryk Krzeczkowski „wyobrażają sobie, że są dawnymi krakowskimi konserwatystami, że są jakąś tradycyjną prawicą i przestrzegają przed mieszaniem się w »wewnętrzne porachunki« byłych marksistów, do których zaliczają też Adasia [Michnika – przyp. M.Z.], choć ten, urodzony 1946, zaiste całkiem nowym jest człowiekiem". Ocenę tego fragmentu pozostawiam czytelnikom.

Diabelskie dary zostają ochrzczone

Przez trzy lata, do 1978 roku, Hertz był wiceprezesem ZLP, do grudnia 1980 roku należał do zarządu Związku, a już po upadku PRL-u – do Rady do spraw Stosunków Polsko-Żydowskich przy prezydencie RP Lechu Wałęsie. Wojciech Wencel wspomina te ostatnie lata życia i ostatnie spotkania z Hertzem. Pisarz mieszkał wówczas przy Nowym Świecie. „W korytarzu wiszą pożółkłe sztychy z pejzażami, a w pokoju na półkach kurzą się stare fotografie i rysunki z wizerunkami Kardynała Stefana Wyszyńskiego, papieży: Jana XXIII, Jana Pawła I i Jana Pawła II [...]. Pokój pełen jest starych, jeszcze dziewiętnastowiecznych mebli. Na biurku stoi wielka lampa i zupełnie niedzisiejsza maszyna do pisania. Z gwoździa wbitego w ścianę zwisa drewniany różaniec" – opisywał Wencel. A w tym wszystkim Hertz, staroświecki, piszący na papierze z nadrukowanym własnym imieniem i nazwiskiem, poprawiający wywiady ręcznie, wiecznym piórem.

Z kolei Wojciech Karpiński w cytowanych już „Głosach o..." wspomina, że Hertzowi zdarzało się szydzić z rozmaitych literatów. Obrywał zwłaszcza Witold Gombrowicz. Hertz nazywał jego „Ferdydurke" książką „dla leniwych uczniów". Wspominał też, że Gombrowicza spotkał raz, jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym. Gombrowicz przerażał wówczas młodych literatów w knajpie Zodiak, chwalił się „genealogią, swobodą materialną, erotyczną". Młodego Hertza to zirytowało. Naskoczył na Gombrowicza, by z nim tak nie pogrywać, bo Hertzowie od Gombrowiczów z tysiąc lat starsi, pieniędzy ma więcej, a „swoimi preferencjami seksualnymi wprawdzie nie afiszuje się w kawiarni, ale też ich w przeciwieństwie do Gombrowicza nie ukrywa i nie ma z nimi kłopotu". Gombrowicz musiał podkulić ogon i uprawiać gierki z innymi.

Jeszcze ciekawsze od rozmów o literaturze są sądy, jakie Hertz wygłaszał odnośnie do swojej przeszłości i – w ogóle – Polski Ludowej. Krytyczny wobec ZSRS i Rosji, zarazem nie szczędził krytyki niektórym rodakom. „Uważam, że mówienie o hańbie jest lekką przesadą, choć z drugiej strony roszczenie sobie po wielu latach, kiedy się już z tej hańby wyszło, prawa do stanowienia o tym, co u innych jest złe, a co dobre – również jest co najmniej nieskromne. To taka właściwość tzw. samokreujących się elit. Trzeba przede wszystkim pamiętać, jak się samemu postępowało" – mówił „Gazecie Polskiej" w 1993 roku („Wzięli rozbrat z narodem. Rozmowa z Pawłem Hertzem", „Gazeta Polska" nr 24, 1993). Ile osób powinno wziąć te słowa do siebie?

Najbardziej prorocze i aktualne wydają się jednak słowa, które padły w cytowanej już rozmowie z Pawłem Lisickim. Hertz zakładał, że nastanie czas dopełnienia się europejskiej „rewolucji nihilizmu", a złe siły zwyciężą, choć tylko chwilowo, ostatecznie zostaną bowiem z niczym. „Proszę sobie przypomnieć, że Rzym upadając pod ciosami barbarzyńskich pogan, przysposobił ich do przyjęcia chrześcijaństwa, że po rewolucji francuskiej przyszła restauracja, że w dziejach niejedno złe zamierzenie dawało przeciwne skutki. Diabeł przynosi różne dary, niektóre z nich, ku jego zdumieniu, zostają ochrzczone" – wyjaśniał. Przytaczam te słowa w roku 2019, w Polsce, w której trwa walka z Kościołem, w której LGBT chce wprowadzać się do szkół. I w tym kontekście – Hertz przywraca optymizm.

Zmarł 13 maja 2001 roku. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

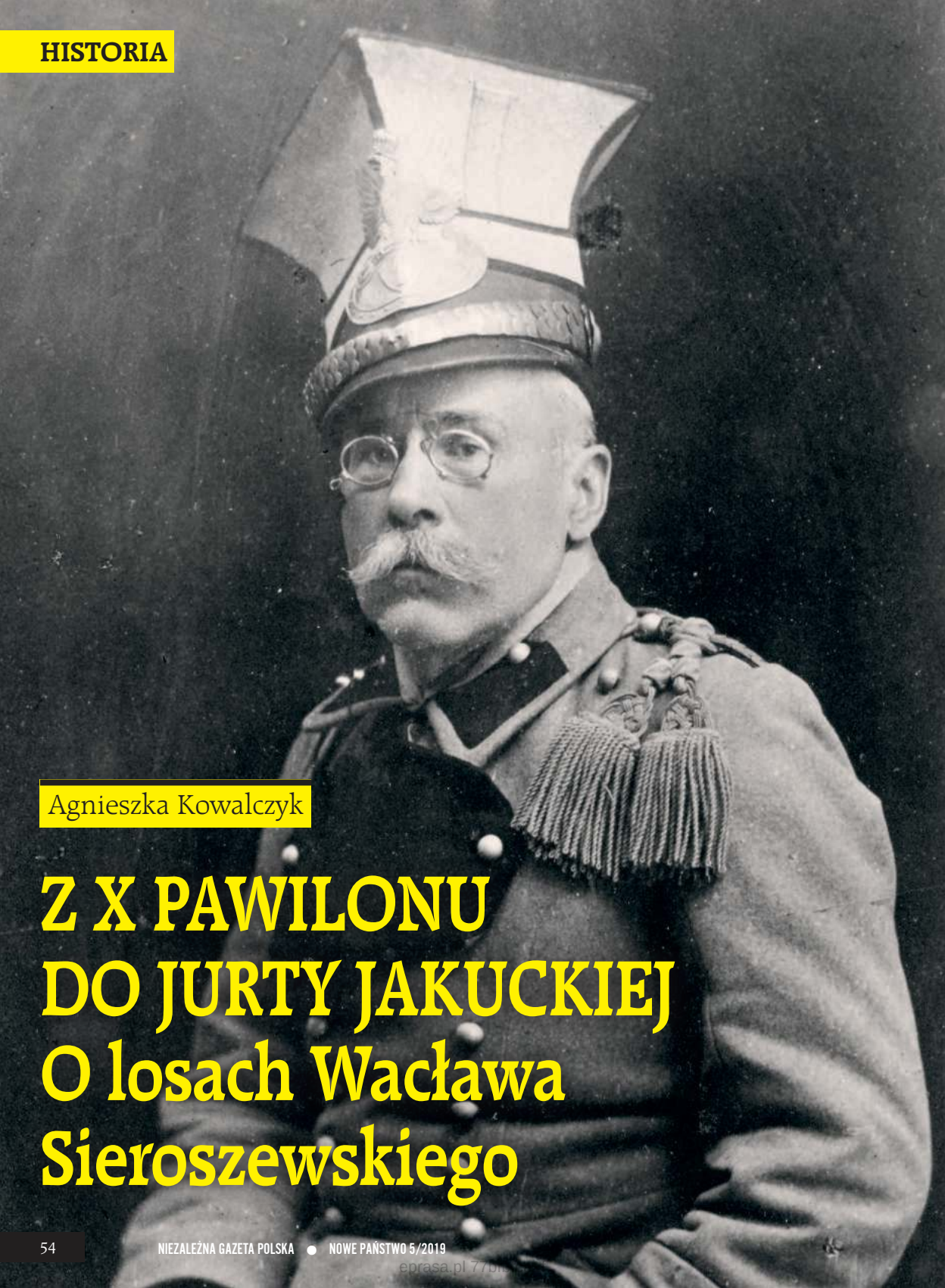

Agnieszka Kowalczyk

Z X PAWILONU DO JURTY JAKUCKIEJ

O losach Wacława Sieroszewskiego

eprasa.pl 770

Wacław Sieroszewski to niewątpliwie jedna z najbardziej interesujących, choć zapomnianych dziś indywidualności przełomu XIX i XX wieku. Ten aktywny działacz niepodległościowy, więzień X Pawilonu, zesłaniec syberyjski, legionista to zarazem powieściopisarz, autor nowel, pamiętnikarz, podróżnik, badacz kultur azjatyckich. Żywiołowa natura i wiecznie niezaspokojona ciekawość świata sprawiły, że skazany na wieczne osiedlenie we wschodniej Syberii przeistoczył się w etnografa, z pasją zgłębiającego życie i obyczajowość tamtejszych ludów, którym poświęcił obszerną monografię „Dwanaście lat w kraju Jakutów".

Przymusowy pobyt w najodleglejszych i najzimniejszych zakątkach świata, z dala od cywilizacji, nauczył Sieroszewskiego mierzyć się z przeciwnościami losu, a nawet uczynił pisarzem, który wiele tematów swych wciągających książek osnuł wokół problemów zesłańczego życia i walki o byt w krainie wiecznych śniegów. W jego imponującym dorobku twórczym, zebranym w 25 tomach, znajdziemy między innymi powieści: „Na kresach lasów", „Ucieczkę", „Zamorskiego diabła", „Beniowskiego", „Ocean", „Miłość samuraja", trylogię „Ku wolności", nowele ze zbiorów: „W matni", „Powieści chińskie", „Brzask", „Latorośle", „Z fali na falę", opowiadania „Risztau", „Być albo nie być", „Tułacze", reportaże z wyprawy do Chin, Japonii i Korei, z podróży do Ameryki i Anglii, szkic o Józefowie Piłsudskim, a do tego mnóstwo relacji wspomnieniowych, esejów, trawestacji znanych motywów baśniowych, tekstów publicystycznych drukowanych w prasie międzywojennej.

▶ Chciał być jak Maciej Kropiciel i Robinson Crusoe

Wacław Sieroszewski urodził się w 1858 roku na ziemi radzymińskiej, w rodzinie ziemiańskiej o patriotycznych tradycjach. Jego dziad Kajetan jako szwoleżer napoleoński walczył jeszcze pod Samosierrą i Berezyną, a ojciec Leopold wraz z dwoma braćmi przystąpił do powstania styczniowego, co okupił uwięzieniem w Cytadeli Warszawskiej. Po nałożeniu wysokich kontrybucji popowstaniowych majątek rodziny Sieroszewskich w Wólce Kozłowskiej powoli podupadał, aż w końcu został zlicytowany. Po śmierci matki chłopcem zaopiekowali się krewni, a jego nowym domem stał się dwór w Pęcławicach, kryjący w swym wnętrzu bezcenne napoleońskie pamiątki i bibliotekę zasobną w dzieła polskich romantyków. Najpiękniejszą książką, czytaną nieskończoną ilość razy, była dla Wacława Mickiewiczowska epopeja „Pan Tadeusz", a najbardziej fascynującą – powieść Daniela Defoe „Przypadki Robinsona Crusoe". Z sentymentem pisał później, jak to jego „rozdarte serce wahało się nieustannie między bohaterem Defoe a Maćkiem Kropicielem. Wprawdzie tamten wszystko umiał sam zrobić, ale ten za to nieporównanie bił... Moskali".

Czas spędzony w murach warszawskiego gimnazjum to dla dorastającego Wacława okres buntu przeciwko wzmagającemu się procesowi rusyfikacji. Działalność w młodzieżowych stowarzyszeniach patriotycznych, a także redakcja nielegalnej gazetki skończyły się ostatecznie wyrzuceniem go ze szkoły. Imając się różnych zajęć, m.in. terminując w warszta-

fot. IPSB

eprasa.pl 77bfbfce1f

cie ślusarskim, nie rezygnował z samokształcenia – studiował dzieła S. Smilesa, L. Büchnera, J.S. Milla, prace o darwinizmie i rozwijających się nowych prądach społecznych. W końcu udało się mu podjąć naukę w szkole technicznej i pracę na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Jednocześnie angażował się w tajną działalność socjalistyczną w zaborze rosyjskim, przyłączając się do grupy niepodległościowej związanej z ruchem Adama Szymańskiego. Szerzył oświatę wśród robotników, zakładał kółka i kasy oporu, przewoził zakazane pisma, części do maszyny drukarskiej i broń z nadgranicznego Sosnowca.

„Głos Więźnia" i tajemnicze stukanie

W lipcu 1878 roku za pomoc w ucieczce udzieloną swym współtowarzyszom został aresztowany i wtrącony do X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Zamknięty w celi z okratowanym oknem, o ścianach pełnych zacieków i jakichś wstrętnych plam, z trudem znosił odór cuchnącej grzybem podłogi i widok okutych drzwi z judaszem, przez który non stop podejrzliwy żandarm zapuszczał swe wścibskie oko. Żelazne łóżko, stół i oblepione brudem krzesło wystarczyć musiały za całe umeblowanie. I jeszcze kaflowy piec, na którym piętnastoletni więzień odkrył kilka napisów wydrapanych przez powstańców styczniowych. Gdy z kolei nad podokniu odnalazł nazwisko ojca, postanowił wyryć i swoje za pomocą przemyconej i dobrze ukrytej stalówki.

Kilka miesięcy wystarczyło, by Sieroszewski mógł zgłębić najważniejsze tajemnice Cytadeli, która wzniesiona po powstaniu listopadowym na Żoliborzu groziła Warszawie swą siłą i ostrzelaniem z armat. X Pawilon składał się z murowanego jednopiętrowego budynku w kształcie litery U, z dziedzińcem zamkniętym od strony południowej wysoką żelazną kratą. Obawa przed nim była powszechna, bo jak pisze Sieroszewski, „opowiadano szeroko o zadawanych tam torturach, o niemiłosiernym biciu, o drzazgach wbijanych za paznokcie, o wyrywaniu zdrowych zębów, o trzymaniu w nieprzeniknionych ciemnościach, o karmieniu pieprzem i solą i dręczeniu następnie pragnieniem, o torturze ogniem, wodą i bezsennością". Sam Sieroszewski w Cytadeli takich tortur nie doświadczył, chociaż, jak wspomina, przystępując do patriotycznych stowarzyszeń, poddał się próbie „rozpalonego żelaza", która miała sprawdzić, czy w przyszłości „nie będzie śpiewał w X Pawilonie". Przez pierwsze tygodnie aresztu najbardziej doskwierało mu zupełne odosobnienie, brak jakichkolwiek wiadomości, paczek, nawet zmiany bielizny. Nie do wytrzymania stawał się widok „białych ścian, martwego światła ślepych okien i wciąż tych samych okrutnych, tępych twarzy żołnierzy". Wacław nie dał się jednak złamać, choć poważnie obciążały go zeznania zastraszonych robotników, którzy twierdzili, że wie dużo, bo w jego mieszkaniu odbywały się zebrania i narady przywódców organizacji. Pomimo przeraźliwej pustki i tęsknoty, ustawicznych bólów głowy i bezsenności wywołanych lichym odżywianiem i zepsutym powietrzem uparcie trzymał się taktyki bezwzględnego milczenia. Gdy zbliżywszy się niepostrzeżenie do jednego z aresztantów, usiłował poradzić mu to samo, ostrzegając: „Nie mówcie nic!... Nie gubcie swojej duszy!...", poczuł silne uderzenie pięścią w kark. Natychmiast schwytano go i odwleczono do tyłu. Na odchodnym słyszał tylko słowa majora Siekierzyńskiego: „Zabierzcie go! No, a po drodze nauczcie...!".

Na początku jesieni 1878 roku izolowanie więźniów w osobnych celach stało się niemożliwe ze względu na wzmożoną falę aresztowań w środowisku polskich socjalistów. Osadzano ich więc cela za celą, co ułatwiło nawiązywanie łączności dzięki opracowaniu tajnego systemu szyfrów „wstukiwanego w ściany". Tą drogą Sieroszewski dowiedział się m.in. o wielkich aresztowaniach w Warszawie, o rozbiciu tajnej organizacji i próbach jej odbudowy. Poznał nawet nazwiska wszystkich nowo uwięzionych, wśród których znaleźli się Kazimierz Dłuski, Ludwik Waryński, Stanisław Mendelson i Stanisław Landy, z którym wkrótce miał podzielić jedną celę.

Niewątpliwie pomysłowość aresztantów przechodziła najśmielsze oczekiwania w kwestii wzajemnej komunikacji, bowiem drążenie otworów w ścianach za pomocą żelaznych prętów powyłamywanych z łóżek i kamuflowanie otworów papierem, tekturą, chlebem doprowadziło do powstania systemu misternie wywierconych tuneli łączących wszystkie cele X Pawilonu. W ten sposób uruchomiono sprawnie działającą pocztę, która umożliwiała przesyłanie listów, spisywanych drobnym maczkiem wiadomości i zdobytych z wielkim trudem gazet, wsuwanych do płóciennych kiszek uszytych z rąbków koszul. „Ugłaskany łapówkami" naczelnik Aleksandrowicz, nazywany żartobliwie Don Pedrem, przymykał oko na wiele rzeczy, dzięki czemu w ręce więźniów dostawały się papier, pióra, ołówki, atrament w proszku, a nawet prasa. Wszystko to sprawiło, że mogli założyć oni wydawane co kilka dni tajne pismo „Głos więźnia", w którym Sieroszewski zamieszczał pierwsze swoje teksty literackie – nowele i wiersze rewolucyjne. Na łamach tej gazety, redagowanej przez Józefa Pławińskiego, obok wiadomości bieżących i politycznych znalazły się też beletrystyka i poezja. Twórcą najpiękniejszych wierszy był Wacław Święcicki, który deklamował je współtowarzyszom z sąsiednich cel przez

eprasa.pl 77bfbfce1f

otwarty lufcik w ciche, pogodne noce. Tak samo odbywały się koncerty pieśni rewolucyjnych. I wtedy gdy „Głos więźnia" przybierał „coraz piękniejsze szaty", gdy w tekście o misternie przyozdobionym nagłówku pojawiać się zaczęły ilustracje i karykatury, a nawet nowele, satyry i całe mnóstwo wierszy, zupełnie nieoczekiwana wsypa spowodowała szczegółową rewizję X Pawilonu. Znaleziono składy papieru i atramentu, niedrukowane jeszcze materiały i narzędzia redakcyjne starannie ukrywane pod deską podłogi. Okazało się, że wychodzące w murach więziennych pismo odkryto... w Krakowie, u aresztowanych tam konspiratorów. Sieroszewski jako jeden z najgorliwszych współpracowników redakcji ukarany został kilkoma tygodniami tzw. białego karceru. Zamknięto go w najodleglejszym zakamarku pawilonu, w pustej, pozbawionej wszelkich sprzętów celi. Na domiar złego w tym czasie wybuchł bunt więźniów wszczęty przeciwko zastrzeleniu przez strażnika jednego z ich współtowarzyszy, szesnastoletniego Józefa Bejta. W akcie protestu zaczęto wybijać szyby, łamać stoły, stołki i łóżka, sam Sieroszewski cisnął wyłamaną ramą okienną we wchodzących do celi funkcjonariuszy. Natychmiast został powalony na ziemię, niemiłosiernie zbity, skopany po całym ciele. „Krew płynęła z twarzy i ust Landego, prawdopodobnie i ja w nie lepszym byłem stanie. Ból w rękach odjął mi zmysły [...], obie ręce wyglądały jak sine, bezkształtne bryły... Groziła mi gangrena" – opisywał to zdarzenie w swoich „Pamiętnikach". Wkrótce postawiono go przed sądem wojennym z zarzutem zbrojnego oporu wobec władzy, za co mógł otrzymać karę śmierci. Ostatecznie skazany został na 8 lat katorgi, zamienionej potem na wygnanie i osiedlenie w najzimniejszej części Syberii.

Ciupasem na Sybir

Gdy Sieroszewski dotarł wraz z Landym do więzienia w Wyżnim Wołoczoku, okazało się, że są tam pierwszymi i jedynymi pozbawionymi praw skazańcami, w których widziano nowe wcielenie „strasznych powstańców 1863 roku". Dopiero w moskiewskim więzieniu na Butyrkach dołączyli do kilkuset skazanych politycznych na zsyłkę w głąb Rosji, których zakuwano w kajdany. Sieroszewskiemu oszczędzono tej udręki ze względu na jego szlacheckie pochodzenie. Nie mógł jednak znieść widoku innych w szczękających łańcuchach, ukrywających pod aresztancką czapką ogolone przez pół głowy. „Patrz, co oni ze mną zrobili?" – zwrócił się doń zrozpaczony Komow, pokazując swój „biały czerep do połowy ogolony, do połowy pokryty kasztanowatymi, ostrzyżonymi na jeża włosami, [...] czoło i cała twarz były ohydnie zeszpecone, w mężnych chabrowych oczach błyszczały łzy". Sieroszewski, przyciskając tę „oszelmowaną głowę" do piersi, wyszeptał tylko: „Przyjacielu!... Jakże się wstydzę, że uniknąłem tego!".

Przejechawszy pociągiem do Niżnego Nowgorodu, przesiedli się do więziennej barki, płynąc Wołgą i Kamą do Permu. Podróż statkiem miała dla ogółu swój nieodparty urok, mogli oddychać świeżym powietrzem i upajać się widokiem słońca wschodzącego nad srebrnymi wodami potężnej rzeki. W Permie za to czekało już na nich więzienie, które od piwnic do dachów „jęczało od szczęku kajdan", a potem daleka droga trójkonnymi wózkami przez Ural do Jekaterynburga.

Siedli więc po trzech na drążkowych „tarantasach", a woźnica, zwany tu „jamszczykiem" pokrzykiwał dziko i machał krótkim batem, podczas gdy konie pędziły jak szalone. Co jakiś czas zatrzymywali się na etapach wyznaczanych przez drewniane, otoczone ostrokołem budynki, przeznaczone na nocleg dla więźniów. Dziennie pokonywali od 100 do 150 kilometrów, zapuszczając się w górskie przestrzenie Uralu i ze ściśniętym sercem pozostawiali za sobą potężny słup z dwugłowymi orłami, który oddzielał Europę od Azji. Mknąc tak, mijali syberyjski Jekaterynburg, a potem Tiumeń, w którym mieściło się jedno z największych więzień, jakie dotąd oglądali. Głodnych i zmęczonych podróżą trzymało się tu przez kilka godzin na placu więziennym, strażnicy rewidowali skrupulatnie każdego, oglądali kajdany, przetrząsali bagaże, kazali na nowo zgolić do połowy głowę. W końcu załadowali wszystkich na barkę, która miała popłynąć Tobołem, Irtyszem i Obią do Tomska. W pewnym momencie zbliżało się ku nim czółenko, w którym widać było „dwa stwory ludzkie, półnagie, straszne, z wygniłymi nosami, ropiejącymi oczami, pokryte ranami i pryszczami". To Ostiacy chorzy na syfilis. Wyciągali ku wygnańcom swe zakrwawione kikuty i błagali o... wódkę, dając w zmian złotego łososia, którego i tak nie pozwalało tknąć obrzydzenie.

Dalszą drogę do Kireńska, a potem Irkucka przejść musieli od etapu do etapu „ciupasem", czyli pieszo pod konwojem zbrojnym. Sieroszewski zawsze pamiętać miał pierwszy dzień tego morderczego szlaku, gdy pędzeni na wschód szli błotnistymi koleinami i kałużami rdzawej wody, w otoczeniu etapowych żołnierzy z najeżonymi bagnetami i twarzami zbójców. Dla wielu ten pełen udręki marsz zakończył się groźnym w syberyjskich warunkach przeziębieniem, bronchitem, kaszlem, który u niejednego stał się początkiem gruźlicy. Gdy na pierwszym etapie zziębnięci i głodni padli późną nocą na drewniane prycze, z odrętwienia wyrwał ich rój krwiożerczych pluskiew, które, jak opowiada Siero-

eprasa.pl 77bfbfce1f

szewski, „hodowane dziesiątkami lat w drewnianych budynkach dochodziły do takiej wielkości i liczby, iż przedstawiały na pewno osobną odmianę, niektóre były wielkości dużego bobu, ukąszenie ich było tak bolesne, iż budziło z najcięższego snu [...], a liczba owadów tak wielka, że biała poduszka w jednej chwili stawała się czerwoną od ich ruchomego wzoru".

Myśl o wyrwaniu się z tego lodowatego piekła rodziła się w głowie niejednego nieszczęśnika. Już w krasnojarskim więzieniu, którego naczelnikiem był znany ze swego humanitaryzmu Polak Ostrowski, planowano ucieczkę, ale szyki politycznym pokrzyżowało zbrojne starcie żołdaków z więźniami występującymi w obronie swego współtowarzysza. Bunt szybko stłumiono, więźniów zakuto w nożne i ręczne łańcuchy, część osadzono w ciemnych karcerach, a pozostałych w osobnych kazamatach. Za karę nie otrzymywali ciepłej strawy, listów ani paczek, zabroniono im widzeń i spacerów. W wyniku tych restrykcji więźniowie podjęli głodówkę, stanowiącą „straszną i ostateczną broń niewolnika".

Widmo głodu zawisło zresztą nad całą posuwającą się kolumną. Coraz trudniej było o żywność, zwłaszcza za Niżnim Udinsiem, gdzie mieszkańcy okolicznych wiosek dotkniętych nieurodzajem sami przychodzili na etap, prosząc wygnańców o odrobinę chleba, soli i tytoniu. Ci zaś zakuci w łańcuchy przemierzali wolnym krokiem ponad tysiąc kilometrów w czas burz śnieżnych i czterdziestostopniowych mrozów. Wielu odzianych tylko w liche aresztanckie „tułuby" i „brodnie" (skórzane buty) poodmrażało sobie ręce, stopy i twarze. W tym stanie dotarli do więzienia w Irkucku, z którego, jak się okazało, uciekło właśnie wtedy dziesięciu katorżników. Zbiegów wkrótce pojmano, ale za ich desperacki krok ukarano wszystkich, w tym i naszych politycznych. Spędzeni do jednej sali znosić musieli ciasnotę, zaduch, brud i robactwo, do zjedzenia dostawali tylko aresztancki pajok – pół funta chleba zmieszanego z lebiodą, korą drzewa i plewami. Dla Sieroszewskiego najgorsza była jednak tortura paraszy, a więc wystawiania obrzydliwego kubła z odchodami, który wynoszony i oczyszczany tylko raz na dobę powodował, że od zaduchu i nieznośnego fetoru ludzie dostawali mdłości, wymiotów i straszliwego bólu głowy. Zaczynała szerzyć się czerwonka. „Gdy nareszcie znaczna ilość zległa prawie umierająca, pozostali zaczęli walić we drzwi, grożąc buntem, wybiciem szyb i samobójstwem masowym – ktoś nawet poderżnął sobie szkłem gardło". Kilka dni po tym fakcie Sieroszewski dowiedział się, że zamieniono mu katorgę na dożywotnie osiedlenie za kołem podbiegunowym, w Wierchojańsku.

W jurcie nad „Morzem Gnoju"

Na miejsce zesłania wyruszył wiosną 1880 roku, pędząc saniami po zamarzniętej Lenie do Jakucka, skąd konno dotarł do Gór Wierchojańskich, które pokonywał reniferowym zaprzęgiem. Po drodze mógł poznać obozujący w okolicy lud Tunguzów, który serdecznie ugościł wygnańców, częstując ich chrapami łosia ugotowanymi w wodzie bez żadnych przypraw. Sieroszewski wspominał potem, że nigdy w życiu nie jadł tak smacznej potrawy mięsnej, a chcąc się odwdzięczyć, podarował gospodarzom pół wiązki tytoniu, ćwierć „cegły" prasowanej herbaty i szczyptę cukru dla dzieci. Pokonując bezkresne lasy, po miesiącu podróży podczas wiosennych roztopów, trafił wreszcie do Wierchojańska, osady złożonej z kilkunastu skromnych chat otaczających pierścieniem podłużne trzęsawisko. Najokazalszym budynkiem był tu Dom Zarządu Policyjnego, siedziba isprawnika (urzędnika), którym okazał się Polak Kaczorowski, człowiek dość przyzwoity, łagodzący nieporozumienia między policją a miejscową ludnością i zesłańcami. Domem Sieroszewskiego stała się teraz jurta (rodzaj lichej chaty bądź szałasu) stojąca nad cuchnącymi błotami zwanymi przez miejscowych „Morzem Gnoju" (Sach-bajkał). Zamieszkiwali ją wygnańcy, żyjący w komunie, którzy wspólnymi siłami próbowali zmagać się z niedostatkiem i głodem. Sieroszewski, zaradny i przedsiębiorczy, założył tu warsztat ślusarski, szybko zdobywając sobie uznanie dobrego fachowca. Naprawiał głównie broń, a potem i zepsute zegarki, z którymi przychodziła do niego nieprzerwana procesja kozaków, kupców i urzędników. Podjął się też odlewania srebrnych ozdób, kolczyków, krzyży, pierścieni, pieczęci, które rytował i upiększał emalią. W sytuacji, gdy warsztat świecił pustkami, a głód zaglądał w oczy, polował, łowił ryby, zbierał jagody i korzonki.

Jak uciec z krainy wiecznych śniegów

Najtrudniej przetrwać było zimę, gdy mrozy dochodziły do minus 60 stopni Celsjusza (w lutym 1892 roku odnotowano tu minus 69,8 stopni Celsjusza – najniższą temperaturę w rocznikach meteorologicznych świata). „Po krótkiej nawet przechadzce – wspominał Sieroszewski – wracaliśmy ze zlodowaciałą twarzą, z oblodziałymi brodami, włosami, brwiami, z przemarzłą, chrzęszczącą odzieżą. Zimno zapierało oddech, oczy źle widziały, gdy szron sklejał rzęsy. Ręce okryte olbrzymimi, jednopalcowymi rękawicami tężały momentalnie, gdy trzeba było je na chwilę wyjąć [...]. Po takich mrozach – już minus 40°C odczuwało się jako »odwilż«. Mrozom towarzyszyły najdłuższe noce. Czterdzieści dni słońca nie widziało się wcale [...]. Zamknięci w jurtach, bezczynni, strzeżeni przez piekielne zimno i niezwykły mrok, przeżywali-

eprasa.pl 77bfbfce1f

śmy niesłychaną tęsknotę". W tych to następujących po sobie bez końca lodowatych dniach 1881 roku zrodził się wśród zniewolonych szalony pomysł ucieczki. Mieli nadzieję, że bez śladu utoną w tajdze i nikt ich w niej nie wytropi. Śmiałków było pięciu – Sieroszewski, Lion, Arcybaszew, Carewskij i Zack. Postanowili, że gdy tylko śniegi stopnieją, przedostaną się do witimskich kopalni złota bądź do Irkucka. Przedsięwzięcie zakończyło się jednak fiaskiem. Uciekinierzy błąkali się długo po lasach, wśród chmary gryzących komarów, dochodząc niemalże do punktu wyjścia swej wyprawy. Jeden z nich dostał gruźliczego krwotoku, co ostatecznie przesądziło o zakończeniu eskapady i powrocie do Wierchojańska. Na szczęście nikt w osadzie nie zorientował się jeszcze co do prawdziwych zamiarów całej piątki.

Wygnańcy nie zrezygnowali jednak z walki o swoją przyszłość. Kolejną próbę ucieczki podjęli już w następnym roku dzięki pomocy Amerykanów – uczestników wyprawy naukowej De Longa, których okręt „Janetta" rozbił się w drodze do bieguna północnego. Część z ocalonych dostała się statkiem do Wierchojańska i tutaj też zetknął się z nimi Sieroszewski. Od wyższego oficera Mellvile'a i sternika Bartelsa otrzymał cenne informacje na temat warunków podróży morskiej wzdłuż brzegów Oceanu Lodowatego do Ameryki, która trwa nie dłużej niż dwa miesiące, a przy korzystnych warunkach znacznie krócej. Sternik Bartels wykonał dla przyszłych uciekinierów rysunek łodzi, udzielając im wskazówek dotyczących jej budowy, stawiania żagli, używania wioseł i steru oraz konstruowania urządzeń nawigacyjnych. Wytłumaczył też dokładnie, jak robić pemiken, czyli suszone sproszkowane mięso zmieszane z tłuszczem, i jak przechowywać zapasy, by nie uległy przemoczeniu. Zaraz po wyjeździe Amerykanów przygotowania ruszyły pełną parą. Sieroszewski osobiście zajął się wykonaniem żelaznego okucia łodzi i dużej kuchni spirytusowej, a także przerobieniem mapy wybrzeży ze sferycznej na morską. Gdy wszystko było już gotowe, w maju 1882 roku uciekinierzy spuścili łódź na wodę, by jak najszybciej przemknąć niepostrzeżenie przez miasteczko i bardziej zaludnione okolice, co nie było zadaniem łatwym, zważywszy, że panowały wówczas białe noce i w każdej chwili mogli zostać zauważeni. Kiedy Wierchojańsk był już za nimi, gotowali się do walki z żywiołem wezbranej Jany, z jej progami i burzliwymi „bystriami" grożącymi rozbiciem o nadbrzeżne skały. Unosił ich gwałtowny prąd, raz po raz rzucając na skalisty próg. „Łódź parękroć zazgrzytała kilem – opowiada Sieroszewski – zatrzymała się, obróciła bokiem, pochyliła i fale spienione zaczęły się wdzierać na nią, grożąc zatopieniem. Wyskoczyliśmy i łódź podtrzymali, ale przepchnąć jej przez kamienistą ławicę nie udało się nam. Lodowe fale nas samych zbijały z nóg i pozbawiały sił". Aby tego dokonać, musieli wyładować część obciążających ją zapasów. Innym znów razem podczas próby pokonania wodospadu jeden z wiosłujących uderzony rudlem dostał krwotoku, łódź zaczęła silnie przeciekać, na gwałt pompowano wodę i zatykano szpary; kiedy indziej żeglugę uniemożliwiały szalone wichry i bałwany gwałtownie wdzierające się na pokład. Gdy wreszcie przed udręczonymi rozpostarła się błękitna toń morska, a na widnokręgu zamajaczyły łańcuchy białych chmur, krzyknęli jak jeden maż: „Lody!", pewni, że oto otwiera się przed nimi droga wodna do Ameryki. Sądząc, że uszli pogoni, rozłożyli się obozem i przystąpili do naprawy łodzi oraz przygotowania wieczerzy z upolowanej kuropatwy. Dobry humor opuścił ich nad ranem, gdy spostrzegli, że brakuje jednego ze współtowarzyszy, Francuza Delille'a. Jak się potem okazało, przerażony widokiem potężnych lodów i perspektywą niebezpiecznej wyprawy, w tajemnicy odłączył się od reszty i postanowił na własną rękę przedostać się do Ameryki lądem. I tak schwytała go pogoń, która z łatwością trafiła teraz na trop pozostałych. Oni zaś znaleźli już swe więzienie w lodowym potrzasku, gdy „z mgieł wynurzyły się wkrótce z klangorem białe lśniące potwory".

Za przywódcę i głównego organizatora wyprawy władze uznały Sieroszewskiego. Wiosną 1883 roku skazano go na dożywotnie osiedlenie „na kresach lasów", w miejscu oddalonym o sto kilometrów od miasta, rzeki i drogi handlowej, a ponadto na pięć uderzeń knutem, czyli długim biczem o trzech końcach zaopatrzonych w ostre, żelazne szpony, co w konsekwencji mogło doprowadzić do śmierci. Miał jednak wiele szczęścia, ponieważ w Wierchojańsku akurat knuta nie było, a sprowadzenie go z najbliższego Jakucka zajęłoby aż dwa i pół miesiąca.

Pędząc swe życie nad Oceanem Arktycznym, pośród ludu Jakutów, Sieroszewski poświęci się twórczości literackiej i badaniom etnograficznym. Stał się w ten sposób pisarzem Syberii. Na jego wygnańczym szlaku powstawały kolejne opowiadania: w Andyłachu pisany na gazetowych skrawkach „Chajlach", w Jąży – „Jesienią", w Bajagantajskim Ułusie – „Skradziony chłopak", a także powieści „Za kołem biegunowym" i „Na kresach lasów", które stanowiły literackie przetworzenie syberyjskich doświadczeń pisarza. Na lodowych pustyniach Syberii to książki właśnie ocaliły go od wszechogarniającej melancholii, choroby wygnańców. „Wszystkie pożarłem jednym tchem – wyznawał – następnie odczytywałem je wiele razy już wolniej, rozkoszując się nimi i rozmyślając nad ich treścią. [...] Odtąd szczególną miłością pokochałem książkę, jako wiernego, bezinteresownego przyjaciela. Tam również w trudnych syberyjskich warunkach poznałem z bliska też inną właściwość książki – jej potęgę twórczą i wychowawczą". ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Ewa Polak-Pałkiewicz

Księżniczka, która nie bała się ludzi, psów i koni

„[...] zetknęłam się z ludźmi, którzy naprawdę nie mieli nic. Może ich największym ubóstwem było to, że sami siebie uważali za szmaty. Dlatego właśnie się nimi zajęłam... Postanowiłam ich kochać, szanować i słuchać, a oprócz tego także nakarmić" – pisała Elżbieta z Lubomirskich Stadnicka.

eprasa.pl 77bfbfce1f

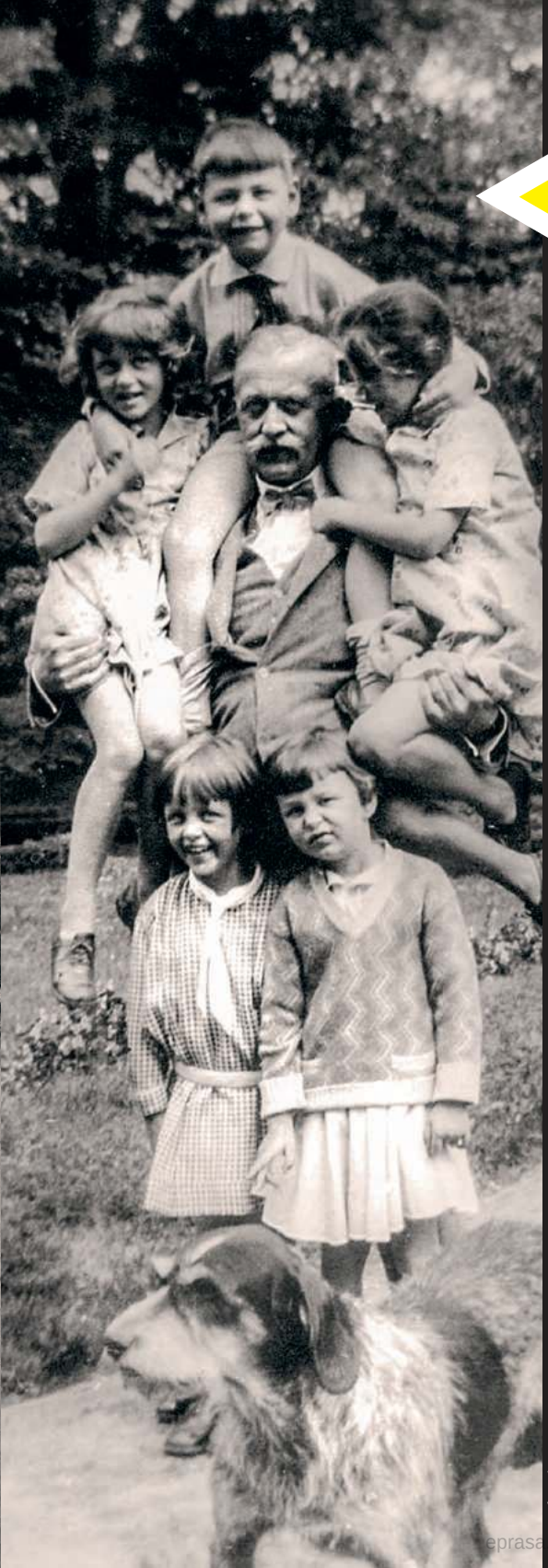

fot. arch.

Niektóre sceny z dzieciństwa pamięta się przez całe życie. W mojej pamięci pozostał na zawsze wyjazd z rodzicami i siostrą do podczęstochowskiej Kruszyny. Kruszyna to zwykła wieś. Niezwykły jest położony nieopodal wsi ogromny, zdziczały park, a w nim – wyłaniający się z burzy zieleni, po kilometrowym spacerze, ogromny stary pałac. Cały i zdrowy, tylko w przedziwny sposób ogołocony ze wszystkiego, co mogłoby wskazywać, że toczyło się tu kiedyś barwne, pełne przygód, ale i łez wylewanych obficie życie historycznego rodu. Że biegało po jego lśniących posadzkach (wydartych teraz z podłoża do żywego kamienia) blisko pół setki dzieci, że wychowywało się tutaj, żeniło i umierało kilka pokoleń. Dziedziniec i podwórze pełne były rżenia koni, poszczekiwań psów, odgłosów domowego ptactwa.

Kareta Lubomirskich

Elżbieta z Lubomirskich Stadnicka, autorka wspomnień, w których ten pałac się pojawia, była przekonana, że Matka Boska Częstochowska darzy jej rodzinę szczególnym uczuciem, nie tylko z powodu ufundowania przez nią bramy wiodącej na Jasną Górę i wybudowania połowy klasztoru, lecz głównie dlatego, że jej pradziadek Eugeniusz Lubomirski wraz z żoną osobiście przywiózł z Rzymu koronę dla Maryi i Dzieciątka z Cudownego Obrazu (ufundował ją św. Pius X). Elżbieta jako dziecko oglądała w wozowni kruszyńskiego pałacu specjalnie na ten cel obstalowaną ogromną karetę, którą para małżeńska, wraz ze stangretem i służbą pojechała do Wiecznego Miasta. Było to wielkie wyróżnienie i honor, nawet jak na tak zasłużony dla Polski stary hetmański ród.

Z pałacu w Kruszynie Niemcy podczas wojny wywieźli dwanaście wagonów mebli (ukradli także tekę ze 152 rysunkami Dürera złożoną przez rodzinę Lubomirskich w Muzeum Ossolińskich we Lwowie – Hitler osobiście wysłał po nią paru konwojentów). Resztę dzieł sztuki i mebli z Kruszyny zrabowali Sowieci i komuniści. „Dowiedzieliśmy się kiedyś z gazet, że ogromny obraz »Bitwa pod Sztumem«, który wisiał u babci, Bierut podarował jakiemuś ministrowi z Belgradu... Rubens nigdy się nie odnalazł, a Tycjan jest w amerykańskim muzeum. Jednak my nigdy nie mieliśmy prawa niczego odzyskać".

Godzinami z siostrą brodziliśmy wśród opadłych liści po przedziwnym parku-lesie. Były wczesne lata 70. Pachniało ziołami w wysokiej na metr trawie, zbutwiałym drewnem, przemykały pod drzewami sarny i zające. Tajemnicze, przez swój ogrom, szare, głuche mury majestatycznej budowli, otwarta na oścież brama, pustka, jakby zamierzone przez kogoś bezludzie i oddalenie tego miejsca od wszelkiego gwaru, potęgowały wrażenie nierealności. Dlaczego moi rodzice w tych odległych peerelow-

eprasa 77bfbfce1f

skich latach przywozili nas do tego miejsca, dowiedzieć miałam się dopiero po latach.

W tym pałacu przed wojną Elżbieta mieszkała z rodzicami, dziadkami i trójką rodzeństwa. Choć lubiła się bawić, kochała swoich bliskich – wcześnie straciła ojca i młodszą siostrę – lubiła jednak także samotność. Oraz krążenie po wsi, zaglądanie do domów wieśniaków. Kontrast między tym, co tam widziała, a życiem swojej rodziny doprowadzał ją do rozpaczy. Czuła niepokój, czuła, jakby jej życie było trochę „życiem na niby". Miała rozdarte serce.

Po ponad stu pokojach pałacu i po pomieszczeniach gospodarczych w oficynach kręciło się ponad sześćdziesięcioro służby. Do stołu siadano wraz z gromadą rezydentów. W lecie na aksamitnym trawniku przed frontem pałacu co tydzień wymieniano kompozycje kwiatów, ich wielobarwne, pachnące dywany zmieniały się jak w kalejdoskopie. Parę razy w roku wszystkie okna pałacu rozjarzały się światłami, w lasach majątku urządzano wtedy wielkie polowania. Przybywały dziesiątki gości, w salonie rozbrzmiewała do późnej nocy muzyka. Na każdym piętrze, w co drugiej niemal sali znajdował się fortepian; ojciec Elżbiety, Władysław Lubomirski, był kompozytorem i pianistą.

A przecież sama Elżbieta była świadkiem ogromnej solidarności swoich bliskich z wszelką ludzką biedą i mądrze świadczonej pomocy tym, którzy są w potrzebie. Jej ukochana niania, Marcjanna Chądzyńska, zwana Cinią, była garbuską. Znalazła się w pałacu w Kruszynie w dramatycznych okolicznościach. Babcia Elżbiety, Natalia z Zamojskich, przejeżdżając powozem przez sąsiednią wieś, dostrzegła grupę dzieci siedzącą wokół czegoś, co wyglądało jak głowa dziewczynki. Istotnie, dziewczynkę zakopano w ziemi, bo ktoś powiedział, że „ziemia wyciąga garby". Ta pięciolatka została natychmiast odkopana i wzięta na ręce przez babcię Elżbiety. Na jej prośbę rodzice dziecka zdecydowali się oddać ją na wychowanie do pałacu. Pozostała wątła i niziutka, ale wśród Lubomirskich czuła się jak w rodzinie. Została pomocnicą guwernantki, potem główną powiernicą i opiekunką dzieci Lubomirskich. Po wojnie mieszkała z Elżbietą, pomagając w prowadzeniu domu, pielęgnując jej dzieci w chorobie, modląc się za nie. Gdy jeden z synów Elżbiety ciężko zachorował, w jego intencji przez pół roku spała na stole.

„Nie będę o tym dyskutował"

Jednym z najbliższych małej Elżbiecie pracowników pałacu był Marcin Gąsior. Zaprzyjaźniła się z nim, gdy miała pięć lat. Był odźwiernym wielkiej bramy wjazdowej do pałacu. „Kiedy tylko mogłam, szłam do niego na rozmowę. Zazwyczaj siedział na krześle przed bramą i drzemał. Przynosiłam mu kwiatki zerwane przy drodze oraz różne smutki do rozpatrzenia. Nieszczęść w tym czasie przytrafiało mi się sporo, jako że nauczycielki były okropne, mama nie miała czasu, dziadzio nie zawsze był w Kruszynie, swoje żale wylewałam więc przed panem Marcinem, który później szedł ze mną, żeby pokazać mi zabitą żmiję lub zaskrońca. Lubił chrząszcze i miał wielką księgę, w której szukaliśmy ich nazw. Tylko gdy opowiadałam mu o Panu Bogu, zawsze odpowiadał: »Za przeproszeniem księżniczki, nie chcę o tym dyskutować«. [...] Dwa razy udaremnił moją ucieczkę z domu. Raz, gdy z walizeczką pełną zapasów zbieranego chleba postanowiłam zobaczyć, co znajduje się za bramą. Drugi raz, gdy byłam już starsza i postanowiłam wyjść za bramę, by poznać ten nieznany, olbrzymi świat... A wtedy on łagodnym głosem zawołał: »Może innym razem będzie łatwiej?«". Gdy ciężko zachorował i wszyscy wiedzieli, że umiera, przybiegła do niego, by zaproponować wizytę księdza. Obruszył się tylko, żona z płaczem powiedziała: „Widzi księżniczka, on nie chce Pana Boga ani księdza". Ale Elżbieta nie przyjęła tego do wiadomości. Popędziła do zakonników z sąsiedztwa i wybłagała, żeby ktoś z nich przyszedł ze świętymi olejami, „bo jeśli pan Marcin go zobaczy, z pewnością zmieni swoje podejście". „Tak też się stało. Pan Marcin ujrzawszy księdza, ucieszył się, wyspowiadał, przyjął oleje święte i umarł, jak przystało na chrześcijanina". Podobna scena miała się powtarzać w życiu bohaterki tej opowieści wiele razy. Po kilkudziesięciu latach, mieszkając we Francji, stała się opiekunką bezdomnych, chorych i umierających.

Czy była to tylko zasługa jej wyjątkowej wrażliwości? Wychowanie w kruszyńskim pałacu było surowe i mądre: dzieci były traktowane przez dorosłych jako istoty rozumne, w dodatku obdarzone doskonałą pamięcią. Nie trzeba było wypowiadać wielu słów, by przekazać im podstawowe zasady życia, podstawowe prawdy moralne. Przeciwnie, im mniej było słów, tym dzieci lepiej rozumiały. Wiedziały, że są traktowane poważnie.

Włóczędzy, Cyganie i stara pijaczka

Włóczędzy, którzy chodzili od dworu do dworu, wiedzieli, że tutaj zostaną nakarmieni. „We wsi, gdzie znałam wszystkich mieszkańców, była ochronka, w której nauczycieli opłacał mój dziadzio... Rólka, moja siostra, zanosiła tam wszystkie swoje zabawki. W naszym domu była tak zwana kuchenna, która gotowała tylko dla biednych. Wszyscy mogli tam przyjść. Kiedyś zjawił się tam jakiś biedny, a kuchenna zamknęła drzwi, bo już było bardzo późno. Zdarzyło się to podczas naszej kolacji. Widziałam, że biedny nic nie dostał i czeka przy drzwiach. Denerwowałam się tym bardzo, zwłaszcza że wszyscy siedzieli najspokojniej przy stole. Dziadzio zapytał, o co mi chodzi. – O to, że tam stoi biedny i nic nie dostał do jedzenia. – Czemu nie dasz mu czegoś od siebie? – Ale ja nic nie mam – odparłam zdziwiona. – Jak

eprasa.pl 77bfbfce1f

to nie masz? Przecież masz swój talerz zupy. Czemu jej nie oddasz? Wobec tego moja zupa została oddana temu biednemu, a ja obeszłam się smakiem. Zapamiętałam tę lekcję troski o ubogich, jakiej udzielił mi mój dziadzio – raz na zawsze".

Nauka pomagania biedniejszym od siebie nie zawsze szła jak z płatka. Mała Elżbieta wpuściła kiedyś do kuchni pałacowej grupę Cyganów i zachęcała ich gorąco, pod nieobecność służby, by zabrali sobie, co im najbardziej przypada do gustu („bo my mamy wszystkiego za dużo"). Ktoś z nich chwycił jakiś rondel, inny się obruszył; niewiele brakowało, wybuchłaby bijatyka. Jeden ze służących pobiegł do Stefana Lubomirskiego wołając, że „księżniczka Elżbieta rozdaje garnki Cyganom". Nie było żadnej kary, tylko poważne pouczenie dziadka, że rozdawać można tylko to, co jest naszą własnością. „Nie wolno ci dawać tego, co do ciebie nie należy". I rzeczywiście, niebawem Elżbieta oddała swoją ukochaną kurę, którą nazywała Złotopiórka (opiekowała się także w tym czasie dziesięcioma kanarkami) kobiecie w łachmanach, którą spotkała na podwórzu i z którą odbyła długą rozmowę, wyliczając, jak bardzo odmieniłoby się jej życie, gdyby zaczęła sprzedawać jajka tej kury i zainwestowała z czasem w małą kurzą fermę. Kobieta była entuzjastycznie nastawiona do tej perspektywy. Na nic zdały się obcesowe wtargnięcia służącej Marysi do tej rozmowy: „Proszę księżniczki... To jest pijaczka, często leży w rowie". Złotopiórka została oddana, obficie skropiona łzami pożegnania Elżbiety. Przy kolacji mama, Róża z Broel-Platerów, oznajmiła wszystkim zebranym, że Elżbieta oddała kurę (którą niby to tak bardzo kochała) pijaczce: „A czy wiecie, co się stało z tą Złotopiórką ukochaną? Została zarżnięta, oskubana i sprzedana pani Pieskowej – za wódkę". „Nie wiem, jakim cudem wtedy nie zemdlałam" – dodaje Elżbieta. Jedno jest pewne, wychowanie w pałacu w Kruszynie to nie było wychowanie bezstresowe.

Przebaczone!

Kruszyna i jej mieszkańcy to nie był zwykły arystokratyczny świat, pełen dystansu do tego, co na zewnątrz. To był świat wychodzący ku prostym ludziom, zatroskany o ich los. Tak jak wszystkie katolickie rodziny tej sfery, czego dziś się nie rozumie i nie docenia. Wspominając mieszkańców wsi, Elżbieta podkreśla, że jej rodzina była kochana i szanowana „za przystępność i za dobroć". Dlatego odpowiadano im respektem, przywiązaniem, serdecznością i lojalnością. Po wojnie, w czasach nędzy, jej siostra dostała od dawnej służby wyprawkę dla swojego pierworodnego syna. „W 1946 roku przyjechał ktoś do Krakowa, prosząc, by wuj Stefan i mama udali się do Kruszyny i powiedzieli ludziom, że mogą brać ziemię należącą do rodziny. Nikt z chłopów nie chciał jej brać za darmo. Wtedy mama z wujem wybrali się do Kruszyny i mama poprosiła w imieniu dziadzi i rodziny: – Weźcie ziemię, bo inaczej zrobią tu kołchoz, a to będzie gorsze i dla was, i dla wszystkich. Dopiero wówczas mieszkańcy zgodzili się wziąć tę ziemię. Tak było w wielu majątkach".

„W naszym domu – wspomina Elżbieta czas wojny – znajdowała się wielka, wspólna fotografia Natalii [siostry – przyp. EPP] i moja. Było to zdjęcie trzynastolatek ubranych w szkolne mundurki. Po zajęciu pałacu niemiecki oficer zdjął tę fotografię, wyrysował na niej dwa sztylety pod naszymi szyjami i dwa pistolety skierowane na nas: jeden ku Natalii, a drugi na mnie. Następnie podpisał (podał cały swój adres) i umieścił napis po niemiecku: »Ja tak zrobię ze wszystkimi dziewczynami polskimi, jak z tymi księżniczkami«. Mama dostała później to zdjęcie. A gdy rozpoczął się proces norymberski, chcieliśmy, żeby je tam posłała na dowód, że ledwo zaborca wszedł do kraju, a już pragnął zabijać dzieci. Nie chciała tego zrobić, powiedziała: »My nie mamy się mścić! Nie zrobimy tego! Już przebaczone!«. Mama była kobietą piękną zewnętrznie i wewnętrznie".

Wielka tułaczka i azyl pod górami

Historia wygnania rodziny z rodzinnego gniazda – do którego już nigdy nie mieli wrócić – i ucieczki przed Niemcami, na wschód, potem przed Sowietami – ze Lwowa, jest tragiczną opowieścią, pełną nieprawdopodobnych trudów, życia na granicy śmierci, wycieńczenia z chorób i głodu. Tak jak wiele innych kochających się rodzin nie chcieli nigdy się rozdzielać; udało im się po wielu miesiącach dobrnąć do Krakowa. Stamtąd niedaleko już było do Nawojowej, historycznego majątku hrabiów Stadnickich, dalekich kuzynów Lubomirskich. W nawojowskim pałacu dziewiętnastoletnia Elżbieta rozpoczęła nową przygodę młodości, wiążąc się przysięgą wojskową z AK-owskim podziemiem (wcześniej kończąc w ramach tajnych kompletów liceum, zdając maturę i rozpoczynając studia uniwersyteckie). Tutaj poznała jedyną miłość swojego życia, jednego z dowódców AK-owskiej partyzantki tego rejonu, zarazem jednego z najdzielniejszych żołnierzy Podziemia, Józefa Stadnickiego. Mimo że zmagał się z ciężkim kalectwem po przejściu choroby Heinego-Medina, poruszał się o kulach, dokonywał słynnych na całym Podkarpaciu akcji dywersyjnych, najczęściej w pojedynkę. Koordynował pracę szlaku przerzutowego na Węgry oraz łączności zagranicznej. Przez dwa ostatnie lata wojny Józef Stadnicki (pseudonim „Kazimierz", „Kobuz", „Madej", „Rydwan") ukrywał się w górach, pozostając komendantem placówki ZWZ-AK „Narcyz", w randze porucznika. Została jego żoną i matką ich pięciorga dzieci. Jego rodzice, Stefania i Adam, darzyli ją przez całe życie wielkim szacunkiem i miłością...

O teściu, Adamie Stadnickim, Elżbieta pisze: „Mój teść, Adam Zbigniew Leon hrabia Stadnicki ze Stadnik

eprasa.pl 77bfbfce1f

herbu Drużyna, był uosobieniem człowieka prostolinijnego, o wielkim sercu. Zaraz po wojnie, gdy cała rodzina była pozbawiona wszystkiego i wywłaszczona, musiał znaleźć sobie miejsce, by móc dalej jakoś żyć... Tuż przed wyrzuceniem nas z Nawojowej, Stefania Stadnicka oznajmiła: – W kasie majątku zostało jeszcze trochę pieniędzy, jakieś osiem tysięcy złotych. Poprosiła, żeby mąż wziął te pieniądze i rozdzielił między wszystkie dzieci... My z Józiem chcieliśmy się udać do Krynicy. Ale Adam Stadnicki oznajmił wtedy żonie: – Nie ma już tych pieniędzy. – Jak to nie ma? Przecież parę dni temu mówiłeś mi, że są w kasie majątku i można je wziąć. – Pieniędzy tych już nie ma – odparł – bo wypłaciłem służbie i gajowym pobory na sześć miesięcy naprzód. – Jak mogłeś to zrobić? – krzyknęła w rozpaczy. – Zrobiłem tak, jak trzeba było – powiedział stanowczym głosem. – Jak to możliwe?! – zaczęła krzyczeć moja teściowa, ogromnie zdenerwowana. Wtedy Adam Stadnicki pierwszy raz podniósł na nią głos, mówiąc: – Przestań krzyczeć. Zrobiłem tak, jak trzeba było zrobić... Moja teściowa cała roztrzęsiona poszła poskarżyć się komuś. Zostaliśmy bez grosza... Po pewnym czasie mój teść pocałował mnie w rękę i powiedział: – Przepraszam, że pozwoliłem sobie krzyknąć na mamusię przy tobie".

▶ Macie pojęcie, co to ojczyzna?

Życie w Krynicy okazało się kolejną próbą. Młodzi Stadniccy byli tu personami non grata. W późnych latach 40. na ulicach Krynicy porozwieszano wielkie afisze z wizerunkiem robotnika, który butem kopał małych pokracznych ludzików opisanych jako „Gestapo, Niemiec, bankier, arystokrata". Dopiero po śmierci Stalina, po wielu szykanach, pozwolono małżonkom Stadnickim podjąć oficjalnie pracę. Józef Stadnicki zatrudnił się jako księgowy w spółdzielni fotograficznej, a Elżbieta w składzie węgla. Wtedy ktoś napisał donos na Józefa, że wykonywał także jakieś dorywcze prace dla Kościoła. Istotnie, tak było, „bo kiedy byliśmy strasznie biedni i głodni, pojechałam do Częstochowy, do ojców paulinów: »Wiecie pewnie, ile kościołów ufundowali Lubomirscy? Pomóżcie nam. To nawet jest wasz obowiązek pomóc fundatorom, jak nie mają nic«. Ojcowie paulini od tego czasu przesyłali nam całe paki świętych obrazków do przycinania (...) było co jeść. Mogliśmy też pomóc innym, wziąć dzieci na wychowanie itd.". I w taki sposób, w ich mieszkaniu w willi „Miła" oprócz piątki małych Stadnickich wychowało się jeszcze kilkoro dzieci obcych ludzi – w tym dziecko niewidome, opóźnione w rozwoju – wziętych z powodu sieroctwa, ze skrajnej biedy, z urągających warunków... Miały tu dom, ciepło rodzinne, względny dostatek, opiekę medyczną, mądre wychowanie.

Żeby jednak utrzymać siedzibę w starej, drewnianej willi, małżonkowie musieli stoczyć walkę z miejscową komórką partyjną. Któregoś dnia od znajomego dorożkarza dowiedzieli się, że komuniści naradzają się w siedzibie gminy, jak ich stamtąd ostatecznie wykurzyć. Był środek zimy. Józef podjął natychmiastową decyzję, że trzeba tam jechać. „Wyszedł na tych swoich biednych nogach, podpierając się laskami, ja go podtrzymywałam, dorożkarz pomógł nam wejść do sań. Zajechaliśmy przed duży, piękny budynek...". Ktoś usiłował im zagrodzić drogę, ale nie dali się zastraszyć. „Weszliśmy na pierwsze piętro, Józio z wielkim trudem... Podeszliśmy do olbrzymich drzwi, a on z całej siły uderzył w nie swoją dębową laską. [...] przy stole siedziało kilkanaście osób. Józio podszedł do nich i tą dębową laską mocno uderzył w stół, aż wszystko na nim podskoczyło. – Wy nas sądzicie? – wykrzyknął. – Wy macie coś przeciwko nam? Wy nie pozwalacie nam tutaj mieszkać? A gdzie byliście, kiedy ja, chory, nadstawiałem karku, a mój brat zginął wraz z tysiącami innych ludzi? Gdzie wy wtedy byliście? – Oni milczeli, a Józio mówił dalej: – A moja żona, ma dwadzieścia cztery lata i choć jest księżniczką, nic złego nie zrobiła. Cały czas walił w stół. Ja zawsze byłam w nim zakochana, ale wtedy zakochałam się wprost na śmierć! – Zaraz, my jeszcze nie podjęliśmy decyzji – powiedzieli. – To podejmijcie decyzję teraz, bo ja jestem obywatelem Polski i Polska jest moją ojczyzną. A wasza ojczyzna gdzie jest? Macie pojęcie, co to jest ojczyzna, czy nie? Nadstawialiście karku jak my? Podpisać mi zaraz, że możemy tu zostać! Wszystko podpisali, a my wyszliśmy... Podczas ciężkich prób i potem, gdy dzieci trochę podrosły, było nam bardzo trudno i wtedy mój mąż zawsze mi mówił: – Pamiętaj, jak tylko trochę się ukłonisz, to szybko ugniesz się aż do ziemi".

Ten niezwykły, pełen hartu i niezłomnej woli człowiek kilka lat później, w 1960 roku, zginął w wypadku – pojechał na motorze do Warszawy, by szukać u znajomych lekarzy pomocy dla ciężko chorego syna. Elżbieta została sama z piątką dorastających dzieci (troje z nich poważnie wtedy chorowało). Przeniosła się z nimi do Poznania, bo tu słynny chirurg, prof. Dega, zgodził się operować jej syna.

W mieście rządzonym przez dwóch komunistów, Jana Szydlaka i Jana Kusiaka, musiała wcielić w życie rodzinną dewizę, że nie można nigdy bać się ludzi, psów i koni. Długo walczyła o zameldowanie i przydział obiecanego jej mieszkania (w zamian za odebrane w Krynicy) z kliką Kusiaka. Któregoś dnia, wiedząc, że tłem odmowy jest spór między dwoma frakcjami lokalnej partii, wdarła się po prostu, odpychając rozpaczliwie broniącą drzwi sekretarkę, do jego gabinetu. Stając przed nim, krzyknęła mu w twarz coś, czego nikt nigdy by się po niej nie spodziewał: „– Panie Kusiak, wie pan, co to jest dzika maciora, która ma małe dzieci?! Ona i lwa zagryzie, żeby tylko ich bronić! A ja jestem taka sama! Ja się was nie boję, to wy się mnie bójcie! Muszę tu mieszkać z dziećmi, bo mój syn będzie ope-

eprasa.pl 77bfbfce1f

rowany przez profesora Degę! Po paru dniach dostałam pozwolenie na zameldowanie w Poznaniu. Mówili mi, że jestem jedyną osobą, która wygrała z Kusiakiem".

Czy zechce pan kupić książkę, monsieur?

Pracując dorywczo jako tłumaczka, na Targach Poznańskich Elżbieta poznała Francuza, dyrektora jednej z firm, który w pierwszym dniu znajomości zaproponował jej małżeństwo. Uznała ten pomysł za niedorzeczny, nic ją z tym człowiekiem nie łączyło, nie czuła do niego żadnej sympatii, a jednak po jakimś czasie uległa perswazji dalszej rodziny i wzięła z nim ślub... Dla dobra dzieci, którym nie mogła w komunistycznej Polsce zapewnić przyszłości. Wyjechała do Francji z dziećmi; chory syn, któremu groziło ciężkie inwalidztwo, znalazł tam pomoc, odzyskał sprawność. Małżeństwo z Francuzem okazało się tragiczną pomyłką. Elżbieta, wyśmiewana i pogardzana przez jego rodzinę (większość z jej członków należała do partii komunistycznej), dochowała mu jednak wierności, wyciągnęła z alkoholizmu, chroniła i pomagała zmagać się z chorobą psychiczną. Jego chorobliwe skąpstwo spowodowało, że musiała szukać pracy, by zarobić na podstawowe utrzymanie siebie i dzieci. Zaczęła od sprzedawania na ulicy ołówków i kalek, potem proponowała kupno książek, chodząc po prywatnych domach w podparyskich dzielnicach, skończyła jako sprzedawczyni eleganckich mebli w Printemps. Opiekując się coraz bardziej niedołężnym mężem – w międzyczasie miał tragiczny wypadek i rozbił sobie głowę; na dwa lat utracił pamięć – doprowadziła go do wiary. Na parę tygodni przed jego śmiercią wspólnie się modlili.

Po latach także moja rodzinna historia związku z Kruszyną się wyjaśniła. Moja śp. Mama pokazała mi zrobioną przez siebie w 1943 roku fotografię. Przedstawiała ona cztery młode, delikatnie uśmiechające się kobiety, siedzące nad brzegiem jeziora, u stóp górskiego pasma, na tle wody i łanu kwitnącej gryki. Scena miała ogromny urok, tchnęła spokojem, czuło się echo dawnego polskiego życia, jakby wojna toczyła się gdzieś daleko. Zdjęcie zostało zrobione nad Jeziorem Rożnowskim, niedaleko Nawojowej. Mama wraz z tymi czterema paniami była wówczas gościem pałacu Stadnickich, który przyjmował także, oprócz wielu innych ludzi działających w konspiracji – w ramach podziemnej akcji „Uprawa" vel „Tarcza" – potrzebujących wypoczynku nauczycieli prowadzących tajne nauczanie w Warszawie. Tymi osobami były tego lata właśnie moja Mama i jej koleżanki z UW. Mama przygotowywała także do wojennej matury synów Stadnickich, wszyscy byli w partyzantce, w tym najprawdopodobniej Józefa, wówczas już męża Elżbiety. Po wojnie, w peerelowskiej szarzyźnie, ta szczególna chwila przeżyta w pięknym miejscu, u stop Beskidów, wśród ludzi oddanych bez reszty Polsce, była pięknym wspomnieniem. Ono zaprowadziło po latach moich Rodziców do zdziczałego parku pod miastem mojego dzieciństwa, gdzie stał wielki, stary dom, z wyłupionymi oknami, bez drzwi, posadzek, marmurowych posągów i sztukaterii. Pozbawiony wszystkiego, co mogłoby przypominać jego wielkość i chwałę.

Żebracy i inni brzydko pachnący bracia

W tym czasie Elżbieta Lubomirska-Stadnicka na francuskiej prowincji odchowawszy dzieci, które wkrótce założyły rodziny – część z nich wróciła do Polski – zajęła się tym, co było jej zawsze upragnionym zajęciem – opieką nad biedniejszymi od siebie. Bezdomnymi, chorymi, także zdziczałymi od samotności i braku nadziei. Najpierw odwiedzała ludzi długo przebywających w szpitalu. Starała się mówić im o Bogu – we Francji nie ma kapelanów szpitalnych – towarzyszyła im przy śmierci; była przerażona, że tak wielu ludzi umiera na szpitalnym łóżku w kompletnej samotności. Potem zaczęła także przyjmować u siebie w mieszkaniu ludzi potrzebujących noclegu czy jakiejkolwiek formy pomocy, czasem tylko rozmowy, ogrzania się, wypicia kawy. Po latach doprowadziła do tego, że w jej miasteczku powstał dobrze wyposażony dom dla ludzi ulicy, których wyrzucono na śmietnik, którzy nie mieli nikogo. „[...] zetknęłam się z ludźmi, którzy naprawdę nie mieli nic. Może ich największym ubóstwem było to, że sami siebie uważali za szmaty. Dlatego właśnie się nimi zajęłam... Postanowiłam ich kochać, szanować i słuchać, a oprócz tego także nakarmić". Gdzie tych ludzi znajdowała i przedstawiała im swoją ofertę? W publicznych toaletach, gdzie spali odurzeni alkoholem, w pobliżu miejskich śmietników. „Czasem żartowałam, że może otrzymałam dar oswajania dzikich zwierząt. Po upływie miesiąca okazało się, że mój lokal jest tak samo znany jak inne bary, tylko bez licencji alkoholowych. W końcu doszło do tego, że nieznani ludzie krzyczeli za mną na ulicy: »Elizabeth, czy to ty«? Kiedy zaczęłam urządzać wspólne Wigilie, zawsze robiłam bardzo ładne zaproszenia drukowane na specjalnych kartonikach. Wiedziałam, że takie zaproszenie jest lepsze niż befsztyk. [...] Dopiero wiele lat później zrozumiałam, że tak naprawdę nie mogę być uboga w porównaniu z ludźmi naprawdę dotkniętymi ubóstwem, ja i tak pozostanę bogata dzięki temu, co otrzymałam, dzięki wierze, wychowaniu, wykształceniu, kulturze i miłości, jakiej doznałam od wielu osób". Najpiękniejszym darem dla niej samej był fakt, że mogła roznosić chorym Komunię świętą, tym w szpitalu i w domach prywatnych.

Zmarła w listopadzie 2017 roku we Francji i – jak powiedziała jej wnuczka w mowie pożegnalnej – „Więcej świętych moja rodzina chyba nie znała". ■

Elżbieta Lubomirska-Stadnicka, „Na krawędzi epok", Rosikon Press, Warszawa 2019.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Piotr Lisiewicz

Największą zmorą obecnych relacji polsko-żydowskich jest brak uczciwej rozmowy i czytelnego formułowania wzajemnych oczekiwań. Środowiska żydowskie, nieprzychylne Polsce z różnych powodów, żerowały przez lata na politycznej poprawności, pedagogice wstydu, wymuszając na Polakach nieszczere przeprosiny za winy nieprawdziwe bądź wyolbrzymione. Niewypowiadane oficjalnie przez Polaków pretensje do Żydów – na przykład o udział niektórych z nich w stalinowskim aparacie represji – tworzyły atmosferę, w której krytyka Żydów stała się dla części Polaków wyrazem nonkonformizmu, niepodatności na wpływy czy wręcz uczciwości. Na tym żerowały z mniejszym lub większym nasileniem grupy polskich „narodowców", łączących demonizowanie Żydów, uznawanie konfliktów z nimi za samo centrum polskiej polityki, ze sprzyjaniem interesom Rosji w Polsce.

Tak się dalej nie da. Nawiązanie zdrowych relacji polsko-żydowskich możliwe jest jedynie w sytuacji, gdy obie strony uznają posługiwanie się starym orężem za archaiczne i nieprzynoszące im zysków. Zastąpić je powinna uczciwa rozmowa, w której oczekiwania formułowane są wprost i stają się przedmiotem sporu, a jeśli tylko się da, powinny one doprowadzić do satysfakcjonującego obie strony rozwiązania, czasami także kompromisu.

Dowodem na to, że tak bywało w przeszłości, jest tekst żydowskiego narodowca, syjonisty, pisarza i dziennikarza Nahuma Sokołówa, który ukazał się w 1906 roku na łamach wychodzącego w Warszawie w języku jidysz pisma „Der Telegraf". Przedrukował je w wersji skróconej po polsku w tym samym roku „Głos Żydowski" i to z niego pochodzi niniejszy przedruk. Dodajmy, że Nahum Sokołów został później, w latach 30., prezydentem Światowej Organizacji Syjonistycznej.

Nahum Sokołów jako żydowski nacjonalista pisze o uzasadnieniach owego nacjonalizmu, a jego słowa brzmią jak podobne uzasadnienia, formułowane przez Polaków o. Jacka Woronieckiego i o. Józefa Bocheńskiego. Wskazuje jasno, w jakim zakresie – dodajmy, że szerokim – narodowcy żydowscy wspierają polskie dążenia niepodległościowe. I równie czytelnie opisuje cele polityczne własnego środowiska, w tym zdecydowany sprzeciw wobec asymilacji Żydów w Polsce.

Takich deklaracji, które wyjaśniają stosunki polsko-żydowskie, wskazują wspólne interesy i różnice, bardzo brakuje dzisiaj, dlatego pouczająca to lektura.

Nahum Sokołów

Polska nie będzie dla nas Palestyną

Nasz ideał terytorialno-polityczny polega na odrodzeniu Żydów na ziemi ich przodków. Żydzi odrodzić się muszą jako naród, ale ideału tego nie urzeczywistnimy w krajach rozproszenia, nawet tam, gdzie Żydzi uzyskali zupełne równouprawnienie. Naród może się swobodnie i wszechstronnie rozwijać tylko we własnym kraju.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Oskarżenia w prasie polskiej narodowców żydowskich o wrogi stosunek do Polaków, aczkolwiek z gruntu fałszywe i bezpodstawne, nie mogły dotąd być obalane z powodów od nas niezależnych. Dopiero teraz, przy większej swobodzie drukowanego słowa, jesteśmy w stanie sprawę tę wyświetlić i jasno zaznaczyć stanowisko, jakie wobec rdzennej ludności zajmujemy.

▶ Czym jest nacjonalizm żydowski

Przede wszystkim wypada nam wspomnieć, iż Żydzi narodowcy w ogóle więcej ujawniają zrozumienia dla dążności narodowościowych innych grup narodowych, niż Żydzi asymilatorzy. Głodnego nie syty, lecz tylko głodny rozumie. Ludzie, cieszący się dobrobytem materialnym, przeważnie nie są w stanie zgłębić doniosłej kwestii proletariatu. Również narody wolne, w swym rozwoju indywidualnym niekrępowane, nie mogą odczuć całej zgrozy głodu nacjonalnego u narodów upośledzonych.

Nasz nacjonalizm, rozumie się, nie ma nic wspólnego z nacjonalizmem, opartym na wstrętnej pysze i nienawiści dla ludzi innej narodowości. Z tą parodią nacjonalizmu, z tym szowinizmem, spostrzeganym nieraz u narodów silnych i szczęśliwych, rozporządzających potężnymi armiami i niewyczerpanymi bogactwami, posiadających własne instytucje, język i piśmiennictwo, z nacjonalizmem Grüngmutów, Pücklerów i Drumontów nie można porównać walki o swobodny rozwój narodowościowy.

▶ Solidaryzujemy się z wami, bo jesteśmy sjonistami

Polacy są narodem gnębionym i uciśnionym zarówno pod berłem rosyjskim, jak w zaborze pruskim. Głodnego tylko głodny rozumie. My, narodowcy żydowscy, zwłaszcza sjoniści, odczuwamy, że tak powiemy, nadzwyczajny głód narodowościowy i terytorialny. Wiele, bardzo wiele już upłynęło czasu od chwili, kiedy nas przemocą, żelazem i krwią, oderwano od własnej ziemi, a zadana nam wówczas rana jeszcze się nie zabliźniła. My dążymy do odzyskania utraconego kraju naszego, z którego nas brutalnie wydziedziczono. Na tej właśnie dążności polega sjonizm polityczny.

Nie jest to bynajmniej żaden kaprys z naszej strony, a jest to raczej wyraz naszych głębokich przekonań, wynik naturalny wyznawanej przez nas zasady, iż w interesie powszechnego dobra, pokoju i braterstwa ludzkości musi się rozpadać na oddzielne grupy narodowościowe, którym przysługuje prawo samookreślenia. Dalej wierzymy niezawodnie w to, że każdy naród najlepiej rozwija przyrodzone mu właściwości, doskonali swój charakter i swoje zwyczaje i co raz na wyższe wspiera się szczeble kultury, zbliżając się tym samem do ideału przyszłego braterstwa ludów, jeżeli się swobodnie urządza i gospodaruje we własnym kraju, w którym stanowi dominującą ludność, zwłaszcza w kraju, z którym wiążą go tradycje przeszłości, gdzie stała jego kolebka historyczna.

Oto przyczyna, dla której nie wolno nas posądzać o obłudę, gdy idziemy ręka w rękę z innym narodem, walczącym o swą egzystencję narodową. Nie pomimo że jesteśmy sjonistami, tylko właśnie dla tego, że jesteśmy sjonistami, że własne posiadamy ideały narodowościowe, solidaryzujemy się z innymi narodami walczącymi o swą wolność. Solidarność ta nie polega li tylko na sympatii, lecz wypływa z naszych przekonań politycznych.

▶ Od Polaków oczekujemy stosunku opartego na sprawiedliwości

Tu uwydatnia się różnica między nami a asymilatorami. Dzisiejszy asymilator, który wczoraj porzucił własny naród dla drugiego, jutro lub pojutrze przystać może znowu do innej narodowości. Dla nas jest to natomiast kwestia zasady, kwestia sprawiedliwości, takiej samej sprawiedliwości, jakiej dla siebie żądamy.

Nie zaliczamy się wprawdzie do polskiej narodowości, jak asymilatorzy, ale solidaryzujemy się z narodem polskim w jego walce o swobodny rozwój narodowościowy. Jako narodowcy żydowscy musimy w zgodzie z wypisanym na sztandarze naszym hasłem: „Przez sprawiedliwość Sjon zostanie wyzwolony", zawsze stać po stronie słabszych i prześladowanych i zwalczać wszelki ucisk, każdy gwałt, asymilację zarówno religijną, jak narodowościową.

Nie chcemy przesądzać kwestii, jak ukształtuje się w przyszłości stosunek Polaków do nas, jakie stanowisko zajmą oni wobec narodu naszego, zamieszkałego śród nich. Nie będziemy się bawili w proroctwa. Sądzimy, iż stosunek Polaków do nas oparty będzie na sprawiedliwości. Być może, że Polacy zechcą nam przyznać prawa obywatelskie, ale nie zgodzą się na uznanie naszych odrębnych praw narodowościowych. Może u nas szerzyć się antysemityzm, jak w zachodniej Europie, albo też zapanuje klerykalizm, jak w Galicji. Bądź co bądź trzeba nam będzie stać na straży i czujnie strzec własnych interesów. Będziemy się bronili przeciw wszelkim próbom asymilacyjnym. Nie damy się pożreć.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Dlaczego Polska nie będzie drugą Palestyną

A więc może nam Polska zamieni Palestynę? Na to pytanie musimy dać jasną odpowiedź. Nasz ideał terytorialno-polityczny polega na odrodzeniu Żydów na ziemi ich przodków. Żydzi odrodzić się muszą jako naród, ale ideału tego nie urzeczywistnimy w krajach rozproszenia, nawet tam, gdzie Żydzi uzyskali zupełne równouprawnienie. Naród może się swobodnie i wszechstronnie rozwijać tylko we własnym kraju.

Polska nie będzie dla nas Palestyną, jak nie są nią Niemcy lub Francja. Niemniej jednak musimy dążyć do uzyskania równouprawnienia tu, na miejscu. Równouprawnienie jest dla nas niezbędne, jak powietrze, światło, pokarm. Musimy wywalczyć sobie wszystkie prawa, aby móc żyć po ludzku, pracować i wychowywać dzieci i bronić honoru, który jest nam droższym od życia. Żądamy równouprawnienia, nie wyrzekając się ani na jotę swych ideałów.

Na czym opiera się to żądanie? Co nas właściwie łączy z tym krajem?

Wiele stuleci przebywamy na tej ziemi, tuśmy walczyli i cierpieli, jak wszędzie. Jesteśmy ludźmi, a natura obdarzyła nas, jak innych ludzi, oczyma, sercem i duszą. Nie możemy przecież fruwać jak ptaki w powietrzu. Ludzie muszą mieć przywiązanie do ziemi rodzinnej, muszą się interesować sprawami kraju, w którym mieszkają, muszą wreszcie mieć pewną łączność z naturą tego kraju. Jest to prawo natury i z tego tytułu nikomu wdzięczność się nie należy. Nie przeczymy dalej, że w narodowości żydowskiej odróżniać można różne kategorie, specjalne gatunki w rodzaju „żyda polskiego", że istnieje koloryt miejscowy. Postaramy się nawet uwydatniać w sztuce te odcienie, utrwalać te subtelne różnice.

Jesteśmy bezwzględnymi przeciwnikami asymilacji

Przy tym wszystkim jednak pozostajemy narodowcami żydowskimi, bezwzględnymi przeciwnikami asymilacji. Tak, jesteśmy przeciwnikami asymilacji wraz z jej starą piosnką o zaciągniętym przez nas ongi długu wdzięczności za udzieloną nam gościnę. „Naród polski", powiadają nam, „przygarnął przed 800–1000 laty waszych przodków, wszędzie niemal wówczas gnębionych i prześladowanych, wy zaś, ich potomkowie, powinniście przez wdzięczność wyzbyć się wszelkich cech odrębnych, zerwać łączące was z waszymi braćmi w innych krajach węzły i zlać się w jedną ograniczoną całość z tutejszą ludnością".

Otóż w naszym pojęciu Polska nie była dla naszych wielkich przodków przytułkiem, a przybysze nie byli ułomni: nasi przodkowie nie przywędrowali, jak banda tatarów lub cyganów bez własnej kultury i narodowości. Nie jesteśmy bynajmniej obowiązani legitymować się i dowodzić naszemu opiekunowi, że jesteśmy dlań pożyteczni, ani też obiecywać, iż powoli, stopniowo będziemy się asymilowali, aż nareszcie zatracimy w zupełności wszelkie cechy indywidualne. Mamy większe prawo uważać się za polskich Żydów, niż asymilatorzy, jakkolwiek nie poczytujemy sobie tego za szczególną zasługę, ponieważ jest to objaw naturalny, jak niemniej naturalnym jest to, że jesteśmy narodowcami żydowskimi.

Właściwie mówiąc, nie ma to żadnego znaczenia, czyśmy do tego kraju przybyli przed 1000 lub 100 laty, czy nas przygarnięto lub nie. Jeden człowiek nie może drugiemu udzielać praw ludzkich. Prawo to leży w człowieku samym. Również prawo narodowe tkwi w samym pojęciu o nacji. Jeżeli naród jakiś istnieje, jeżeli innego jest pochodzenia, to takie same ma prawo do życia indywidualnego, jak wszystkie inne. Należy mu dostarczać światła i powietrza, aby mógł swobodnie się rozwijać. W naszym programie nie ma miejsca na stare rachunki z dawną szlachtą polską. Krytyka naukowa orzeknie, komu z nas należy się reszta.

Popieramy polską sprawę narodową, o ile nie uszczupla naszych praw

Obecnie chcemy ustalić realny stosunek do wolnej klasy pracującej oraz do prawdziwej inteligencji polskiej. Stosunek ten, naszym zdaniem, powinien być oparty na prawdzie i sprawiedliwości, a przede wszystkim na tej prawdzie, że chcemy mieć prawo do swobodnego rozwoju narodowego i kulturalnego. Byłoby niedorzecznością twierdzić, że jako sjoniści nie mamy nic wspólnego z krajem, z jego kulturą i życiem politycznem. Ludzie kulturalni, mieszkający długie lata obok siebie, pomimo, że do różnych należą narodowości, muszą mieć wiele wspólnego.

Jakie też stanowisko zamierzamy zająć wobec spraw miejscowych? Hasłami naszymi będą: swoboda, oświata, sprawiedliwość, oraz poszanowanie i popieranie spraw narodowo-polskich, o ile nie uszczuplą naszych praw narodowościowych. ■

_____

Przedruk za „Głos Żydowski", 8 lutego 1906, Warszawa. Artykuł ukazał się tam jako streszczenie tekstu Nahuma Sokołówa, który ukazał się w języku jidysz w żydowskim piśmie „Der Telegraf", wychodzącym w Warszawie. Tytuł oryginału: „Nasz stosunek do narodu polskiego".
Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 77bfbfce1f

Kamil Goral

Galopem do strefy euro? Nie tak prędko...

Argumentów czysto ekonomicznych za przyjęciem wspólnej waluty przez nasz kraj jest coraz mniej. Nie oznacza to jednak, że temat euro umarł śmiercią naturalną. W dalszym ciągu wałkuje go totalna opozycja oraz część wpływowych ekonomistów. Zmieniając jedynie uzasadnienie. Wcześniej opierało się ono na ryzyku kursowym oraz kosztach transakcyjnych. Kolejne analizy ujawniają jednak, że europejski pieniądz mało komu się opłacił. Większość państw zwyczajnie na euro traci. Na tego typu argumentację nikt się już więc nie skusi, pora zatem odwołać się do innego rodzaju wywodu – tym razem o charakterze politycznym. Odsuńmy na bok skomplikowane ekonomiczne dowody. W zamian posłużmy się logiką politycznego manifestu. Jaką? Na przykład taką: Polacy są prounijni. Chcemy należeć do lepszego, zachodniego świata. Kojarzy się on z dobrobytem i stabilnością. A euro ma być jego gwarantem, swoistym stemplem naszego członkostwa w UE.

Dodatkowo dzięki akceptacji wspólnej waluty wejdziemy do jądra decyzyjnego Wspólnoty, znowu będą nas klepać po plecach, chwalić za proeuropejskość, rozsądek i cokolwiek tam jeszcze. Poza tym uzyskamy wpływ na najważniejsze decyzje, wreszcie będą nas słuchać. Wystarczy tylko powiedzieć „tak" wspólnej walucie i po sprawie! Poniżej próbka, fragment listu opublikowanego jakiś czas temu przez grupę znanych ekonomistów na łamach „Rzeczpospolitej": „Zwracamy się z apelem do premiera RP Mateusza Morawieckiego o wznowienie przygotowań do wejścia Polski do strefy euro. Stają się one sprawą niecierpiącą zwłoki. W Europie trwa właśnie dyskusja o przyszłym kształcie UE i wszystko wskazuje na to, że nie będzie Unii dwóch prędkości. Jedyną przyszłością będzie poszerzona eurostrefa. Polska powinna wziąć udział w tym procesie, jeśli chce mieć realny wpływ na przyszłość kontynentu. A także jeśli chce na trwałe zakotwiczyć w zachodniej Europie. Przy naszym tranzytowym położeniu geograficznym nie mamy wyboru: albo w przyszłości będziemy w strefie euro, albo w strefie wpływów Rosji". Zatem euro to już nie tyle kwestia bycia w grupie państw mniej istotnych, ile przede wszystkim sprawa bycia w Unii w ogóle! Albo euro, albo pozostajemy poza Wspólnotą. No i wisienka na torcie – albo euro, albo Rosja. Albo wspólna waluta, albo rosyjski rubel! Strach się bać.

Niestety, takie myślenie to źródło obecnych problemów Eurolandu. Kiedy 20 lat temu wprowadzano ten pieniądz, nie brakowało głosów mówiących, że to projekt czysto polityczny, że nijak integracja walutowa ma się do teorii ekonomii. Zwyciężyła jednak wola polityczna. Czas pokazał, jak potężny to był błąd i jak wiele trzeba za niego zapłacić. Nawet w Niemczech nie ukrywa się tego, że euro opłaciło się głównie naszym zachodnim sąsiadom. Reszta przeważnie na tym projekcie traci. Brak konkurencyjności dławi wiele gospodarek eurozony. A metody jej odzyskania, jakie rekomendują unijni urzędnicy, to jak gaszenie pożaru denaturatem. W tych okolicznościach powstał pomysł powołania wspólnego dla strefy euro budżetu. Lansują go Francuzi, którzy nawet nie ukrywają, jaki jest jego prawdziwy cel. Na pozór wszystko brzmi dobrze, wspólny budżet to więcej pieniędzy do podziału, a Polska jest ciągle krajem na dorobku, więc będzie mogła na tym pomyśle dodatkowo skorzystać, prawda? Otóż niekoniecznie. Okazuje się bowiem, że jak zwykle diabeł tkwi w szczegółach. A te we francuskiej wizji wyglądają tak, że pieniądze ze wspólnej kiesy w pierwszej kolejności trafiać miałyby do tych państw, które mają problemy z długiem publicznym. A właściwie nie tyle „mają problemy", ile toną w długach. Poza tym dławi je mizerny wzrost gospodarczy albo wręcz ich gospodarki się zwijają. Zatem trzeba im sypnąć grosza na rozruch. Problem polega jednak na tym, że cała idea w dalszym ciągu wygląda mgliście. A respons niemieckich polityków na list francuskiego prezydenta Macrona opublikowany w europejskich gazetach pokazuje, że wizje UE w Berlinie i Paryżu bardzo się od siebie różnią.

Tymczasem wspólny budżet ma być koronnym argumentem za tym, że do euro trzeba pędzić galopem, za nic mając ekonomiczne analizy. Mało kto dodaje jednak, że dla Polski to przedsięwzięcie oznaczać może nie zysk, lecz dodatkowy koszt. Może być bowiem tak, że jako państwo z relatywnie niskim długiem publicznym i rozwijające się w bardzo przyzwoitym tempie będziemy płatnikiem netto. Brzmi mało wiarygodnie? Może warto przypomnieć, że w apogeum greckiego kryzysu na dług Hellady zrzucać się musiały kraje naszego regionu, które przyjęły wspólną walutę. Ot, taka solidarność – europejska oczywiście. Teraz w imię tej samej solidarności my możemy się zrzucać na długi włoskie czy francuskie. I tak to najpewniej z tym budżetem by było. ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 77bfbfce1f

Marek Kalinowski

Co łączy Góreckiego z trip hopem

Rzadko zdarza się, aby płyty z muzyką współczesną wywoływały tak szerokie dyskusje, a jeszcze rzadziej, by trafiały na listy bestsellerów. Poznajmy zatem jedno z najbardziej kontrowersyjnych wykonań III Symfonii Henryka Góreckiego, z udziałem gwiazdy trip hopu Beth Gibbons.

„Symfonia Pieśni Żałosnych" od początku budziła silne dyskusje. Podczas polskiej premiery na „Warszawskiej Jesieni" w 1977 roku część publiczności nie kryła wzruszenia, inni zaś oburzeni wychodzili jeszcze w trakcie koncertu. Równie mocno podzielone były głosy krytyki, w których skala ocen rozciągała się od arcydzieła po prymitywizm. Sam autor Henryk Górecki, zirytowany wykonaniem solistki Stefanii Woytowicz, na koncercie w ogóle się nie pojawił.

Skąd te kontrowersje? Publiczność oczekiwała dzieł skomplikowanych, które przekonałyby do siebie bogactwem struktury, a tymczasem otrzymała utwór napisany prostym językiem muzycznym, bazującym na powtórzeniach i odwołującym się wprost do emocji słuchacza, a nie do jego erudycji i osłuchania.

Na swój sukces III Symfonia musiała czekać aż 15 lat. Na początku lat 90. utwór został nagrany przez London Sinfoniettę, z udziałem amerykańskiej śpiewaczki Dawn Upshaw, i wykonanie to okazało się przełomowe w percepcji symfonii. Dzieło na wskroś religijne, czerpiące garściami z polskiej tradycji ludowej, przez kilkadziesiąt tygodni nie schodziło z listy przebojów magazynu „Billboard", a płyta sprzedała się w milionowym nakładzie.

Nic dziwnego, że dobrze sprawdzonym, popkulturowym tropem postanowił pójść także dyrektor artystyczny Sacrum Profanum Filip Berkowicz, proponując wykonanie III Symfonii brytyjskiej wokalistce Beth Gibbons. Koncert Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrekcją Krzysztofa Penderecki z udziałem brytyjskiej gwiazdy odbył się w 2014 roku w Teatrze Wielkim, a zapis tego wydarzenia dopiero teraz ukazał się na płycie.

Henryk Mikołaj Górecki, wyk. Beth Gibbons, NOSPR, dyr. Krzysztof Penderecki, SYMPHONY NO.3, Domino

Jeśli przywołamy w pamięci melancholijną atmosferę płyt trip hopowego zespołu Portishead, którego Gibbons była liderką, pomysł Berkowicza wydaje się strzałem w dziesiątkę. Zadanie jednak w istocie wcale nie było łatwe. Beth Gibbons nie znała języka polskiego, tekstu musiała uczyć się więc fonetycznie. Partie solowe Górecki rozpisał na sopran, tymczasem liderka Portishead dysponowała niższym kontraltem. Na domiar złego zupełnie nie znała zapisu nutowego. Te liczne niedostatki mogły zwiastować tylko katastrofę, a stało się inaczej. Splot przeciwności zaowocował bardzo ciekawym wykonaniem – łamiący się, rozedrgany głos Gibbons przynosi przejmujące wykonanie modlitwy matki po stracie syna w trzeciej części symfonii.

Jakże wzruszająco brzmią także w jej wykonaniu słowa więzionej w gestapowskim więzieniu Heleny Błażusiakówny, które Górecki zdecydował się umieścić w drugiej części utworu „O, mamo, nie płacz, nie. Niebios przeczysta Królowo, Ty zawsze wspieraj mnie". To rozdarcie i niepewność głosu powodują, że łzy same cisną się do oczu.

Tam gdzie głos nie domagał, z pomocą przyszli muzycy NOSPR i sam Penderecki. Zwiększone tempo i zagęszczone dźwięki wyciągają Gibbons z opresji, czyniąc utwór jeszcze bardziej przejmującym. Niezależnie więc od uwag, III Symfonię po raz kolejny udało się w zajmujący sposób przedstawić szerszej publiczności. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Rawa Blues

RAWA BLUES FESTIVAL 39 EDYCJA

THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 11.10.2019 GODZ. 19.30

RICK ESTRIN & THE NIGHTCATS
IREK DUDEK

SPODEK 12.10.2019

JAMES BLOOD ULMER
MEMPHIS BLOOD BLUES BAND FEAT.
VERNON REID

VICTOR WAINWRIGHT
& THE TRAIN

THE DANIEL CASTRO BAND

LINDSAY BEAVER

HANNAH WICKLUND
& THE STEPPIN' STONES

CHRISTINE & THE BLUE DRAGS ★ WILLIE MAE UNIT
BLACKBERRY BROTHERS ★ BLUES JUNKERS

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

Adam Zalewski Trio, Magda Hanausek, Lublin Street Band, Roxana Tutaj & Good Omen
Black Job, Blues Menu, Diapositive, Silesian Hammond Group, Tipsy Drivers, The Storks

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów: Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski

info: www.rawablues.com bilety:www.ticketmaster.pl

KATOWICE · KATOWICE UNESCO · Jedynka Polskie Radio · Trójka Polskie Radio · TVP3 Katowice · NOSPR · Novotel · Business Consulting · Gazeta Polska · Gazeta Polska Katowice · Nowe Państwo · Republika · Blues Blues · jazz forum · Polskie Radio Katowice · eM · onet

eprasa.pl 77bibfce1r

Olga Doleśniak-Harczuk

NIEMCY
– moje serce w płomieniach

eprasa.pl 77bfbfce1f

FOT. KADR Z TELEDYSKU RAMMSTEIN - DEUTSCHLAND

Pierwsze wrażenie to wagnerowski rozmach. Dziś wszystko jest bardziej skondensowane, lecz rozmach pozostał. Czego tu nie ma... Germania, czyli personifikacja Niemiec, grana przez czarnoskórą aktorkę Ruby Commey, usłane trupem średniowieczne pola bitwy, nawiązania do bitwy pod lasem teutoburskim stoczonej w 9 roku między germańskimi plemionami Arminiusza a legionami rzymskimi, terroryści Frakcji Czerwonej Armii w akcji, katastrofa sterowca Hindenburg, orgie kulinarne i sadomasochistyczne, NRD-owskie politbiuro i III Rzesza w szale palenia książek. Śmierć i narodziny, śmiech i płacz, zbrodnia i wstyd. Słowem: Deutschland.

eprasa.pl 77bibfce1f

Niemcy pracują nad swą tożsamością narodową, ale się z tym spóźniają. Gdy już będą gotowi, tożsamość narodowa na świecie zaniknie, a więc i oni będą musieli porzucić swoją, nie wyciągnąwszy z niej, jak to uczynili Francuzi czy Brytyjczycy, żadnej korzyści – pisał Heinrich Heine. Kilkadziesiąt lat wcześniej Gotthold E. Lessing tłumaczył, że nie pociąga go patriotyzm, ponieważ mógłby on mu stanąć na drodze do bycia obywatelem świata, a Friedrich Schiller utrzymywał wręcz, że „wcześnie utracił swą ojczyznę, by ją wymienić na wielki świat". Romantyk Heine i piewcy oświecenia, a współcześnie – zwolennicy europejskiego federalizmu założyli, że tożsamość niemiecka, z patriotyzmem, z poczuciem wielostopniowej niemieckości, ulegnie zatarciu. Ten pogląd, podsycony dodatkowo problemami z polityką imigracyjną ostatnich lat, wciąż jest obecny w niemieckim dyskursie o tożsamości, roli narodu, znaczeniu Leitkultur. Bardzo ciekawie pisali o tym Herfried i Marina Münkler, profesorskie małżeństwo z Berlina, w wydanej trzy lata temu książce „Die Neuen Deutschen. Ein Land vor seiner Zukunft" (wyd. Rowohlt Berlin), zastanawiając się, czy XIX-wieczny model państwa narodowego jako takiego, nie tylko w odniesieniu do Niemiec, już się nie przeżył. A wiadomo, że jeżeli się przeżył, to wyzwania XXI wieku aż się proszą o to, by ten archaiczny twór zastąpić czymś bardziej przystającym do zmian demograficznych zachodzących na naszym kontynencie. Jedną z odpowiedzi na ten dylemat jest rozpuszczenie tożsamości narodowych w europejskim tyglu, co trafia zresztą na podatny grunt nie tylko w liberalnych kręgach niemieckich będących jednocześnie powielaczem i odbiorcą tej idei, lecz także w warstwach będących na marginesie jakichkolwiek dysput o zabarwieniu intelektualnym.

I to urabianie Niemców przynosi skutki, od zakończenia II wojny światowej edukowane w duchu szkoły frankfurckiej społeczeństwo niemieckie wciąż mentalnie dryfuje ku (nadal bliżej niezidentyfikowanej) narodowości europejskiej. Tylko czasem, jak to w Matriksie, pojawia się błąd. I wtedy ktoś zdartym głosem przypomni, że Niemcy jednak mają tożsamość i historię wymykającą się lukrowanej odzie do radości. W marcu 2019 roku ten błąd w Matriksie nazywał się Rammstein. Muzyczna nowinka ze skandalem w tle na tyle poruszyła wrażliwe nerwy ekspertów od politycznej poprawności i ich wyobrażenia o tym, co wolno, a czego nie wolno tematyzować, instrumentalizować, banalizować etc., że trudno ją sprowadzać jedynie do sfery rozrywki i show-biznesu. Rammstein dał nie tylko Niemcom lekcję historii, owszem – zaplanowanej z myślą o odbiorcy kultury obrazkowej, ale nie naiwnego, lecz takiego, który te migające obrazki będzie potrafił przyporządkować konkretnym wydarzeniom z dziejów narodu niemieckiego. I zrozumie sens tego, co ogląda. To nie jest spektakl o tożsamości europejskiej, lecz pełnokrwiste przedstawienie z Niemcami w roli tytułowej.

Germania w obozie zagłady

Blisko 38 mln odsłon w serwisie YouTube od czasu premiery (28 marca 2019 roku), protesty polityków niemieckich i środowisk żydowskich, cały wachlarz reakcji: od „przecież to majstersztyk" po „niesmaczny chwyt marketingowy". To bilans pojawienia się w Sieci teledysku do utworu „Deutschland", najmłodszego dziecka industrial-metalowego zespołu Rammstein. Panowie o charakterystycznie zmęczonych życiem twarzach po dziesięciu latach milczenia od wydania płyty „Liebe ist für alle da" wrócili do gry. I wyruszają w trasę. Nie ominą też Polski, gdzie już 24 lipca na Stadionie Śląskim w Chorzowie dadzą koncert.

Pierwsze wrażenie to wagnerowski rozmach. Dziś wszystko jest bardziej skondensowane, ale rozmach pozostał. Czego tu nie ma... Germania, czyli personifikacja Niemiec grana przez czarnoskórą aktorkę, usłane trupem średniowieczne pola bitwy, terroryści RAF w akcji, katastrofa sterowca Hindenburg, orgie kulinarne i sadomasochistyczne, NRD-owskie politbiuro i III Rzesza w szale palenia książek. Śmierć i narodziny, śmiech i płacz, zbrodnia i wstyd. Jest niesamowita scena, w której średniowieczny rycerz podpala stos, na którym prawdopodobnie jest czarownica, a potem wita się z tymi, którzy w 1933 roku palą książki na Opernplatz. Funkcjonariusze ze swastykami na przedramieniu są też widoczni w scenie z zamieszek na Kreuzbergu z lat 70. i 80. XX wieku. Jest w tym duch pewnej kontynuacji, ponadepokowego zjednoczenia w skłonności do zniszczenia. Bardzo ciekawe. I jest scena, która jeszcze przed premierą wzbudziła kontrowersje, czyli egzekucja więźniów w obozie koncentracyjnym. Pierwszoplanową rolę w teledysku gra historia Niemiec, której emanacją jest Germania. Widzimy ją jako zrozpaczoną zakładniczkę terrorystów Frakcji Czerwonej Armii, jako żądną krwi wojowniczkę zagrzewającą do walki germańskie plemiona, jako stylizowaną na Josephine Baker entuzjastkę podziemnych walk na pięści, jako płaczącą władczynię, anioła, ofiarę bezecnych mnichów, niepełnosprawną kobietę wiezioną na wózku przez członków Rammsteina, matkę wilków, NRD-owską funkcjonariuszkę, oficera w obozie zagłady dogląda-

eprasa.pl 77bfbfce1f

jącego egzekucji. W scenie finałowej Germania, ułożona w szklanej trumnie niczym Śnieżka w teledysku „Sonne", niknie gdzieś przy dźwiękach pianina w kosmicznych odmętach. Odrealniona, uśpiona, ale raczej żywa. Jakby zahibernowana.

To tylko kilka klatek z teledysku Rammsteina do utworu „Deutschland", ponaddziewięciominutowego horror-tripu po najmroczniejszych zakątkach niemieckiej historii. To nie jest miły rejs po Renie z widokiem na Lorelei, lecz gęsta od symboli i lepka od krwi opowieść o podboju, terrorze, wykolejeniach i zbrodni. Sprzedana w nęcącej oprawie i do bólu szczera, z elementami autodenuncjacji, precyzyjna w przekazie.

Język jak ostrze

Poza wizją jest też tekst. Bez niego obraz pozostaje tylko świetnie zrealizowanym klipem. Tekst jest mocny, rozliczeniowy, jeden z najciekawszych, o ile nie najciekawszy, jakie kiedykolwiek wyszły spod pióra Tilla Lindemanna. Kiedy lider zespołu z tą swoją czarno-romantyczną manierą śpiewa: „Niemcy – moje serce w płomieniach, chce cię kochać i przeklinać" albo „Niemcy – twoja miłość jest przekleństwem i błogosławieństwem. Niemcy – twój zimny oddech, tak młody, a jednak tak stary" – ustawia przekaz w prostym, ostrym stylu, tym razem pozostawia mniej miejsca na interpretacje. Element szyfru, tak przecież typowy dla tekstów Lindemanna, który lubi zabawy słowem i nawiązania do twórczości Bertolta Brechta, Gottfrieda Benna, J.W. Goethego etc., w przypadku „Deutschland" uległy stępieniu. Krosnem, na którym Rammstein tka swoją opowieść, są wersy pierwszej zwrotki wyklętej „Pieśni Niemców", czyli „Niemcy ponad wszystko, Ponad wszystko na świecie" (Deutschland, Deutschland über alles, über alles in der Welt). I tutaj z kolei akcent został postawiony na prefiks „über-" (ponad, nad) wkomponowany w wyliczankę pojęć demonstrujących dominacyjną naturę Niemiec, bardziej chyba jako narodu niż państwa. Lindemann śpiewa o Übermenschu (nadczłowieku), arogancji, poczuciu wyższości, podbijaniu, poddawaniu sobie, zaskakiwaniu, napadaniu – Überheblich, überlegen, Übernehmen, übergeben, Überraschen, überfallen, aż na końcu dochodzi do strofy „Deutschland, Deutschland über allen" – „Niemcy, Niemcy nad wszystkimi". Co istotne, słowa te padają z jego ust również w scenie obozowej, gdzie ubrany w pasiak jest prowadzony na śmierć. Trudniej o bardziej symboliczną scenę. Zwłaszcza w wymiarze odpowiedzialności Niemiec za zbrodnie II wojny światowej.

Zbawienny skandal

Na początku był skandal. Najlepsza promocja, jaką można sobie wyobrazić, kiedy łamanie tabu stanowi znak firmowy, a trasa koncertowa tuż-tuż. I tak już od 25 lat. Kanibalizm, kazirodztwo, sadomasochizm, przemoc, gorzkie rozliczenia z bliźnimi i samym sobą – fani Rammsteina niejedno już widzieli i słyszeli, a utwory żyją własnym życiem, powielane, reinterpretowane, bywa że w karkołomny sposób. Tak jak chociażby utwór „Mutter" interpretowany m.in. jako emanacja gniewu nienarodzonego dziecka na swoją niedoszłą rodzicielkę, gdzie w tekście podmiot liryczny obiecuje „matce", że ześle na nią chorobę, a ostatecznie śmierć. Usłyszenie tego utworu w wykonaniu dziecięcego chóru jednej z rosyjskich szkół zapada na długo w pamięć, zwłaszcza że występ, jak głosi wieść, zorganizowano z okazji dnia matki. Oryginalne przesłanie dla siedzących na widowni rodziców. Ale to już nie wina Rammsteina. Wolność interpretacji i tyle, jak ktoś lubi, gdy kilkulatek grozi, że ześle mu chorobę, a potem utopi, cóż, rzecz gustu.

Wracając jednak do skandalu najświeższego, mechanizm prowokacji i tym razem zadziałał bez zarzutu. Co się stało? 27 marca, w przeddzień oficjalnej premiery teledysku, w internecie umieszczono krótkie wideo, w którym członkowie zespołu występują w obozowych pasiakach z pętlami na szyi. Scena sugeruje, że za chwilę nastąpi egzekucja. Na reakcje nie trzeba było długo czekać. „Taka inscenizacja jako skazanych na śmierć więźniów obozu koncentracyjnego jest przekroczeniem czerwonej li-

Teledysk Rammsteina do utworu „Deutschland" to gęsta od symboli i lepka od krwi opowieść o podboju, terrorze, wykolejeniach i zbrodni. Sprzedana w nęcącej oprawie i do bólu szczera, z elementami autodenuncjacji, precyzyjna w przekazie.

eprasa.pl 77bfbfce1f

nii [...]. Jeśli ma to tylko napędzić sprzedaż, jest to niesmacznym wykorzystaniem wolności artystycznej". Dla tej samej gazety wypowiedziała się też Charlotte Knobloch, była szefowa Centralnej Rady Żydów w Niemczech, która stwierdziła, że „instrumentalizacja i trywializacja Holokaustu, jak w przypadku tego wideo, jest nieodpowiedzialna, a Rammstein wykorzystuje w celach rozrywkowych cierpienie i mord milionów ludzi, co jest lekkomyślne i obrzydliwe". Krytyka sypała się z jeszcze wielu stron, Rammstein tymczasem spokojnie nabrał powietrza w płuca, odczekał i 28 marca opublikował teledysk w pełnej wersji. Pod filmem wyłączono jednak możliwość dodawania komentarzy. Przez pierwsze 16 godzin odnotowano ponad 6 mln odsłon, a temperatura spadła o kilkanaście stopni, może dlatego, że nikt w filmie nie znieważył ofiar Holokaustu.

▶ Tak, będą skandować „Deutschland!"

Scena, którą wkomponowano w teledysk, bowiem równie dobrze mogłaby się pojawić w jakiejkolwiek produkcji na temat wojennych zbrodni III Rzeszy. Mało tego, w teledysku w pewnym momencie, tak jak w nieszczęsnym filmie Tarantino „Bękarty wojny", to ofiary chwytają za broń i strzelają do oprawców, co wygląda na projekcję odwetu rozgrywającą się w głowach jednej z ofiar.

Członkowie Rammsteina w obozowych pasiakach giną. Tak jak zginęły miliony więźniów niemieckich obozów zagłady. Nie nazistowskich, lecz niemieckich. Utwór Rammsteina nie dzieli bowiem Niemców na tych dobrych i złych, nie cieniuje, ukazuje najważniejsze, najbardziej brzemienne w skutki dla Niemiec, ale i tych, którzy padli ofiarą niemieckiej dominacji, fragmenty dziejowe i wszystko to opatruje szyldem „Deutschland".

Czy spełni się obawa krytyków, że odtąd na koncertach Rammsteina tysiące fanów będą podnosząc ręce, skandować ile mocy w gardle: „Deutschland!"? Pewnie tak. Będą krzyczeć. Do tej pory nie mieli do czego krzyczeć. Ten krzyk nie będzie jednak typowym koncertowym szałem, będzie w nim jakieś przyznanie się do winy. Odpowiedzialności za mroczne karty historii, od których polityka historyczna Niemiec przez ostatnie dziesięciolecia z takim wdziękiem usiłowała się odseparować, grając w grę znaną jako „różne odcienie szarości". Szkoda tylko, że ta taktyka otworzyła drzwi do robienia z akowców oprawców ludności żydowskiej, jak to miało chociażby miejsce w serialu „Nasze matki, nasi ojcowie".

W tym sensie nie ma co się obrażać na teledysk, dzięki któremu miliony ludzi na całym świecie w najbardziej przyswajalny dla siebie sposób mogą w końcu pojąć różnicę między katem a ofiarą i kilka razy się zastanowią, zanim puszczą dalej tweeta o „polskich obozach". Od czasu wyemitowania tego teledysku wielokrotnie określano go w mediach mianem kontrowersyjnego, trudno jakoś logicznie odpowiedzieć na zarzut kontrowersyjności czegoś, co ukazuje prawdę historyczną. Jeżeli prawda stała się dziś towarem nie tyle nawet deficytowym, ile kontrowersyjnym, to może faktycznie nadszedł już dla niektórych czas, by rozpuścić się w unijnej magmie wyimaginowanej tożsamości. Póki co, słowa Heinego pozostają bez pokrycia. Dobrze, że ten błyskotliwy, choć niewątpliwie efekciarski poeta czasem jednak się mylił.

A swoją drogą to jednak ironia losu, że to niemiecki zespół storpedował projekt pod tytułem „naziści". To, co tylko w niewielkim stopniu udało się słoweńskiemu Laibachowi (vide: Germania), Niemcy doprowadzili do perfekcji. ■

Blisko 38 mln odsłon w serwisie YouTube od czasu premiery (28 marca 2019 roku), protesty polityków niemieckich i środowisk żydowskich, cały wachlarz reakcji: od „przecież to majstersztyk" po „niesmaczny chwyt marketingowy". To bilans pojawienia się w Sieci teledysku do utworu „Deutschland",

_____

Pisząc artykuł, korzystałam m.in. z:

Heinrich Heine, „O Niemczech i o sobie. Wybór Pism", Klasycy Filozofii Niemieckiej, Fundacja Augusta Hrabiego Cieszkowskiego, Warszawa 2018;

Gordon A. Craig, „Über die Deutschen", C.H. Beck, München, 1982;

oraz z artykułu mojego autorstwa, który ukazał się na łamach „Gazety Polskiej Codziennie" w marcu br.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Ryszard Czarnecki

Notre Dame, Europa katedr, wojna cywilizacji...

Widok płonącej katedry Notre Dame był przerażający. Widok modlących się na klęczkach paryżan przed tym symbolem Francji – córy Kościoła – poruszający. Czy potrzeba było pożaru jednej z najbardziej znanych świątyń chrześcijańskiej Europy, aby Francuzi zaczęli się publicznie modlić?

Pożar paryskiej katedry przypadł akurat w czasie, gdy pojawiły się w Republice Francuskiej silne tendencje do usuwania z armii tradycji i symboli chrześcijaństwa. Notre Dame płonęła w czasie, kiedy codziennie we Francji desakralizowane są lub niszczone co najmniej dwie (sic!) świątynie. Część olbrzymiej rzeszy francuskich muzułmanów jest na cywilizacyjnej wojnie z chrześcijańską Francją, która przecież przyjmowała ich dziadków i rodziców czy ich samych z francuskiej Afryki. Czy to krajów bliskiego Maghrebu (Maroko, Algieria, Tunezja), czy „czarnej Afryki". Zabójstwa księży nie zdarzają się tu często – ale mają miejsce – jednak dewastowanie kościołów to już – *o tempora, o mores* – swoista haniebna norma. Chrześcijańska Francja milczy, a nawet jeśli protestuje, to znajduje się w głębokiej defensywie i nie ma żadnego wpływu na polityczny Paryż. Francja laicka przyjmuje to z milczącą obojętnością, być może uważając, że nie jest to jej problem albo że jakiekolwiek reakcje państwa wzbudzą kontrreakcje islamskiej mniejszości. Zatem tradycyjna Francja jest w głębokiej defensywie – zaś Francja muzułmańska wręcz przeciwnie. Co prawda burmistrz Paryża nie jest jeszcze wyznawcą Mahometa, jak burmistrz Londynu, ale według niepisanych, lecz praktykowanych parytetów we francuskim rządzie, podobnie jak w brytyjskim, jest stała „pula" ministerialnych stanowisk dla muzułmanów.

Jako student pierwszego roku historii pisałem wielostronicowy referat, posiłkując się wyłącznie zagranicznymi opracowaniami o średniowiecznej katedrze w Chartres – tej, która wraz, z między innymi, Notre Dame stanowi „Europę katedr". To był rok 1982, w Polsce panował stan wojenny, a ja w przerwach między konspirowaniem pisałem o tym, co ponadczasowe. Od tego czasu minęło niemal 40 lat. Jak bardzo jednak zmieniła się Francja w tym czasie! Polska też: obaliliśmy komunizm, ścieramy się z wojującym antyklerykalnym a *de facto* antychrześcijańskim liberalizmem i lewactwem – ale jednak chrześcijańska busola jest dla przeszłotysiącletniego narodu polskiego bardzo istotnym punktem odniesienia. W mojej ojczyźnie kościołów nie sprzedaje się na sklepy czy magazyny, jak we Francji i w wielu krajach Europy Zachodniej, w tym w ojczyźnie komisarza Fransa Timmermansa. Żeby daleko nie szukać: w Brukseli, bynajmniej nie na peryferiach, ale w środku tej formalnej stolicy Królestwa Belgii i nieformalnej stolicy Unii Europejskiej, jest popularna dyskoteka, która jeszcze nie tak dawno była... katolicką świątynią. Pomysłowość Belgów konkuruje z pomysłowością Irlandczyków, którzy na swojej zielonej wyspie kościoły zamieniają na... puby. Kiedyś, ze dwie dekady wstecz, wracając bodaj z posiedzenia Zgromadzenia Parlamentarnego Unii Zachodnioeuropejskiej – siedziba tego przeżytku, który stracił znaczenie z chwilą, gdy cała Europa Środkowo-Wschodnia gremialnie przystąpiła do NATO i UE, znajduje się w Paryżu – spotkałem na lotnisku bardzo znanego dziennikarza „Gazety Wyborczej". Zamieniliśmy dwa słowa. Pamiętam jego milczenie i dziwną minę, gdy użyłem pojęcia „Europa katedr". Minęło tyle lat, miałem w tym czasie tysiące rozmów, a do dziś zapamiętałem fragment tamtej. Tak, właśnie: „Europa katedr".

Z kimkolwiek rozmawiam, w Polsce czy we Francji – a piszę te słowa właśnie na terytorium Republiki Francuskiej, w Strasburgu – nikt nie wierzy w oficjalną wersję przyczyny pożaru Notre Dame: pozostawioną niewyłączoną spawarkę podczas prac renowacyjnych katedry. Wszyscy wskazują na muzułmańskich radykałów. Nie wiem, czy to prawda, ale świadczy to o nastrojach, o atmosferze, o poczuciu jednak – mówiąc Samuelem Huntingtonem – wojny cywilizacji... ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Teoria wielokrotnego upadku. Tajemnicza śmierć „cara mediów”

Antoni Rybczyński

Zwłoki Michaiła Lesina znaleziono 5 listopada 2015 roku w waszyngtońskim hotelu, dosłownie kilometr od Białego Domu. Niegdyś pan i władca mediów w Rosji, był już wtedy niewiele znaczącą postacią – kilka lat wcześniej popadł w niełaskę Kremla. Oficjalnie jego śmierć uznano za wypadek. Jednak pytań nie brakowało. Teraz tych wątpliwości jest jeszcze więcej – zdobyte przez Radio Wolna Europa dokumenty wzmacniają teorię, że Lesin został zamordowany.

Fot. YURI KOCHETKOV/PAP/EPA

Były minister prasy Rosji i twórca propagandowego imperium Putina, zmarły w pokoju hotelowym w Waszyngtonie, miał złamaną jedną z kości szyi, tuż poniżej linii szczęki, „w czasie śmierci lub w zbliżonym do niej czasie" – to chyba najważniejszy nieznany dotąd fakt, który ujawniają raporty biura koronera, do jakich dotarło Radio Wolna Europa. Jeden z dokumentów sugeruje, że kość mogła być złamana „po śmierci" – możliwe, że podczas autopsji. W co z kolei poważnie wątpią eksperci medycyny sądowej. To niejedyna nowa okoliczność, którą poznaliśmy dopiero w marcu tego roku, ponad trzy lata po śmierci Lesina. Okazuje się też, że po śmierci Rosjanina urzędnicy biura koronera dostawali telefony z dziwnymi pytaniami, zaś z dysku, na którym mieściły się setki godzin nagrań z ukrytych kamer w hotelu, „z powodów technicznych" nie da się odczytać akurat tych kilku godzin, gdy miało dojść do zgonu Lesina.

Specjalista od mediów

Buldożer – tak go nazywali, bo był bezwzględny i zdążał do celu po przysłowiowych trupach. Ambitny biznesmen w branży reklamowej wypłynął na szerokie wody w 1996 roku, podczas kampanii prezydenckiej Borysa Jelcyna. Lesin walnie przyczynił się do reelekcji schorowanego i zapitego prezydenta, choć jeszcze kilka miesięcy przed głosowaniem Jelcyn miał minimalne poparcie. Najpierw udało się przepchnąć go do II tury, a tam już z rywala – komunisty Ziuganowa – zrobiono takiego diabła, że większość poparła jednak Jelcyna. Lesin był jego głównym rzecznikiem w ostatnim okresie rządów, także wtedy, gdy Jelcyn zdecydował się oddać władzę. Ale dla Lesina nie był to koniec kariery – wręcz przeciwnie. Zdobył zaufanie Władimira Putina, wchodząc na lata do najbliższego jego kręgu.

W latach 1999–2004 był ministrem do spraw prasy – nadzorował agresywną politykę przejmowania i podporządkowywania mediów władzy. Szczególną skuteczność wykazał w odbieraniu aktywów oligarchom – najgłośniejsze było zmuszenie Władimira Gusinskiego do oddania telewizji NTV, kanału znanego z bardzo dobrego i bezkompromisowego dziennikarstwa, krytycznego wobec Putina. Później Lesin został prezydenckim doradcą do spraw mediów. Przeforsował utworzenie nadającego w języku angielskim rosyjskiego kanału telewizyjnego Russia Today, później przemianowanego na RT.

W 2013 roku, po powrocie Putina na Kreml, Lesin trafił na stanowisko prezesa Gazprom-Media, jednej z najpotężniejszych grup medialnych w Rosji i Europie. Nie docenił jednak wrogów, których

eprasa.pl 77bfbfce1f

przez lata zdobył sobie wielu. Przegrał starcie w Radiu Echo Moskwy, skąd chciał wyrzucić redaktora naczelnego Aleksieja Wienediktowa. Do tego prezesi trzech dużych telewizji donieśli na niego do samego Putina, twierdząc, że Lesin zachowuje się, jakby był ich szefem. Pewnie i to by mu nie zaszkodziło, problem jednak w tym, że zadarł z Jurijem Kowalczukiem, przyjacielem Putina, prezesem Banku Rossija, poważnym udziałowcem Gazprom-Media. Podobno Lesin był winny Kowalczukowi dużą sumę pieniędzy. Ostatecznie pogrążył go zakup przez kierowany przez niego Gazprom-Media aktywów holdingu ProfMedia. Gazprom na tym stracił, za to Lesin wziął „prowizję" w wysokości 82 mln dolarów. Gdy dowiedział się o tym Putin, wpadł w furię. Nie dlatego, że Lesin „przytulił" okrągłą sumę kosztem podatników (głównym udziałowcem Gazprom-Media jest państwowy koncern Gazprom), lecz dlatego, że zrobił to na własną rękę. W grudniu 2014 roku Lesin ogłosił, że rezygnuje z kierowania Gazprom-Media z powodów rodzinnych. Na niemal rok zniknął.

Najprawdopodobniej czas spędzał głównie w Kalifornii, gdzie inwestował już od kilku lat w nieruchomości (miał nieruchomości także w Europie i na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych). Miał całkiem pokaźny majątek, m.in. jacht wart 40 mln dolarów. W Beverly Hills mieszka jego syn, Anton Lessine, odnoszący sukcesy w finansowaniu hollywodzkich produkcji, w tym filmów Woody'ego Allena, Johna Turturro, Arnolda Schwarzeneggera i Brada Pitta. W Stanach Zjednoczonych mieszka też córka Lesina, Jekaterina – pracuje w RT.

W cieniu Białego Domu

21 października 2015 roku Lesin przylatuje z kolejną wizytą do Los Angeles – na wizie turystycznej. 2 listopada o godzinie 15:44 pojawia się w waszyngtońskim hotelu Four Seasons. Wiadomo, że nie robił wcześniej rezerwacji. Z nagrań kamer hotelowych wynika, że Lesina przywiózł samochód zarejestrowany w Wirginii.

Nie jest jasne, po co Lesin przyjechał do Waszyngtonu. O tym wyjeździe nie wiedział nawet jego syn Anton. Wiadomo, że Lesin raczej nie bywał w stolicy USA. Krótko po jego śmierci okazało się jednak, że miał zaproszenie na 3 listopada wieczorem do hotelu Ritz-Carlton na uroczystą kolację na cześć rosyjskiego miliardera i darczyńcy Instytutu Kennana w Centrum Woodrowa Wilsona oraz lokalnej mecenas sztuki Susan Lehrman. Lesin był na liście gości, ale na bankiecie się nie pojawił. Nie wiadomo nawet, kto konkretnie zaprosił go na tę imprezę. Wspomniany Awen był za to następnego dnia, 4 listopada, na imprezie w innym waszyngtońskim think tanku Atlantic Council. Podobno Lesin starał się o wstęp na to wydarzenie – ale organizatorzy odmówili.

Wróćmy jednak do popołudnia 2 listopada, gdy Lesin pojawia się w Four Seasons. Otóż przez następne kilkadziesiąt godzin nie wychodzi z hotelu, a z pokoju tylko po to, by przynieść sobie kolejną butelkę alkoholu z baru. Opróżnia też minibarek w pokoju. Wiadomo, że 3 listopada o 13:45 mężczyzna zidentyfikowany przez policję jako „przyjaciel" Lesina wchodzi do hotelu. Siedem minut później pracownik ochrony i osoba, której dane w dokumentach zamazano, idą do pokoju Lesina. Znajdują go leżącego na łóżku. Wychodzą z pokoju, a niezidentyfikowana osoba „pozostaje w hotelu". O 17:45, około 30 minut po tym, jak Lesin wyjmuje dwa piwa z baru, ochrona hotelowa przeprowadza kontrolę pokoi i znajduje Lesina na łóżku „śpiącego lub nieprzytomnego". Ale wiadomo, że między 18:15 a 18:25 wyjmuje z minibaru kolejne butelki wina i whisky. Z raportu policji wynika, że pracownicy Four Seasons w końcu wezwali funkcjonariuszy Secret Service, gdy Lesin pojawił się na korytarzu zupełnie pijany. Dlaczego akurat Secret Service? Podobno w tym samym czasie w hotelu przebywał znajdujący się pod ich ochroną dygnitarz. Agenci zalecili postawienie przy drzwiach pokoju ochroniarza, aby nigdzie tak pijanego Rosjanina nie wypuszczać. A następnego dnia, 4 listopada, kłopotliwy gość opuścił Four Seasons.

Lesin nie wyjechał z Waszyngtonu, tylko zameldował się w hotelu Dupont Circle. Tutaj dalej pił na umór. O 20:17 ochroniarz i menedżer hotelu robili inwentaryzację i znaleźli Rosjanina leżącego na łóżku twarzą w dół. Oddychał. Próbowali go obudzić, po czym wyszli. Następnego dnia Lesina znaleziono martwego. Fotografie ujawnione przez policję pokazują butelki piwa i likieru, pęki dolarów oraz porozrzucane ubrania na podłodze. Eksperci doszli też do wniosku, że Lesin mógł znajdować się przez jakiś czas w śpiączce, zanim zmarł. Jak wyglądały ostatnie godziny jego życia – nie wiadomo. Co prawda okazało się, że hotel ma około 300 godzin nagrań z ukrytych kamer, ale policja oznajmiła, że z dyskiem, na którym był zapis z pokoju Lesina, „był problem". Z tego powodu nie dało się obejrzeć kluczowych dziesięciu godzin nagrania.

Skąd w hotelu ukryte kamery? Tutaj przechodzimy do kolejnej zagadki. Dlaczego przyzwyczajony do luksusu milioner zatrzymuje się w niezbyt drogim (240 dolarów za dobę) hotelu? To dało asumpt do plotek, że Lesin umówił się na homoseksualną schadzkę. Dupont Circle należy bowiem do bardziej znanych „przyjaznych gejom" hoteli w stolicy USA. W domyśle pojawia się wersja, że Lesin zginął z ręki kochanka. Taką wersję szczególnie popularyzowano w rosyjskich mediach. Zresztą całej sprawie od początku towarzyszył duży szum informacyjny ze strony rosyjskiej. Znaczące jest, że zaraz po

eprasa.pl 77bfbfce1f

ujawnieniu faktu śmierci Lesina, w rosyjskich mediach pojawiły się cytaty anonimowych krewnych, mówiące, że od dawna miał on problemy z sercem i najpewniej zmarł na zawał. Ale oprócz wersji o zawale lub zabójstwie z rąk kochanka (tę wersję przygotowano zapewne na wypadek, gdyby amerykańskie władze uznały jednak, że śmierć Lesina nie była nieszczęśliwym wypadkiem), pojawiła się i trzecia teoria. Chyba najbardziej lansowana w Rosji.

FBI i tajemniczy oligarcha

Według niej Lesin zawarł układ z FBI, został objęty programem ochrony świadków, a jego śmierć zainscenizowano. Przemawiać ma za tym dziwnie tajemnicze zachowanie amerykańskich władz. Potwierdzeniem tej wersji miały być też rewelacje ujawnione 12 marca 2016 roku przez znanego blogera i opozycjonistę Aleksieja Nawalnego. Opublikował on informację ze strony internetowej amerykańskiej służby granicznej, z której wynika, że 15 grudnia 2015 roku, a więc 40 dni po swej śmierci, Michaił Lesin... opuścił terytorium Stanów Zjednoczonych. Sensacja żyła jednak tylko dobę – rzecznik służby granicznej oświadczył, że taki zapis w bazie danych Homeland Security zrobiono, bo tego dnia skończyła się turystyczna wiza Lesina. A to, że już nie żył, nie miało nic do rzeczy – taka jest standardowa procedura.

Niewątpliwie jednak Lesin znajdował się w kręgu zainteresowania FBI – choć formalnie z racji swojej ogromnej wiedzy na temat kuchni rosyjskiej władzy, to raczej z czysto kryminalnych powodów. Zresztą nie jest wykluczone, że obie te kwestie ostatecznie miały związek. Lesin mógł mieć powody, by zaryzykować życie i pójść na układ z FBI (choć to by raczej oznaczało, że ktoś inny, nie Amerykanie, był zainteresowany eliminacją byłego ministra). Jeszcze latem 2014 roku senator Roger Wicker zwrócił się z wnioskiem do Departamentu Sprawiedliwości o sprawdzenie, czy Lesin nie korzysta z brudnych pieniędzy w transakcjach na rynku nieruchomości w Kalifornii. Lesin był jedynym właścicielem Dastel Corporation. Miała ona m.in. zakupić w sierpniu 2011 roku dom w Beverly Hills (1,2 tys. m² za 13,8 mln dolarów) oraz w 2012 roku dom w Brentwood (985 m² za 9 mln dolarów). Senator Wicker przekonywał, że argumentem przemawiającym za wszczęciem dochodzenia powinien być fakt, że Lesin utrzymuje bliskie kontakty z osobami i firmami objętymi sankcjami, w tym z Kowalczukiem i Bankiem Rossija. Większość prywatnego majątku Lesina pochodziła z prywatnej spółki założonej w latach 90., zajmującej się sprzedażą czasu reklamowego w telewizji. Ta spółka, Video International (VI), została później przejęta przez Kowalczuka. W grudniu 2014 roku wniosek Wickera został przekazany do wydziału kryminalnego Departamentu Sprawiedliwości i do FBI. Nie wiadomo jednak, czy formalne dochodzenie zostało otwarte. Wspomniana teoria mówi, że Amerykanie postanowili skorzystać z okazji i zaproponowali Lesinowi układ: uniknie problemów, dostanie ochronę i zabezpieczy przyszłość mieszkającym i pracującym w USA dzieciom, w zamian ujawniając wszystko, co wie o Putinie i jego ekipie. Właśnie w związku z tą sprawą Lesin miał przyjechać do Waszyngtonu na spotkanie ze śledczymi federalnymi. Hotel Dupont Circle ze swą renomą miejsca schadzek gejów był idealnym miejscem do takiego dyskretnego spotkania. Poza tym leży tylko 4 kilometry od siedziby FBI. Wiadomo, że w ostatnich miesiącach życia Lesin był w kontakcie z Departamentem Sprawiedliwości.

Jeśli ta teoria jest prawdziwa, a Rosjanie dowiedzieli się lub obawiali się współpracy Lesina z FBI, to nie miał prawa długo żyć. Zbyt cennym był świadkiem, by Kreml mógł sobie pozwolić na przejęcie go przez wrogie służby. W marcu 2018 roku portal BuzzFeed cytował anonimowe źródła mówiące, że były oficer brytyjskiego wywiadu Christopher Steele przekazał FBI raport dowodzący, że Lesina pobili na śmierć ludzie pracujący dla jakiegoś oligarchy bliskiego Putinowi. Steele stał się później znany dzięki serii notatek omawiających rzekome powiązania Trumpa z Rosją. Znane jako dossier Steele'a, materiały te krążyły wśród waszyngtońskich dziennikarzy pod koniec 2016 roku, a w pełni zostały opublikowane przez BuzzFeed w styczniu 2017 roku.

Bez pewnej odpowiedzi

W marcu 2019 roku dostęp do liczących 149 stron akt sprawy Lesina uzyskała redakcja Radia Wolna Europa. Dają one możliwie najbardziej precyzyjny jak dotąd opis naukowy śmierci Rosjanina, którą urzędnicy uznali za wypadek i stwierdzili, że była wywołana ciężkimi obrażeniami w wyniku nadużycia alkoholu. Akta ujawniło waszyngtońskie Biuro Głównego Eksperta Sądowo-Medycznego w odpowiedzi na wniosek powołujący się na Prawo o Wolności Informacji, złożony blisko dwa lata temu. W lutym sędzia Hiram Puig-Lugo polecił miastu Waszyngton ujawnić dokumenty. Raport, który otrzymali dziennikarze, nie jest jednak kompletny. Wymazano choćby podpisy. Mimo to dokumenty te ujawniają kilka ważnych faktów, o których wcześniej opinia publiczna nie wiedziała. Przede wszystkim to, że kość gnykowa Lesina, która znajduje się mniej więcej w połowie między krtanią a żuchwą, została kompletnie połamana. Inna ciekawa kwestia: FBI brało pod uwagę przejęcie sprawy śmierci Lesina na początku 2016 roku.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Nie jest jasne, dlaczego tego formalnie nie zrobiono, aczkolwiek wcześniejsze dokumenty ujawnione przez Biuro pokazują, że jego agenci byli zaangażowani w przesłuchania świadków i ocenę zapisów wideo z hotelowych kamer. Okazuje się też, że dzień po tym, jak ujawniono wstępny raport sporządzony po sekcji zwłok, jeden z pracowników biura koronera został wezwany przed ławę przysięgłych (criminal grand jury) zajmującą się śmiercią Lesina.

10 marca 2016 roku, cztery miesiące po śmierci Lesina, wstępny raport koronera uznał, że bezpośrednią przyczyną zgonu były tępe urazy głowy, szyi, klatki piersiowej, dolnych i górnych kończyn, ale określił sposób śmierci jako „nieokreślony". Ostateczny raport, ogłoszony w październiku 2016 roku przez biuro prokuratora Waszyngtonu i lokalną policję, nazwał śmierć Lesina wypadkiem wywołanym lub wynikającym z tępych urazów głowy, szyi, klatki piersiowej, dolnych i górnych kończyn, „które powstały w wyniku upadków". Jako czynnik wskazano „ostre zatrucie etanolem". Z kolei w swym raporcie z grudnia 2017 roku policja waszyngtońska napisała, że w dniach poprzedzających śmierć Lesin ostro pił. W styczniu 2018 roku FBI opublikowało 56 stronic dokumentów ze śledztwa. Było wśród nich 29 stron z raportu koronera, ale niemal całe zostały zamazane.

Intrygującym wątkiem, który poznajemy dzięki materiałom udostępnionym dziennikarzom, są też dziwne telefony do ludzi zajmujących się sprawą Lesina. Dokument z 5 listopada 2015 roku zawiera notatkę pracownika Biura Głównego Eksperta Sądowo-Medycznego. Relacjonuje on, że tuż po odkryciu zwłok zajmujący się sprawą policyjny detektyw skontaktował się z nim, mówiąc, że ktoś podający się za przyjaciela Lesina dzwonił do niego i „pytał o miejsce pobytu" Rosjanina. Rozmówca zasugerował, że po raz ostatni Lesina widziano żywego 3 listopada 2015 roku w hotelu Four Season. Nie wiadomo, kim był telefonujący człowiek i dlaczego w ogóle naprowadził policję na miejsce, gdzie Lesin zatrzymał się wcześniej. Wiadomo jednak, że właśnie 3 listopada ktoś Lesina odwiedził w Four Season. Zresztą nie był to jedyny dziwny telefon. Drugi dotyczył już samej autopsji.

Teoria upadku. Wielokrotnego

Wśród uzyskanych przez Radio Wolna Europa materiałów znajdują się zapisy autopsji, której poddano Lesina. Mówią one wiele o rozległości skaleczeń i siniaków na głowie, szyi, górnej części tułowia i dolnej części tułowia, ale nie przesądzają, jak doszło do obrażeń. Okazuje się też, że Lesin miał złamaną kość gnykową. Zapis autopsji mówi, że było to „całkowite złamanie poprzeczne". Ale też, co ważne, chrząstka z pobliskiej tarczycy nie została naruszona. Jak i kiedy doszło do złamania? Raport z autopsji tego nie wyjaśnia, ale czytamy, że „krawędzie złamania są ostre i nie ma żadnych poważnych dowodów wskazujących, że uraz miał miejsce w czasie śmierci lub w jej pobliżu".

Zgodnie z artykułem opublikowanym w 2015 roku przez amerykański Narodowy Instytut Zdrowia, „złamania kości gnykowej wynikające z urazu inne niż uduszenie są niezwykle rzadkie; złamanie kości gnykowej związane z urazem twarzoczaszki jest jeszcze rzadsze".

W uzupełniającym raporcie z biura koronera z 1 kwietnia 2016 roku jeden z jego pracowników przypomina rozmowę z niezidentyfikowaną osobą, która zadzwoniła do biura, żeby zadać pytania o naukowy raport antropologiczny – skupiając się na analizie szkieletu – w sprawie Lesina. Osoba dzwoniąca, której nazwisko i tytuł zamazano w dokumencie (przedstawiciel amerykańskich służb?), pytała, „czy obrażenia mogły nastąpić w wyniku upadku" – napisał pracownik biura koronera. „Wyjaśniłem, że pozycja kości gnykowej jest chroniona przez żuchwę i złamania są zwykle związane z powieszeniem lub ręcznym duszeniem. Powiedziałem też, że nie mógłbym wykluczyć mocnego upadku jako przyczyny złamania, ale raczej oczekiwałbym lżejszego obrażenia w związku z tym" – napisał pracownik biura koronera. Wyjaśnił też rozmówcy, że „artefakt autopsji", czyli zmiana dokonana w ciele mogąca prowadzić do naukowej błędnej interpretacji, „musi być rozważana jako możliwa przyczyna złamania".

Złamanie kości gnykowej podczas przeprowadzania sekcji zwłok? Doświadczeni patolodzy przyznają, że może się coś takiego zdarzyć, jednak niezwykle rzadko. Ale też wtedy powinna być zamieszczona uwaga w raporcie z autopsji, że coś takiego się zdarzyło. Eksperci mocno wątpią również w to, że do złamania kości gnykowej mogłoby dojść bez udziału osób trzecich. Cytowany przez Radio Wolna Europa Donald Jason, patolog, emerytowany profesor z Wake Forest University School of Medicine (Północna Karolina): „Zrobiłem 12 000 autopsji w mojej karierze. Wielu z nich na alkoholikach. I nigdy nie widziałem połamanej kości gnykowej u kogoś, kto się pijany przewrócił". Podobnego zdania jest Tom Andrews, były koroner stanu New Hampshire: „Nigdy nie widziałem czegoś takiego. To niezwyczajny przypadek, kompleksowość tych obrażeń, nawet jak na alkoholika". Gdyby miało być tak, jak sugeruje raport, to by znaczyło, że pijany Lesin raz za razem upadał, mocno się obijał, znów wstawał, znów się przewracał, znów odnosił ciężkie obrażenia. I znów wstawał. Aż w końcu tak się przewrócił, że złamał sobie kompletnie kość w szyi... Na dodatek musiałby upaść idealnie co do centymetra szyją na przedmiot o ostrej krawędzi. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

FOT. PAP/NEWSCOM

Hanna Shen

NOWY CESARZ, NOWA ERA

Od 1 maja Japonia ma nowego cesarza. Jego panowanie rozpoczyna także nową erę – szczęścia i harmonii. Dla mieszkańcow Kraju Kwitnącej Wiśni intronizacja nowego władcy to czas świętowania. Są jednak tacy, którzy martwią się, że z tego powodu mają... za dużo wakacji.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Tuż przed ubiegłorocznym Bożym Narodzeniem cesarz Japonii Akihito wygłosił przemówienie z okazji swoich 85. urodzin. Była to także jego mowa pożegnalna przed abdykacją ostaniego dnia kwietnia tego roku. Cesarz powiedział m.in., iż odczuwa „ogromne zadowolenie", że jego rządy minęły w Japonii bez wojny. Bardzo emocjonalnie brzmiały słowa podziękowania dla mieszkańców Japonii i jego żony cesarzowej Michiko za ich wsparcie. W pożegnalnym przemówieniu cesarz przekazał też kondolencje i wyrazy współczucia wszystkim Japończykom, którzy stracili bliskich lub doznali strat w wyniku klęsk żywiołowych, jakie nawiedzały Kraj Kwitnącej Wiśni w czasie jego panowania.

Japoński monarcha nie ukrywa, że odchodzi z powodów zdrowotnych. W 2003 roku leczył się na raka prostaty, a 10 lat później poddał się kuracji choroby serca. Ale cesarz tłumaczył również, że kieruje się przekonaniem, iż istotne jest odpowiednie wypełnianie obowiązków. „Mam już 80 lat i na szczęście jestem dobrego zdrowia. Jednakże biorąc pod uwagę to, że moje siły witalne słabną z dnia na dzień, martwię się, że trudno będzie mi wypełniać obowiązki symbolu państwa w takim stopniu jak dotychczas" – powiedział cesarz Akihito w sierpniu 2016 roku.

Dla Kraju Kwitnącej Wiśni jest to pierwsza abdykacja cesarza od 200 lat. Jest to także koniec ery Heisei (określenie to jest tłumaczone jako „pokój wszędzie"), która rozpoczęła się w 1989 roku, kiedy Akihito objął tron po swoim ojcu, cesarzu Hirohito.

Nowy cesarz i jego „smutna księżna"

Od 1 maja nowym cesarzem Kraju Kwitnącej Wiśni jest najstarszy syn cesarza Akihito, Naruhito. Przez długi czas nie był on specjalnie akceptowany przez dwór cesarski ze względu na jego małżeństwo i brak męskiego potomka.

Tak jak jego przodkowie, Naruhito uczęszczał do prywatnej szkoły Gakushūin. W 1982 roku uzyskał tytuł magistra z dziedziny historii i kontynuował edukację na Uniwersytecie Oksfordzkim, który ukończył z tytułem magistra z handlu na rzece Tamizie. W swojej biograficznej książce pt. „Tamiza i ja: dwa lata wspomnień z pobytu na Oksfordzie" tak opisał pobyt na studiach w Wielkiej Brytanii: „To był szczęśliwy czas dla mnie – pewnie mogę powiedzieć, że był to najszczęśliwszy okres w moim życiu". Po powrocie do Japonii przyszły cesarz ponownie studiował na Uniwersytecie Gakushūin, gdzie w 1988 roku uzyskał tytuł magistra nauk humanistycznych. W 1991 roku otrzymał jeszcze honorowy tytuł doktora nauk prawnych Uniwersytetu Oksfordzkiego.

Gdy jego ojciec, Akihito, został w 1990 roku intronizowany, było jasne, że Naruhito ma teraz jeden podstawowy obowiązek – poślubić odpowiednią kobietę i spłodzić męskiego potomka, który w przyszłości będzie jego następcą na chryzantemowym tronie. Wybranką Naruhito okazała się Masako Owada, córka japońskiego dyplomaty i prawnika. Spędziła dzieciństwo i młodość poza Krajem Kwitnącej Wiśni, w państwach, w których jej ojciec pracował na placówkach albo wykładał. Najpierw mieszkała w Moskwie, potem w Nowym Jorku. Do szkoły średniej uczęszczała w stanie Massachusetts i tu też studiowała ekonomię na jednej z najbardziej prestiżowych uczelni na świecie, Uniwersytecie Harvarda. Po powrocie do Japonii rozpoczęła studia prawnicze na Uniwersytecie Tokijskim. Mówiąca płynnie w sześciu językach Masako w 1987 roku rozpoczęła pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W 1988 roku wyjechała na stypendium do Oksfordu, gdzie zajmowała się problematyką stosunków międzynarodowych. Powrót w 1990 roku do Japonii był także powrotem do pracy w MSZ w Departamencie Ameryki Północnej. Masako dwukrotnie odrzuciła oświadczyny Naruhito, bo obawiała się, że nie sprosta wymaganiom sztywnej dworskiej etykiety i rodziny księcia. Ostatecznie jednak powiedziała „tak" i w czerwcu 1993 roku poślubiła Naruhito, stając się członkiem rodziny cesarskiej . Bardzo szybko do Masako przylgnęło określenie „smutna księżna", bo na jej twarzy widać było, że niełatwo jej stawić czoło nie tylko surowej etykiecie na dworze cesarskim, lecz także całej serii zakazów. Najgorsze jednak było to, że rodzina cesarska, dwór i niemal całe japońskie społeczeństwo oczekiwało, że szybko urodzi syna. Tymczasem Masako w 1990 roku poroniła, a w 2001 roku urodziła dziewczynkę. W mediach mówiono o porażce. Do prasy wyciekały komentarze „życzliwych" dworzan, według których księżna zaniedbywała swoje obowiązki, zwodziła męża i okazała się rozrzutna. Krytykowano Masako także za jej wyniosłość. Oczekiwano, że podczas dyplomatycznych spotkań będzie się ładnie uśmiechała, ona tymczasem siedząc na przyjęciu obok prezydenta Billa Clintona, rozmawiała z nim po angielsku, a gdy zasiadła obok Borysa Jelcyna, prowadziła konwersację po rosyjsku. Pałac cesarski był oburzony, bo rozmowy na zbyt poważne tematy nie należą do obowiązków młodej księżnej. W rezultacie Masako coraz rzadziej widywana była na oficjalnych spotkaniach. Pod koniec 2003 roku księżna trafiła do szpitala w wyniku załamania nerwowego, a kilka miesięcy później wydano oficjalny komunikat, że żona następcy tronu cierpi na „zaburzenia adaptacyjne wywołane stresem". Książę Naruhito ogłosił, że Masako miała trudności w przystosowaniu się do życia dworskiego. Dopiero w 2011 roku dwór cesarski oficjalnie potwierdził, że księżna cierpi na zaburzenia adaptacyjne połączone ze stanami lękowymi i nastrojami depresyjnymi. W ostatnim okresie jej aktywność i udział w oficjalnych uroczystościach wzrosły, ale uważa się, że złożony ceremoniał przekazania władzy i bycie oficjalną żoną cesarza będą dla Masako wielkim wyzwaniem.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Era szczęścia i harmonii

Wraz z abdykacją cesarza Akihito odchodzi era Heisei i nastaje nowa, 248. era w historii Japonii[1]. Jej nazwę 1 kwietnia 2019 roku ogłosił szef kancelarii premiera Yoshihide Suga.

Kraj Kwitnącej Wiśni wchodzi w okres Reiwa – nazwę tę tworzą dwa znaki kanji[2], które oznaczają odpowiednio – szczęście i harmonię.

Według szefa kancelarii premiera wybrano taką właśnie nazwę, inspirując się wierszem pochodzącym z Man'yoshu, czyli najstarszej zachowanej do naszych czasów antologii poezji japońskiej. Cały zbiór zawiera około 4500 wierszy, a został skompilowany w 780 roku. Wiersz, z którego zaczerpnięto nazwę, opisuje rozkwit z początkiem wiosny kwiatu śliwy.

Nowa nazwa ery jest także pewnym wyłomem z dotychczasowej tradycji. Otóż po raz pierwszy w historii Japonii kanji prezentujące nazwę nowej ery wybrano z dzieła klasycznej literatury japońskiej, a nie chińskiej. Od razu z tego powodu w Chinach pojawiły się głosy niezadowolenia i rozczarowania. Ale Japończykom ten pomysł się spodobał. Według sondażu przeprowadzonego przez agencję Kyoto News 85 proc. ankietowanych obywateli Kraju Kwitnącej Wiśni uważa, że inspiracja tradycyjną literaturą japońską, a nie chińską, była dobrym krokiem.

Na temat znaków, których użyto do określenia nowej ery, wypowiedział się także premier Japonii Shinzo Abe. Powiedział, że znaki przedstawiają „unikalną tożsamość narodową Japonii, wieczną historię i kulturę oraz cztery pory roku, które przynoszą piękną naturę i przekazują ją następnemu pokoleniu". Nowa nazwa według premiera daje także nadzieję, że „Japonia stanie się krajem, w którym każdy człowiek może spełnić swe marzenia, jak kwiaty śliwy, które pięknie kwitną po ciężkiej zimie, sygnalizując początek wiosny".

Według Kennetha J. Ruoffa, amerykańskiego badacza Japonii z Portland State University, wybór nazwy nie jest przypadkowy również ze względu na Shinzo Abe i jego politykę. Ma to być podkreślenie wielkości japońskiej przeszłości i nadzieja na wielką przyszłość. Abe, konserwatysta z krwi i kości, marzy o silnej Japonii nie tylko ekonomicznie, lecz także militarnie i stąd na przykład doprowadził do zmiany w konstytucji, ograniczając jej pacyfistyczne zapisy. A jak widzi szczęśliwą i pełną harmonii Japonię, Shinzo Abe przedstawił to w książce pt. „Ku pięknemu krajowi – moja wizja dla Japonii". Abe pisze, iż wierzy w wartości konserwatywne i że tylko mały rząd, cięcia podatkowe, silna obrona narodowa, promowanie wartości rodzinnych, sprzeciwianie się złu, jakim są komunizm i terroryzm, mogą gwarantować Japonii sukces.

[1] System nazywania er określonymi mianami funkcjonuje w Japonii od 645 roku.

[2] Kanji to to znaki ideograficzne w języku japońskim pochodzące z języka chińskiego.

Za dużo wolnego – zmartwienie Japończyków

Nowy cesarz i nowa era to także nowe nadzieje na przełamanie istniejących w kraju problemów. A tych jest wiele, na przykład gospodarcza stagnacja, złe perspektywy demograficzne czy kryzys innowacyjności.

Ale z okazji koronacji nowego cesarza nie wypada myśleć o problemach. To jest czas na świętowanie i dlatego Japończycy na przełomie kwietnia i maja otrzymali 10 dni wolnych. Już w styczniu biura podróży donosiły, że duża część mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni planuje wakacje poza granicami Japonii. Jednym z ulubionych miejsc zagranicznych wypadów Japończyków jest Tajwan. Dla młodych ludzi 10-dniowe wakacje to czas „konkatsu", czyli „polowania na współmałżonka". Gdy młodzi wracają do domów, podczas świąt mają dodatkowy czas na znalezienie partnerów.

Ale Japonia nie byłaby Japonią, gdyby nie było takich, i to wcale niemało, którzy martwią się, że 10 dni wakacji to problem. Według sondażu przeprowadzonego przez gazetę „Asahi" 45 proc. ankietowanych wyraziło niezadowolenie ze zbyt długiego czasu wolnego z okazji świętowania koronacji. 35 procent wyraziło aprobatę dla tych wakacji.

Przedłużony czas wolny wywołał obawy w sektorze finansowym w związku z możliwymi zakłóceniami na rynku i zwiększoną zmiennością akcji i walut. Jeden z pracowników sektora finansowego w wypowiedzi dla „Asahi" stwierdził, że to „przerażające", iż firmy nie będą w stanie handlować przez sześć dni roboczych. Inny pracownik powiedział, że po prostu nie wie, co zrobić z tak długim okresem wolnego. Także pracownicy kontraktowi, którzy otrzymują wynagrodzenie za godzinę lub dniówkę, są zaniepokojeni utratą dochodów. Rodzice martwili się, że nie będą w stanie znaleźć zajęć dla swoich pociech, które w tym czasie nie będę w żłobkach, przedszkolach i szkołach.

Tymczasem już kilka miesięcy przed koronacją zaczęto organizować seminaria, na których uczestnicy byli instruowani, jak można w nadchodzącym wolnym okresie znaleźć dodatkową dorywczą pracę. Seminaria odbywały się pod hasłem: „10-dniowe wakacje to dobry czas na zarobienie pieniędzy, a nie na zabawę".

Nie na zabawę, bo są biznesy, które wiedzą, że zarobią na świętowaniu koronacji. Z pewnością jest to już wspomniana turystyka. Świętowanie to także pamiątki – na przykład artykuły papiernicze, znaczki czy kalendarze, które nawiązują do zmieniającej się epoki. Restauracje starają się także w tym okresie przyciągnąć więcej klientów, niekoniecznie nowymi daniami, lecz z pewnością odpowiednio reklamowanymi. I tak na przykład restauracja w jednym z hoteli w Tokio oferuje gigantycznego, 3-kilogramowego burgera w cenie 100 tys. yenów (3,4 tys. zł). Biznes wolnego się nie boi... ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

YU TINGIM?
Czy teraz już rozumiesz?

Ta kraina fascynuje. Przynajmniej mnie. Człowieka zamkniętego w klatce uporządkowanego planowania. Wygodnie umocowanego we wszelkich schematach, mających dawać mi ułudę panowania nad wszystkim. Szczelnie wypełnionego czasu. Zwykle poświęcanego na zarabianie, rozwój, awans. Tutaj to totalna egzotyka. Tutaj się po prostu żyje. Jesteś głodny? Po prostu wyjdź z domu.

Jeden z kościołów, których budowa została zainicjowana przez misjonarzy michalitów. Dziś utrzymywany już przez samych Papuasów. Z ich własnej woli

Papua Nowa Gwinea. Tutaj nie znajdziesz luksusów

– Wieźliście umarlaka.

– Że co?

– No, normalnie – Józek uśmiecha się, jakby właśnie opowiadał nam o tym, co dokładnie jadł dziś na śniadanie. – Mieliście w bagażu zmarłego.

– Skąd to wiesz?

– Właśnie się dowiedziałem.

Z niewielkiego baraku robiącego za największe lotnisko całego interioru Papui Nowej Gwinei wynurzają się kolejni ludzie ubrani w białe szaty. W większości kobiety. Część ma zawieszone na szyjach wieńce z kolorowych kwiatów. Mimowolnie przychodzi mi na myśl skojarzenie z nakładaniem kwiatowych wieńców na szyje przybyszów na Hawaje. Tutaj jednak ma to raczej nieco inny symbol.

– To prawdopodobnie członkowie jego klanu. Przyjechali oddać mu ostatnią przysługę – tłumaczy dalej Józek. – To typowe dla Papuasów. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, umarł tutejszy Big Man, Wielki Człowiek. To taki jakby wódz plemienia. Guru, mentor, dowódca – cierpliwie tłumaczy Józek. – Gdy umiera, zwykle z całej wyspy, ze wszystkich jej zakątków, przybywają krewni i członkowie klanu. Przywieźli go na jego rodzinne włości. Bo Big Mani to zwykle bogaci ludzie. W Europie powiedzielibyście, że to ktoś w rodzaju biznesmena. Prowadzą interesy, więc wolą mieszkać w mieście. Nadal, rzecz jasna, sprawując rolę dowódcy klanu.

– A ci ludzie tam? – towarzysząca mi w podróży Magda zwraca uwagę na ludzi opartych o wielkie ogrodzenie okalające lotnisko. – To też członkowie klanu oczekujący na swojego Big Mana?

– Nie, nie... – uśmiecha się Józek – ...to tutejsi.

– I po co tak tu teraz tłumnie stoją i się gapią?

– Jak to po co? Przyjechali was zobaczyć.

Kanibalizm kiedyś i dziś

– To jak to jest u was z tymi ludożercami? – wypalam wprost podczas pierwszej wspólnej herbaty z Józkiem oraz Bogdanem, dwójką michalitów, którzy od kilkudziesięciu już lat pracują na misjach w Papui Nowej Gwinei.

– Ano są... – Józek jak zwykle nie owija w bawełnę. – Zdarzają się różne przypadki, że tak to nazwę...

– Na przykład?

– Ano na przykład kilka dni temu... – Józek na chwilę się zamyśla. – Nie, Boguś? Kiedy to było?

– Mówisz o tym małżeństwie? – milczący do tej pory Boguś naraz się ożywia.

– No, no, no, o nim właśnie, o nim! – potwierdza głośno Józek. – Jakieś sześć dni temu pewna para żyjąca pod Mount Hagen nieco się posprzeczała.

– Ostro się pokłócili ponoć... – wtrąca nieśmiało Bogdan.

– W przypływie złości mąż chwycił za nóż i... odciął żonie pierś. A następnie zjadł – kończy historię misjonarz.

– Niestety, kanibalizmu tak łatwo stąd nie wyplenisz... – dodaje już nieco ciszej Bogdan.

Ziemniaki przy drodze

Przy szosie prowadzącej z Mount Hagen do Mondop Józek zatrzymuje na chwilę auto. Akurat na poboczu siedzą jakieś panie. „Kupię nam trochę warzyw na dziś do obiadu" – rzuca Józek. Jedna z kobiet ma buraki, druga cebulę. Trzecia poukładane przed sobą w piramidę ziemniaki. Ostatnia zaś sprzedaje bułaj, rosnącą na palmach używkę. Podawaną do ust wraz ze sproszkowaną muszlą. Prócz tego na stoliku u niej widzę pojedynczy but. Ewidentnie używany. I prawdopodobnie gdzieś znaleziony.

– A to co? – dopytuję Józka.

– But.

– Pani handluje pojedynczym butem? – nie dowierzam.

– Tak, widzisz w tym jakiś problem?

– No, na przykład w tym, że nigdzie nie widać drugiego. Do pary.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Tu ziemniaki sprzedaje się nie na kilogramy, a na kupki

– Bo prawdopodobnie go nie ma – racjonalizm Józka jest momentami wręcz powalający.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że ta pani handluje w tej chwili jednym trekkingowym butem górskim?

– Dokładnie. Wiesz, ilu Papuasów ma taki but?

– Nie mam pojęcia.

– Ja też nie. Ale na pewno garstka. To zawsze więc jakiś splendor.

Gdy nie udaje mi się jeszcze wyjść z podziwu, jak głęboko w tutejszą mentalność i rzeczywistość pojmowania niektórych spraw udało się już zagłębić się Józkowi przez lata misji na Papui, słyszę krzyk: „Nau yu mast bai olgeta!". To jedna ze sprzedających pań wykrzykuje w wniebogłosy. Chyba poszło o Magdę, która robiła w międzyczasie zdjęcia handlującym przekupkom. Po chwili stajemy się świadkami dość głośnej wymiany zdań między siedzącą przed kopczykami ziemniaków panią a naszym Józkiem. Michalita próbuje uspokajająco wyjaśnić całą sytuację, pani tymczasem jest wyraźnie zdenerwowana, wykrzykuje, wskazując palcem Magdę.

– O co chodzi? – pytam zakonnika.

– Nic takiego – uśmiecha się michalita. – Pani każe Magdzie wykupić wszystkie jej ziemniaki.

– A to niby dlaczego? – oburza się stojąca obok mnie dziewczyna.

– Pani stwierdziła, że nikt ich teraz nie kupi, bo przeskoczyłaś nad nimi.

▶ Wojna co (k)rok

– W tym miejscu do mnie strzelali – Bogdan nie odrywa nawet wzroku od drogi. Mocno trzymając kierownicę, stara się, aby auto trzymało się możliwie jak najbliżej środka duktu. Przez te kilka dni wspólnej jazdy po tutejszej prowincji zdążyłem się już nauczyć, że na drogę w Papui w każdej chwili może coś wyskoczyć. Zwierzę, człowiek, dziecko... I niekoniecznie z dobrymi intencjami.

– Kto do ciebie strzelał, Boguś? – dopytuję.

– Jacyś ludzie. Nie wiem dokładnie, kim byli. To działo się za czasów wojny między dwoma klanami. Tutaj przebiegała granica ich wpływu. Zwalili konar drzewa na drogę i zatarasowali przejazd.

– I co? Zatrzymałeś się?

– Tylko zwolniłem – na schowanych w siwiutkiej brodzie ustach Bogdana dostrzegam ledwo widoczny uśmieszek. – Gdy myśleli, że chcę się zatrzymać, w ostatniej chwili przyspieszyłem, znajdując w zaporze delikatną przerwę. Wtedy zaczęli strzelać. Ale nie trafili.

– Często macie tu takie akcje?

eprasa.pl 77bfbfce1f

– Dosyć.

– Nie spodziewałem się, że tak piękna ziemia może być zarazem tak groźna i krwawa...

– Stefan, pamiętaj, ile klanów tu żyje. Nie wszystkie muszą się kochać. Tak wybuchają wojny. O wszystko. O to, że ktoś komuś potrącił syna. O to, że wziął ślub z córką bez pytania o zgodę. Czy wreszcie o to, że ukradłeś świnię. Tych wojen mają tu przynajmniej kilka w roku.

– I was, jako zakonników, nie dotyczy jakaś nieformalna ochrona?

– Jak jest wojna, nikt na to nie patrzy. Prócz zemsty, to także okazja do rabunku. Przykro to mówić, ale tak właśnie jest. Teraz będzie ci łatwiej zrozumieć, dlaczego tak mało tu turystów...

Szczęśliwi pomimo zagrożeń

Ta kraina fascynuje. Przynajmniej mnie. Człowieka zamkniętego w klatce uporządkowanego planowania. Wygodnie umocowanego we wszelkich schematach, mających dawać mi ułudę panowania nad wszystkim. Szczelnie wypełnionego czasu. Zwykle poświęcanego na zarabianie, rozwój, awans. Tutaj to rzeczywiście totalna egzotyka. Tutaj się po prostu żyje. Jesteś głodny? To wyjdź z domu. Zwykle w promieniu kilku kilometrów znajdziesz na drzewach bądź w ziemi wszystko, czego potrzeba ci do wyżycia. Dorodne owoce wręcz spadają Papuasom na głowy. Przy takim trybie życia przyzwyczajony do nieco innego odpoczynku organizm białego człowieka mieszkającego w cywilizacji XXI wieku doznaje szoku. To w pierwszej chwili. Potem jednak jest już tylko lepiej. Zaczyna odpoczywać. Tak też było ze mną. Bez prądu, bez dostępu do telefonu komórkowego, bez internetu. Bez uzależnień, bez utartych schematów. Wolny. Nieskrępowany pętami dziwnie rozumianego postępu.

W Papui człowiek zaczyna wolniej myśleć. Wolniej nie znaczy gorzej. Ani mniej wydajnie. Po kilku dniach, tygodniach spostrzegasz, że zaczynasz używać innych zmysłów. Że rozpoznajesz inne smaki, rozróżniasz nosem nowe zapachy. Wracasz do przeszłości. Do siebie. To bardzo cenny czas. Niezwykle cenne przeżycie. Po nim absolutnie nie dziwi mnie informacja, że ci dwaj cudowni zakonnicy wcale nie śpieszą się do spędzenia swojej emerytury w ojczyźnie. Oni poszli już w nieco innym kierunku. I są szczęśliwi. Nawet pomimo zagrożeń.

Gdy robi się ciekawie

Wyglądający na „wczorajszego" przybłęda rozsiadł się na niewielkim wale tuż nad bramą wjazdową do michalickiej bazy. Tu, gdzie spędziliśmy ostatnie dwie noce. Roztargnionym wzrokiem wiedzie po okolicy, by zatrzymać go na mnie. I zapytać łamaną angielszczyzną. – Chciałbyś się sztachnąć?

– Nie, nie... Dzięki – odpowiadam po angielsku możliwie grzecznie. Ten człowiek budzi we mnie jednak jakiś lęk.

– A może chciałbyś mi coś dać? Przyjmę wszystko. Dragi mi się kończą...

Okazuje się, że to stały bywalec michalitów. Przychodzi tu co kilka dni. Chyba nie ma domu. Ale raczej nie bywa agresywny.

– Z drugiej jednak strony z nimi nigdy nie będziesz wiedział – przyznaje Józek. – W końcu ta prohibicja jest tu z jakichś przyczyn...

– Papuasi mają słabość do alkoholu?

– Słabość to możesz mieć ty albo ja. Oni zaś przez nieco inny skład krwi bardzo szybko się upijają. A teraz wyobraź sobie uzbrojonych w te ich nieodłączne maczety [faktycznie: większość mijanych mężczyzn dzierży w ręku metrowej długości tasaki – przyp. aut.] pijanych kilku Papuasów. W dodatku po zmroku. A dodam, że u nas na prowincji latarni nie ma. Perfekcyjna ciemność. Chyba że trafi się akurat pełnia. Spotykasz więc takich kilku podpitych tutejszych, którzy po kilku głębszych bardzo szybko mogą stać się ciut agresywni. I widzisz połyskujące ostrza ich maczet. Robi się ciekawie, prawda?

Egzamin końcowy

Słuchanie tych historii w murowanej stacji michalitów jest zupełnie przyjemne. Za kilka dni będziemy to powtarzać, ale już w dość prowizorycznych lepiankach tutejszych parafian. Ze słomianym dachem polanym smołą. Papuasi palą w środku tych domów ogniska. Nie pomni zagrożenia spaleniem dachu wolą go w ten sposób „odrobaczyć". Mnie najprawdopodobniej trafił się dom, w którym to „odrobaczanie" nie do końca się udało. Następnej nocy nie spałem z powodu pcheł, które obsiadły całe moje ciało. Dopiero za dnia udało mi się wybić je co do jednej. Czując jednocześnie, że to tylko kolejny „chrzest" papuaskiej ziemi.

Dziś nocujemy w jeszcze innym miejscu. To wieś Kasap. Położona nieco wyżej niż największe w okolicy Mount Hagen. W samym sercu buszu. Z wykarczowanymi poletkami przeznaczonymi pod uprawę.

– Bogdan, ty musisz jeszcze mocniej zasuwać tą pompą! Bo w tym tempie to my dziś prysznica nie weźmiem! – ze strychu naszej zrujnowanej leśnej chaty słychać głos Józka. – Mówię Ci, Boguś, wytęż no mięśnie jeszcze, bo my ze Stefkiem to jeszcze dziś byśmy się wykąpać chcieli.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Dziś nocujemy w jeszcze innym miejscu. To wieś Kasap

Do leśnej chatki dotarliśmy po całodziennej jeździe przez górzysty papuaski interior. Wąska asfaltowa nitka wbijała się klinem pomiędzy bujne lasy, zielone pagóry i wyrastające nie wiadomo skąd słomiano-gliniaste chatki. Gdzieniegdzie asfalt znikał i zaczynał się prawdziwy off-road. W Kasap nie mają prądu, nie mają wody. Jeśli chcesz się umyć, trzeba wpierw naprawić pompę.

– Żebyś ty widział, co tu zastałem – przy ledwo tlącym się knotku świecy Bogdan wspomina swój pierwszy pobyt w tej chatce w sercu papuaskiego buszu. – Nic! Zupełnie nic. Kilka chat, dziwni ludzie. I te ich zwyczaje. Wszystko trzeba było robić jako pierwszemu. Pierwsze wizytacje, pierwsze wycieczki do osad w górach z Komunią świętą, pierwsze przyjaźnie...

– I jak cię przyjęli?

– Nie zawsze było prosto...

– Ja to miałem taki zwyczaj – wtrąca się milczący do tej pory Józek. – Jak mi przychodziły łobuzy na parafię i grozili czymś tam...

– A to grozili ci? – przerywam.

– A bo to raz. To i Bogusiowi, i mnie grozili. Wiadomo. Przychodzi biały obcy i ma im tu kościół zakładać. Musiały być konflikty. Ale czekaj, dokończę... Jak mi łobuzowali, to ja mówiłem jasno: „To wy mnie macie utrzymać, a nie ja mam się przed wami bronić! Nie chcecie księdza, nie ma sprawy! Ale jeśli mam wam służyć, to i wy macie mnie bronić. A nie jeszcze terroryzować". I zrozumieli, że gramy w jednej drużynie. Słuchaj... Jak mi nie zaczęły kobity przynosić do domu świń, kur, warzyw. Od tej pory nie musiałem się już martwić o to, co będzie na obiad. Ani o kościół. Sami pomagali mi w jego sprzątaniu. Ustalaliśmy dyżury.

– Bo to dobrzy ludzie są – tym razem do głosu dochodzi Bogdan. – Trzeba tylko przestawić się na te ich zwyczaje, sposób patrzenia na świat. Potem pozostaje już tylko kochać to miejsce. A złych ludzi i tak spotkasz. Niezależnie od kontynentu.

Nadeszła noc. A wraz z nią cisza. Milczymy więc i my, nasłuchując. Po kilku chwilach słychać pierwsze krople. Przyszła ulewa. Siedzimy dalej w dolnej izbie naszej skrzypiącej chaty, przypatrując się tańczącemu coraz intensywniej płomykowi świecy. Bez prądu, bez bieżącej wody, bez niczego. Ale razem z odważnymi kapłanami. Mnie tam wystarczy. Nie wiem tylko, czy to właśnie dziś był ten egzamin, ale mam nieodparte wrażenie, że powoli jako tako zaczynam tę Papuę rozumieć. Ciekawe, jak ona mnie oceni? ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Olga Doleśniak-Harczuk

Po Matce łez Madonna uśmiechów

W 1846 roku na górze wznoszącej się nad La Salette, we francuskich Alpach Wysokich, w trudno dostępnym dla przyszłych pątników zakątku, pastuszkom objawiła się płacząca Maryja. Dwanaście lat później w głębi Gaskonii, w urokliwym Lourdes, przyszła uśmiechnięta Matka Boża. Joris-Karl Huysmans opisując w „Katedrze" fenomen objawień w La Salette i Lourdes, przemyca teorię, że Opatrzność zawsze znajdzie sposób, by dotrzeć do grupy docelowej, a „Maryja raczyła się objawiać pod rozmaitymi postaciami, aby zaspokoić gusta i wymagania każdej z naszych dusz". Mówiąc zaś wprost: jednymi wstrząśnie lament, a innym wystarczy łagodny uśmiech.

Bywa jednak i tak, że coś, co kąsa ducha czy wręcz grozi podcięciem gałęzi pobożności, wznieca nastrój odwrotny do zamierzonego. A czasem z kolei wydarzenie z pogranicza tragizmu i mistyki przestaje być czytelne wyłącznie dla przekonanych. Trochę jak płonąca katedra, której widok wyciśnie łzę z oka nawet najbardziej zatwardziałego ateisty.

Manifest Trzech Miast

Reklama. Słowo klucz do teorii Huysmansa o możliwej sile pozytywnego rażenia dzieł z założenia antyreligijnych. Reklama miejsc świętych, miejsc kultu, tych cudownych skrawków ziemi wybranych przez Boga na ambasady Królestwa Niebieskiego. Reklama wiary w jej pielgrzymkowym wydaniu, z dusznymi pociągami wiozącymi chorych do cudownych źródeł Lourdes, z cierpieniem fizycznym i psychicznym wiezionym Naszej Pani w tobołkach i lichych walizkach. Antyreklama. Naturalistyczny pejzaż ludzkich ułomności, z fizjologią na pierwszym planie, z kpiną z rzekomego religijnego fanatyzmu, również z prostej wiary w cuda. Krytyka duchowieństwa, ruchu pielgrzymkowego i katolicyzmu jako systemu nieczułego na problemy społeczne, jako religii nieprzystającej do nowoczesnej Francji, która powinna iść drogą naukowego postępu, a nie szlakiem wydeptywanym przez rozmodlonych pątników. Tak w skrócie można by streścić przesłanie wydanej w 1894 roku powieści Emila Zoli „Lourdes", będącej pierwszą częścią trylogii „Trzy miasta" . Dwie pozostałe to „Rzym" z 1895 roku i wydany dwa lata później „Paryż".

eprasa.pl 77bfbfce1f

Każdy z tomów na innej płaszczyźnie rozprawia się z religią katolicką, mamy tam nastawionych tylko na profity księży zawiadujących pielgrzymkowym przemysłem, papieża stojącego na straży cenzury, radosny ateizm ludzi o złotych sercach przeciwstawiany zmurszałej religijności posępnych bigotów. A jednak zdaniem Huysmansa nikt we Francji lepiej od zapiekłego antyklerykała Emila Zoli nie rozsławił Lourdes. I widzi Huysmans w tym zdarzeniu nie przypadek, lecz Boski plan.

Narzędzia

Pierwszym, który podjął temat Lourdes, był pisarz i dziennikarz Henri Lasserre, autor książki „Nasza Pani z Lourdes" (1869), autor, którego Huysmans w mało elegancki sposób nazywa kancelistą od cudów i beztalenciem, ale beztalenciem wielce użytecznym. Huysmans był pewien, że zadaniem Lasserre'a było przetarcie szlaku, zasianie w sercach religijnych Francuzów ziarna nabożeństwa do Lourdes. I zadaniu temu Lasserre w pełni sprostał, a nawet podporządkował mu resztę życia, sądząc po wielu kolejnych, niemalże seryjnie produkowanych publikacjach na temat objawień.

Czas Lasserre'a zakończył się z chwilą, gdy zainteresowanie Lourdes nieco okrzepło. Teraz, jak to ujmuje Huysmans: „Potrzebna była książka zupełnie odmienna niż poprzednia, książka zdolna wywrzeć wpływ na tę ogromną publiczność, która nie lubowała się w prozie zakrystianina. Trzeba było, żeby Lourdes przenikało do warstw mniej podatnych na obróbkę i gęstszych, do publiczności głębszej i nie tak łatwej do ukontentowania [...]. Był zatem tylko jeden w całym literackim świecie, który mógł zaspokoić te wymogi: Emil Zola. Na próżno poszukiwano innego. On jedyny zdolny był ze swoim formatem, ze swoją niebywałą sprzedażą, potężną reklamą ponownie wylansować Lourdes. Nic nie szkodziło, że neguje nadprzyrodzoność, a niewytłumaczalne uzdrowienia stara się wytłumaczyć supozycjami najmizerniejszymi z mizernych. [...] Wszystko sprowadzało się do tego, że wokół jego książki wywiązały się donośne spory, a ponad sto pięćdziesiąt tysięcy jej egzemplarzy głosiło we wszystkich krajach imię Lourdes [...]. Wypada też zauważyć, że w książce nie było wrogości względem Panny Świętej, o której autor wyrażał się raczej z szacunkiem. Czyż nie wolno wierzyć, że skandal wywołany tą książką przyniósł korzyść? Krótko mówiąc, można twierdzić, że Lassere i Zola byli pożytecznymi narzędziami".

Agonia? To nie takie proste

A zatem Zola jako pożyteczne narzędzie. Ten sam Zola, który kończąc swoją rozliczeniową powieść o Lourdes, załamuje ręce nad „smutnymi ludźmi, biedną, chorą, spragnioną iluzji ludzkością, która w zmęczeniu kończącego się stulecia, zagubiona i udręczona nadmiarem zbyt żarłocznie nabytej wiedzy, uważa, że opuścili ją lekarze ciała i duszy, że grozi jej wielka, nieuleczalna choroba, więc zawraca wstecz i oczekuje cudu swego uzdrowienia w mistycznym Lourdes, należącym bezpowrotnie umarłej przeszłości!". Zola piszący, że historia nie może się cofnąć. Ludzkość nie powróci do wieku dzieciństwa, a „Lourdes było niewątpliwie tylko zjawiskiem dającym się wyjaśnić, a gwałtowność wywołanej przez to zjawisko reakcji stanowiła jeden dowód więcej, że wiara, pod starą formą katolicyzmu, szamoce się w ostatecznej agonii" i że „nigdy już cały naród nie padnie na twarz, jak czyniły dawne ludy w katedrach XII wieku, podobne do uległego stada pod ręką Pana". A jednak. Jeżeli Lasserre dotarł z opowieścią o Lourdes pod strzechy, to Zola wtłoczył ją w arterie zadymionych kawiarni.

Kiedy duch bawi się w anemię

Płomienie w Notre Dame. Świat, nie tylko ten chrześcijański, zapłakał nad katedrą. Nawet z gruntu areligijne stacje telewizyjne relacjonowały z przejęciem przebieg pożaru, który ugodził laicką Francję w jej najczulszy punkt. W sam środek tego, gdzie kiedyś biło jej pobożne serce. Coś jakby ból fantomowy. I chyba pewna jednak podskórna tęsknota za czasem, gdy „cały naród padał na twarz". W tych dniach żałoby po katedrze wielokrotnie w mediach sięgano do Victora Hugo, odkurzano poetycką opowieść z XV-wiecznej Francji „Katedra Najświętszej Marii Panny w Paryżu". Powieść wydano w 1831 roku, „Katedra" Huysmansa, której osią była katedra w Chartres, a nie ta paryska, narodziła się dla publiki 67 lat później, cztery lata po „Lourdes" Zoli. Pod koniec pierwszego rozdziału „Katedry" Huysmans pisał: „Ponad zobojętniałym miastem katedra samotnie czuwała, upraszając zmiłowania za niechęć do cierpień, za bezwładność wiary, którą okazywali dziś jej synowie. Wyciągała ku niebu dwie wieże jakby dwa ramiona, kształtem dzwonnic udając dwie złożone dłonie z dziesięcioma palcami, pionowo jedne naprzeciwko drugich, w tym geście, z którym dawni rzeźbiarze przedstawiali na nagrobkach zmarłych świętych i wojowników". Ten opis równie dobrze mógłby dotyczyć paryskiej Notre Dame. Zobojętniałe miasto. Bezwładność wiary, którą Huysmans nazywał też duchową anemią i na którą sam wielokrotnie zapadał w swoich czterech ścianach. Z tego musi wyniknąć coś dobrego. Po Matce Łez przychodzi Madonna Uśmiechów. Nie trzeba wielkiej filozofii. ■

———

Emil Zola, „Lourdes", tłum. Eligia Bąkowska, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1962.
Joris-Karl Huysmans, „Katedra", tłum. Marcin Masny, Fundacja Instytutu Globalizacji, 2017.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

USA–Chiny

25 marca 2019 roku reaktywowany został Komitet Obecnego Zagrożenia (CPD). Ten konserwatywny amerykański think tank powstał w 1950 roku w celu obrony przed inwazją komunizmu w USA i zagrożeniami ze strony ZSRS. Po kilku latach działalność Komitetu zamarła, by ruszyć na nowo w 1976 roku i ponownie zająć się zagrożeniem ze strony Związku Sowieckiego. Czterdziestu sześciu członków Komitetu po wyborczym zwycięstwie Ronalda Reagana było w jego zespole do spraw przejęcia władzy, a w 1981 roku członkowie Komitetu objęli 32 ze 182 miejsc w administracji Reagana. W 2004 roku Komitet został ponownie reaktywowany w związku z zagrożeniem islamskim terroryzmem.

Odtworzony w tym roku z inicjatywy Steve'a Bannona, byłego stratega prezydenta Donalda Trumpa, Komitet ma za zadanie powstrzymywanie imperialnych ambicji komunistycznych Chin. W skład CPD wchodzą m.in. Frank Gaffney (były doradca ds. obrony Ronalda Reagana, znany antyislamista stojący dziś na czele organizacji Save the Persecuted Christians), James Fanell (były wysoki rangą urzędnik wywiadu i specjalista ds. Dalekiego Wschodu), William J. Bennett (sekretarz edukacji USA za czasów prezydenta Reagana, a w czasie kadencji prezydenta Busha seniora odpowiedzialny za walkę z narkomanią), pastor Bob Fu (założyciel i kierujący organizacją China Aid, która pomaga chińskim dysydentom oraz prześladowanym w Państwie Środka chrześcijanom) i Robert James Woolsey (dyrektor Centrali Wywiadu DCI w latach 1992–1995). Przewodniczącym Komitetu jest Brian T. Kennedy, kierujący także American Strategy Group – organizacją, która zajmuje się badaniem egzystencjalnych zagrożeń, jakie świat islamski, Rosja i Chiny stanowią dla Stanów Zjednoczonych i cywilizacji zachodniej.

CPD w opublikowanym komunikacie stwierdza, że „tak jak dawniej Związek Sowiecki, tak dziś Chiny stanowią dla USA i idei wolności zagrożenie egzystencjalne i ideologiczne – takie, któremu trzeba przeciwstawić nowy konsensus dotyczący amerykańskiej polityki i priorytetów".

9 kwietnia Brian T. Kennedy przemawiając na panelu dyskusyjnym zorganizowanym przez Komitet powiedział, że celem organizacji jest edukowanie i informowanie obywateli USA i decydentów politycznych na temat egzystencjalnych zagrożeń, jakie stanowi Chińska Republika Ludowa pod rządami Komunistycznej Partii Chin. Według Kennedy'ego organizacja ma m.in. przedstawiać „zagrożenia wynikające z rozbudowy sił zbrojnych ChRL, z chińskiej wojny informacyjnej i politycznej, na celowniku której są Amerykanie, nasze elity biznesowe, polityczne i medialne, z chińskiej wojny cybernetycznej i wojny ekonomicznej". Przemawiający na tym samym panelu Steve Bannon nazwał reaktywację CPD „decydującym momentem naszych czasów". „Za sto lat będą nas pamiętać właśnie za to. I gwarantuję Państwu, że wskażemy tych przedstawicieli elity, którzy zdradzili nas i nadal zdradzają Amerykanów, ale i Chińczyków" – dodał były strateg Trumpa.

Członkini Komitetu dziennikarka Sasha Gong zwraca uwagę na konieczność podjęcia szybkich konkretnych działań, które mogą powstrzymać wojnę ideologiczną, jaką na terenie USA prowadzą komunistyczne Chiny. „Rozbrajamy się, a tymczasem Chińczycy przejmują nasz teren, już nadają tutaj, zdobywają naszych ludzi i zdobywają ich serca i umysły" – twierdzi Gong, była szefowa chińskiej redakcji Głosu Ameryki. Dziennikarka na panelu zorganizowanym przez Komitet Obecnego Zagrożenia zwróciła także uwagę na to, co mówią oficjalne dokumenty Komunistycznej Partii Chin. Według nich narzędziem w wojnie informacyjnej prowadzonej przez Chiny jest także Nowy Jedwabny Szlak. To w ramach promowania tej inicjatywy do innych krajów wysyłani mają być dziennikarze, chińskie media, mają pojawiać się chińskie programy w miejscowych językach, publikacje w miejscowych mediach. Między innymi w ten sposób „wróg jest już u naszych bram" – alarmowała Sasha Gong.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Korea Południowa

11 kwietnia południowokoreański Trybunał Konstytucyjny orzekł, że aborcja w tym kraju musi być dozwolona. Sędziowie uznali, że dotychczasowy zakaz aborcji łamie południowokoreańską konstytucję i dali rządowi czas do końca 2020 roku na przygotowanie odpowiednich zmian w prawie.

Zakaz aborcji obowiązuje w Korei Południowej od 66 lat. Prawo to zostało wprowadzone w 1953 roku i dopuszcza odstępstwa jedynie w przypadku ciąży pochodzącej z gwałtu, ze związku kazirodczego lub zagrażającej życiu matki. Za złamanie zakazu kobietom grozi grzywna i więzienie.

W wydanym po ogłoszeniu wyroku oświadczeniu biskupi Korei Południowej przypomnieli nauczanie Kościoła, że aborcja jest grzechem, ponieważ jest zabójstwem niewinnego życia w łonie matki. Dodali także, że nie ma takiej racji, która usprawiedliwiałaby taką praktykę. Kościół katolicki ogłosił również, że nadal będzie „wspierał i towarzyszył osobom, które zastanawiają się nad przyszłością poczętego życia, aby mogli przezwyciężyć pokusę aborcji i powiedzieć »tak« dziecku, które chce przyjść na świat". Kościół będzie też kontynuował promocję życie i przypominał, że jego ochrona od momentu poczęcia jest obowiązkiem całego społeczeństwa.

Japonia

Japonia uruchomiła dwie nowe bazy wojskowe na wyspach Amami Oshima i Miyako w prefekturach Kagoshima i Okinawa, w rejonie północnego Pacyfiku. Jak podaje dziennik „Japan Times", powstanie baz jest odpowiedzią na rosnące zagrożenie ze strony Chin.

Celem nowo powstałych baz ma być „pierwsza reakcja w sytuacjach kryzysowych". Mają też służyć jako przyczółki do prowadzenia dalszych działań wojskowych. Na wyspie Amami Oshima ma stacjonować 560 japońskich żołnierzy, z kolei w bazie na wyspie Miyako – do 800 żołnierzy.

W grudniu ubiegłego roku Tokio ogłosiło plan zakupu od USA 100 myśliwców piątej generacji F-35, a także przeprowadzenie modernizacji okrętu Izumo. Te kroki są także argumentowane zagrożeniem wynikającym z rosnącej potęgi Pekinu. Po zrealizowaniu zamówienia, w Siłach Samoobrony Japonii znajdzie się łącznie 147 myśliwców. Wśród nich będzie m.in. 40 maszyn F-35B, zdolnych do startu z krótkiego pasa. Prawdopodobnie będą służyć na zmodyfikowanym okręcie Izumo.

Japońskie Siły Samoobrony to de facto armia Kraju Kwitnącej Wiśni, bo formalnie armii tam nie ma. Według artykułu 9 konstytucji Japonia musiała „wyrzec się na zawsze wojny jako suwerennego prawa narodu, jak również użycia lub groźby siły jako środka rozwiązywania sporów międzynarodowych". Konstytucja opracowana w 1946 roku przez amerykańskich prawników zezwalała na użycie japońskich sił jedynie w samoobronie. W tym celu stworzono w 1954 roku Japońskie Siły Samoobrony (Jieitai).

Od momentu dojścia do władzy w 2012 roku japoński premier Shinzo Abe zapowiadał rozszerzenie możliwości działań Jieitai. We wrześniu 2015 roku Japonia przyjęła ustawę zwiększającą rolę armii, zezwalając po raz pierwszy od zakończenia II wojny na użycie wojska poza granicami kraju w obronie sojuszników. Kraj Kwitnącej Wiśni wydaje także coraz więcej na obronę. Budżet wojskowy Japonii na rok 2019 to 47 mld dolarów. Tokio ogłosiło też, że w ciągu najbliższych pięciu lat zamierza wydać na zakupy sprzętu obronnego 224,7 mld dolarów.

W wypowiedzi dla brytyjskiego tygodnika „The Economist" jeden z japońskich dyplomatów jasno podaje powód reform w obronności swojego kraju: „W ciągu ostatnich dziesięciu lat mieliśmy trzy poważne obawy dotyczące bezpieczeństwa narodowego. Pierwszą z nich są Chiny; druga to Chiny; trzecia to Chiny". Właśnie temu zagrożeniu ze strony ChRL podporządkowana jest obecna strategia militarna Japonii.

Rosja–Chiny

W Moskwie uruchomianych jest coraz więcej kamer z programem identyfikacji twarzy. Na razie jest ich 1500, ale liczba ta ma wzrosnąć do ponad 100 tys. Jak podała agencja informacyjna RBK, na razie program jest w fazie testów i służy jedynie do monitorowania zachowania na przykład pasażerów metra.

Edward Łysenko, minister do spraw technologii informacyjnych we władzach Moskwy, zapowiedział też, że miasto będzie „wymieniać informacje z zagranicznymi kolegami, w tym z Chinami", które posunęły się dalej niż inne kraje w zakresie rozbudowy technologii rozpoznawania twarzy. Także chińskie firmy, w tym Huawei, mogą być zaangażowane we wdrożenie 5G w Rosji, ponieważ Huawei osiągnął już porozumienie w sprawie opracowywania i wdrażania standardów 5G z rosyjską firmą MegFon.

Rosyjska opozycja oraz obrońcy praw człowieka ostrzegają, że takie rozwiązania są elementem tworzenia systemu totalnej inwigilacji obywateli, podobnego do tego, jaki działa już w Chinach. Obywatele Państwa Środka są ciągle obserwowani przez kamery, których łącznie ma być nawet 600 mln na terenie całego kraju. Od zeszłego roku działa tam połączony z kamerami System Oceny Obywateli – poprzez monitoring Chińczycy są poddawani ocenie. Każdy najmniejszy występek powoduje utratę „punktów w rankingu".

Wszyscy obywatele, którzy utracili punkty, mają ograniczone podstawowe możliwości. Nie mogą podróżować, opuszczać miast, kupować biletów, starać się o kredyt, a ich pracodawcy muszą stale składać raporty na temat ich zachowania w pracy. System Oceny Obywateli zakłada karanie Chińczyków za łamanie przepisów drogowych, niespłacenie pożyczek oraz... umieszczanie nieprzychylnych komentarzy w internecie na temat władzy komunistycznej. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Cena niepodległości Gruzji. 30 lat po „nocy saperskich łopatek"

Trzydzieści lat temu, 4 kwietnia 1989 roku, mało znani wówczas liderzy opozycji gruzińskiej pod przywództwem późniejszego pierwszego prezydenta Gruzji Zwiada Gamsachurdii zorganizowali w Tbilisi wiec przeciwko abchaskim dążeniom do oderwania się Abchazji od gruzińskiej republiki. Ponieważ kierownictwo Gruzińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej odmówiło dialogu, hasła protestujących się zaostrzyły. Zaczęto domagać się wystąpienia z ZSRS. Kreml domagał się od Tbilisi pokojowego zażegnania konfliktu i użycia wojsk tylko w krytycznej sytuacji, ale Komitet Centralny partii komunistycznej Gruzji przekonał dowódcę Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego gen. Igora Rodionowa, by rozpędzić wiec. Przygotowana w oparciu o fałszywe dane operacja wyparcia wiecujących z centrum miasta rankiem 9 kwietnia przerodziła się w starcia. Zginęło 21 osób, 183 demonstrantów i 152 żołnierzy odniosło obrażenia. Rozpędzenie protestu spowodowało radykalizację nastrojów w republice oraz podniosło autorytet polityków domagających się wystąpienia z ZSRS. Dokładnie w rocznicę krwawych wydarzeń, 9 kwietnia 2019 roku, na stronie Radia Swoboda artykuł na ten temat opublikował Georgij Kobaładze.

W Gruzji wspomina się ofiary tragedii 9 kwietnia 1989 roku. 30 lat temu 21 osób, w tym 18 kobiet, zginęło w starciach z sowieckim wojskiem podczas rozpędzania wiecu na stołecznym prospekcie Rustawelego. Wiec odbywał się pod hasłami niezależności od ZSRS. Trzydzieści lat później wielu Gruzinów zgadza się, że 9 kwietnia to przełomowe wydarzenie w najnowszej historii kraju, które doprowadziło do sformowania niepodległego państwa gruzińskiego. Niezależnie od tego, że na drodze do niepodległości kaukaski kraj przeżył wiele wstrząsów, w tym wojnę domową, utratę terytoriów i wojenny konflikt z Rosją.

Skandale i zarzuty

W nocy z 8 na 9 kwietnia 2019 roku na prospekcie Rustawelego, przed budynkiem parlamentu Gruzji, który 30 lat temu był Domem Rządu, setki ludzi tradycyjnie zgromadziły się dla uczczenia pamięci poległych w 1989 roku. Zapalano znicze w miejscu, gdzie polegli demonstranci, na kamieniu postawionym trzy lata po tragedii z napisem „tutaj będzie wzniesiony pomnik poległych bohaterów". Jednak przez wszystkie minione lata pomnik nie został postawiony. Mówi się, że przyczyną jest to, iż gruzińscy artyści i architekci do tej pory nie mogą uzgodnić projektu. Późnym wieczorem 8 kwietnia na prospekt Rustawelego przyszedł premier Mamuka Bachtadze wraz z innymi członkami swego rządu. Wezwał naród Gruzji do jedności. 9 kwietnia na mocy specjalnej ustawy ogłoszono w Gruzji Dniem Jedności, ale rocznicy tragedii, która wstrząsnęła swego czasu gruzińskim społeczeństwem, towarzyszyły polityczne skandale i wzajemne oskarżenia.

Tych skandali i zarzutów było nawet więcej niż w poprzednich latach. Prezydent Gruzji Salome Zurabiszwili złożyła kwiaty w miejscu śmierci ofiar z 9 kwietnia, ale jej wizyta w budynku parlamentu zamieniała się w skandal: ochrona głowy państwa prawie odbiła się od dziennikarzy opozycyjnych mediów i niezadowolonych obywateli. Mimo to Zurabiszwili postanowiła zorganizować w związku z tą datą przyjęcie w Pałacu Ceremonii w dzielnicy Ablawar, gdzie wcześniej pracował prezydent Micheil Saakaszwili. Zaprosiła na bankiet znanych działaczy społecznych, polityków, w tym deputowanych Rady

eprasa.pl 77bfbfce1f

Najwyższej Gruzji z 1990 roku. Byli deputowani jednak praktycznie jednogłośnie odmówili udziału w przyjęciu, uzasadniając to faktem, że Salome Zurabiszwili dekady temu ostro krytykowała pierwszego prezydenta Gruzji Zwiada Gamsachurdię, wybranego na fali emocji po tragedii 9 kwietnia. Tym samym Zurabiszwili, zdaniem jej przeciwników, jakoby sprzyjała zbrojnemu obaleniu Gamsachurdi w styczniu 1992 roku.

Przewodniczący rządzącej partii Gruzińskie Marzenie, miliarder Bidzina Iwaniszwili, w przeddzień tragicznej rocznicy opublikował list, w którym także wezwał rodaków do jedności, nazywając 9 kwietnia „początkiem nowej epoki", a niepodległość – „wielką narodową ideą". Iwaniszwili, którego często nazywają faktycznym władcą Gruzji, tym niemniej oświadczył, że na fali emocji w ślad za odzyskaniem niepodległości w kraju nastąpił wojskowy przewrót, a potem, w 2003 roku, po „rewolucji róż", do władzy doszedł „domorosły dyktator" (miał na myśli lidera opozycyjnej partii Zjednoczony Ruch Narodowy, byłego prezydenta Gruzji Micheila Saakaszwilego). Iwaniszwili ostrzegł rodaków, że wykorzystując ciężką sytuację socjalno-ekonomiczną, „szatan próbuje podzielić gruzińskie społeczeństwo i popchnąć naród do konfrontacji". Główny adresat listu otwartego nie bez podstaw przyjął ten fragment jako kierowany do niego osobiście i odpowiedział w tym samym duchu. „Szatan to stworzenie mające 1,65 m wzrostu, które grabi Gruzję, siedząc w swym szklanym pałacu" – oznajmił Saakaszwili w wywiadzie dla opozycyjnej telewizji Rustawi-2. Główna opozycyjna partia nie była gorsza od swego lidera. Nazwawszy tekst miliardera „cynizmem", współpracownicy Saakaszwilego z Ruchu Narodowego przypomnieli, że Iwaniszwili, będąc współzałożycielem banku Rosyjski Kredyt i członkiem tzw. grupy siedmiu bankierów, w 1996 roku, w trakcie wyborów prezydenckich w Rosji i po nich szczodrze finansował kandydata Aleksandra Lebiedzia, generała rosyjskiej armii, który w czasie kwietniowych wydarzeń w Tbilisi dowodził pododdziałami wojsk powietrzno-desantowych. „Nocy saperskich łopatek" Lebiedź poświęcił jeden z rozdziałów swych pamiętników.

▶ Dlaczego zginęli ludzie?

Burzliwe emocje, wzajemne zarzuty i nawet obelgi 30 lat po tragedii potwierdzają, że to, co zaszło 9 kwietnia 1989 roku, rzeczywiście stało się przełomowym wydarzeniem w najnowszej historii Gruzji. Wtedy na fali gorbaczowowskiej pierestrojki, emancypacji i wolności słowa liderami ruchu walczącego o demokrację i niepodległość stali się byli sowieccy dysydenci: Zwiad Gamsachurdia, więzień polityczny Merab Kostawa, założyciel Partii Narodowo-Demokratycznej Georgij Czanturia i lider Partii Narodowej Niezależności Irakli Cetereli. Wszyscy oni, oprócz Ceretelego, zginęli po 9 kwietnia w różnych okolicznościach: Zwiad Gamsachurdia, według oficjalnej wersji, popełnił samobójstwo pod koniec wojny domowej – 30 grudnia 1993 roku. Merab Kostawa zginął w wypadku samochodowym na jesieni 1989 roku, a Georgija Czanturię 3 grudnia 1994 roku zastrzelono przed drzwiami jego domu. W kwietniu 1989 roku właśnie ta czwórka nadawała ton wydarzeniom. Przekonawszy ludność, że Narodowy Zjazd Abchazów 18 marca 1989 roku i jego żądanie wyjścia z Gruzińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej (przywrócenia statusu Abchazji jako republiki związkowej) był jakoby sprowokowany przez Moskwę, wezwali tysiące stronników do pójścia pod siedzibę rządu rano 4 kwietnia. Głównym żądaniem wiecu szybko stało się wyjście Gruzji z ZSRS.

Ówczesny przywódca Gruzji, pierwszy sekretarz KC republikańskiej kompartii Dżumber Patiaszwili zdecydował zwrócić się o siłowe wsparcie do Moskwy: ciągle wysyłał do kierownictwa ZSRS telegramy o prawdopodobieństwie wymknięcia się sytuacji spod kontroli. Do Tbilisi zaczęły przybywać pododdziały wojsk wewnętrznych i desantowców. W nocy z 8 na 9 kwietnia Patiaszwili wykorzystał ostatnią możliwość, aby przekonać demonstrantów do rozejścia się, aby uniknąć przelewu krwi. Na jego prośbę na wiecu pojawił się przywódca gruzińskiej Cerkwi prawosławnej, katolikos patriarcha Ilja II, ale demonstrujący przerwali gromkim „nie" jego apele, żeby razem przejść z prospektu do najbliższej świątyni, aby się pomodlić. Zaraz po tym zaczęła się siłowa operacja w celu wypchnięcia ludzi z niewielkiego odcinka prospektu przed Domem Rządu. Operacja była zaplanowana tak, aby zmieniła się z wypchnięcia tłumu w okrążenie uczestników wiecu: ludzie nie mieli gdzie uciekać, bo wojsko, na czele którego szły uzbrojone w saperskie łopatki pododdziały desantowe, wkraczało na prospekt Rustawelego ze wszystkich przylegających ulic, zaś transportery zabarykadowały zejścia na brzeg rzeki Kura. Jednocześnie żołnierze wojsk wewnętrznych, wykonując rozkaz, zaczęli rzucać w tłum granaty z gazem łzawiącym. W tłoku ludzie nie mogli nawet się ruszyć i normalnie oddychać. W wyniku takich działań struktur siłowych od uduszenia zginęła większość ofiar tragedii.

Następnego dnia dowódca Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego generał Igor Rodionow ogłosił w Tbilisi godzinę policyjną na podstawie decyzji Prezydium Rady Najwyższej Gruzińskiej SRS o wprowadzeniu w Tbilisi stanu wyjątkowego.

eprasa.pl 77bfbfce1f

Wszyscy liderzy masowego ruchu protestu i organizatorzy wiecu byli aresztowani, ale szybko, po wizycie w Gruzji ministra spraw zagranicznych ZSRS, członka Politbiura KC KPZS Eduarda Szewardnadzego, uwolniono ich bez przedstawienia jakichkolwiek zarzutów, zaś godzinę policyjną i stan wyjątkowy zniesiono. Później komisja Rady Najwyższej ZSRS pod kierownictwem Anatolija Sobczaka ustaliła, że przy rozpędzaniu demonstracji struktury siłowe naruszyły prawo, a ich dowódcy przekroczyli swe uprawnienia. Ale nikogo za to nie pociągnięto do odpowiedzialności: generał pułkownik Rodionow (jeden z autorów planu rozpędzenia wiecu) został rektorem Akademii Wojskowej Związku Sowieckiego, a potem ministrem obrony Federacji Rosyjskiej; pierwszy sekretarz KC Kompartii Gruzińskiej SRS Dżumber Patiaszwili i szef MSW Szota Gorgodze spokojnie przeszli na emeryturę, a ówczesny szef gruzińskiego KGB Giwi Gumbaridze nawet na krótko stanął na czele sowieckiej Gruzji.

Cena niepodległości

Śmierć niewinnych, nieuzbrojonych ludzi, w większości kobiet, tak bardzo wstrząsnęła społeczeństwem, że kwestia niepodległości stała się bezdyskusyjna i bezkompromisowa. Wiele osób w Gruzji uważa, że właśnie tragedia 9 kwietnia przesądziła o pojawieniu się na mapie świata gruzińskiego państwa. Dysydent sowieckiej epoki, literat Lewan Berdzeniszwili powiedział Radiu Swoboda, że 6, 7 i nawet 8 kwietnia nikt w Gruzji nie wierzył w możliwość rozpadu ZSRS i niepodległość Gruzji. „Ale już 10 kwietnia, po tym, co się wydarzyło, Gruzja tak się zjednoczyła, że 99 procent Gruzinów zrozumiało: nie po drodze nam ze Związkiem Sowieckim" – uważa Lewan Berdzeniszwili. Nazywając 9 kwietnia „zwrotnym momentem w historii kraju", uważa, że te wydarzenia odegrały znaczącą rolę w rozpadzie ZSRS – „najważniejszym historycznym akcie ubiegłego wieku". Odpowiadając na pytanie o to, czy przypadkiem nie za drogo Gruzja zapłaciła za niepodległość, z uwzględnieniem wydarzeń, które potem nastąpiły, profesor Berdzeniszwili przypomina słowa Goethego: „Tylko ten jest godzien życia i wolności, który każdego dnia o nie walczy". „Życie w Związku Sowieckim dla wielu było łatwe, ale kosztowało to drogo, bo traciliśmy tożsamość i poczucie własnej wartości" – mówi Berdzeniszwili, wyrażając pewność, że Gruzja „na pewno osiągnie ostateczne cele, stając się pełnoprawnym członkiem NATO i UE".

Ale są we współczesnej Gruzji także inne opinie na temat wydarzeń 1989 roku. Publicysta Petre Mamradze jest przekonany, że bez emocjonalnego szoku 9 kwietnia Gruzja mogła osiągnąć niepodległość za mniejszą cenę krwi i bez dużych wstrząsów. Jak na przykład państwa nadbałtyckie: Estonia, Łotwa i Litwa. „W zasadzie ZSRS w grudniu 1991 roku rozpadł się bez udziału Gruzji i większości innych republik związkowych" – mówi Petre Mamradze i kontynuuje: „W Gruzji liderzy tak zwanego Ruchu Narodowo-Wyzwoleńczego ostro konkurowali między sobą. Właśnie dlatego nie przyjęli wezwania katolikosa i nie zabrali narodu do cerkwi". Mamradze dopatruje się bezpośredniego związku między radykalizacją całego ruchu niepodległościowego, która nastąpiła po tragedii, a ekstremistycznymi hasłami o antyabchaskim i antyosetyjskim charakterze, które stały się zapowiedzią konfliktów wokół Abchazji i Osetii Południowej.

Trzydzieści lat później

Czy historia Gruzji mogła rozwijać się inaczej po 9 kwietnia 1989 roku? Przez 30 lat kraj przeszedł trudną i krwawą drogę: obalenie pierwszego prezydenta Zwiada Gamsachurdii w styczniu 1992 roku i następująca po tym wojna domowa, konflikty etnopolityczne, w wyniku których Gruzja straciła swoje byłe regiony autonomiczne, Abchazję i Osetię Południową, na koniec wojna 2008 roku z sąsiednim państwem atomowym – Rosją. Z drugiej strony, Gruzja jest dziś niepodległym państwem, posiadającym z UE „umowę o stowarzyszeniu", gruzińscy obywatele mogą bez wiz jeździć do Unii Europejskiej, Gruzja uważana jest za kraj aspirujący do NATO, a na jej terytorium raz do roku odbywają się ćwiczenia wojskowe z udziałem tysięcy żołnierzy z państw członkowskich Sojuszu. Niedawno podczas ćwiczeń dowódczo-sztabowych NATO–Gruzja wielonarodowa brygada NATO była nawet pod rozkazami sztabu generalnego sił zbrojnych Gruzji. Na Zachodzie coraz częściej słychać głosy i publikuje się artykuły z propozycją wzięcia pod ochronę Sojuszu Północnoatlantyckiego terytorium Gruzji poza strefą rosyjskiej okupacji, to jest bez Abchazji i Osetii Południowej. Przy tym Gruzja jest, chociaż nie bez problemów, demokracją: obecnie to republika parlamentarna, gdzie już działa precedens pokojowej zmiany władzy w 2012 roku. O tym wszystkim, jak się uważa w Tbilisi, 30 lat temu nikt nie mógł nawet pomyśleć – jak i o pozytywnych i negatywnych skutkach dążenia do niepodległości. Gruzini dziś nie spierają się tylko o to, że 9 kwietnia był naprawdę epokowym wydarzeniem, które określiło rozwój kraju i jego przyszłość na lata, dziesięciolecia, a możliwe, że nawet na stulecia. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Tomasz Sakiewicz

Kto to jest patriota

Zdefiniowanie modelu polskiego patriotyzmu zaczyna mieć kluczowe znaczenie dla trwania i rozwoju naszej wspólnoty. Patriotyzm jest postawą niezbędną, by naród mógł trwać i się rozwijać. Jednocześnie źle użyty może obrócić się przeciwko narodowi. Najbardziej dramatycznym przykładem tego była konfederacja targowicka, gdzie grupa zdrajców popchnęła wielu zagubionych ludzi do współpracy z Rosją. Piękne hasła obrony tradycyjnych wartości zakończyły się rozbiorami.

Uczucia patriotyczne wynikają z potrzeby wspólnoty i chęci przynależności do tradycji, która jest wielopokoleniowa. I choć uczucie jest sprawą indywidualną, to wynikająca z niego postawa musi być efektem prawdziwych potrzeb tej wspólnoty. Jest to jedna z rzeczy, którą trudno do końca demokratycznie sformułować. Każdy naród wytwarza swoje elity, które muszą mu w tej pracy intelektualnej pomóc. Demokratycznie można co najwyżej zatwierdzić owoc tej pracy. Jest to praca organiczna, bo to, co dobre było 100 lat temu, nie musi być takie dzisiaj czy jutro. Niemniej przystępując do takiej pracy, w pamięci musimy mieć kapitał duchowy i kulturowy narodu. Mądre kształtowanie postawy patriotycznej opiera się na wykorzystaniu wszystkiego, co najlepsze w narodzie, szczególnie jego tradycji do obrony bieżących i przyszłych interesów.

Dlatego zupełnie kluczowe jest stworzenie definicji własnego narodu. Bez tego nie da się ani ustalić jego potrzeb, ani opisać historii. Czym jest naród polski? Nasz tradycyjny patriotyzm przypomina nieco amerykański. Stąd też chęć uczestniczenia Polaków w amerykańskiej rewolucji niepodległościowej; wielu z nich w powstających do niepodległości Stanach Zjednoczonych widziało własną ojczyznę. Był to patriotyzm niezwykle dojrzały, będący owocem setek lat tworzenia wielkiego państwa, promieniującego kulturą na inne narody. Tworzenie się idei polskiego narodu zaczęło się wraz z chrztem Polski. Wprawdzie myśl narodowa jest późniejsza, ale to chrzest wyróżnił jedne plemiona słowiańskie od innych. Zupełnie czym innym stała się Ruś, przyjmując prawosławie, i czym innym Polska, biorąc wiarę z Rzymu. Późniejsze doświadczenia sprawę jeszcze bardziej skomplikowały. Ruś została podzielona przez Mongołów na Rosję i Ukrainę. Ta pierwsza stała się na wieki symbolem imperializmu, druga została częścią I Rzeczypospolitej, łapiąc bakcyl wolności, a jednocześnie zachowując swoją religię i obyczaje. Jednak włączenie tak wielkiego narodu do naszego państwa nie obyło się bez zmian świadomości Polaków. W organizmie I Rzeczypospolitej znajdowali się Litwini, Żydzi, Niemcy, Ormianie i wreszcie w największej liczbie Rusini. To wytworzyło wzory myślenia o wspólnej ojczyźnie. Kiedy Rosja narzucała język i religię, Polska głosiła tolerancję, którą świeciła również na Zachodzie Europy.

NA PEWNO DZISIAJ W INTERESIE POLSKIEGO NARODU NIE LEŻY PATRIOTYZM ETNICZNY. UPRAWIAJĄCY GO MUSIELIBY NIE TYLKO WYCIĄĆ NAJPIĘKNIEJSZE ELEMENTY POLSKIEJ KULTURY, LECZ TAKŻE WYSKROBAĆ Z WŁASNYCH GENÓW ŚLADY NARODÓW, KTÓRE MIESZKAŁY Z NAMI TYSIĄC LAT.

Dzisiaj większość wyznaje tę samą religię, a ślady dawnych narodów to głównie pozostałości genetyczne w większości Polaków, często nawet niemających wiedzy o swoich przodkach. A jednak tradycje I Rzeczypospolitej kuszą atrakcyjnością i są znowu potrzebne.

Co wynika więc z naszej historii dla współczesnej myśli patriotycznej? Niech wynika to, co najlepsze i najkorzystniejsze. W naszym interesie jest sięgnięcie do tych tradycji, które są dla nas najbardziej użyteczne. Jeżeli w interesie ojczyzny jest tworzenie wspólnoty Międzymorza, to nie ma lepszego wzoru kulturowego niż I Rzeczpospolita. Jeżeli w interesie Polski jest współpraca z USA, to przypominajmy federację narodów przepełnionych nieznaną w tamtych czasach tolerancją. Na pewno dzisiaj w interesie polskiego narodu nie leży patriotyzm etniczny. Uprawiający go musieliby nie tylko wyciąć najpiękniejsze elementy polskiej kultury, lecz także wyskrobać z własnych genów ślady narodów, które mieszkały z nami tysiąc lat. To szaleństwo to pomysł rosyjski na podbicie osłabionych Polaków. ■

eprasa.pl 77bfbfce1f

Festyn rodzinny z okazji 228. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja

Vivat Maj, 3 Maj

Warszawa Plac Teatralny 1
3 maja 2019 godz. 17:30

KONCERT POPROWADZĄ:

Dominika Chorosińska
Paweł Gołębski

WYSTĄPIĄ:

Jan Pietrzak
Bartosz Kurowski
Dominika Świątek
Leszek Czajkowski
Ludmiła Małecka
Darek Malejonek
Norbert Smoliński
oraz **Dziubek Band**
pod dyrekcją
Mariusza Dziubka

PATRONAT HONOROWY

Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

PATRONAT HONOROWY

Mariusz Błaszczak
Minister Obrony Narodowej

PARTNER GŁÓWNY

TOTALIZATOR SPORTOWY

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

Poczta Polska

PATRONI MEDIALNI

TVP2

POLSKIE RADIO RDC Radio dla Ciebie

Trójka POLSKIE RADIO

radio NIEPOKALANÓW

GAZETA POLSKA

Gazeta Polska codziennie

NASZE PAŃSTWO

REPUBLIKA

niezależna

eprasa.pl 77bfbfce1f